



VIKTORIA ARMSTRONG

# AMETYSTA

*7 WYMIAR*

TOM I

VIKTORIA ARMSTRONG

AMETYSTA  
7 WYMIAR



TOM I

Strona redakcyjna

### **Projekt okładki**

Kinga Konopko

### **Redakcja i korekta I**

Katarzyna Wróbel

### **Korekta II**

Iwona Stachowicz

### **Skład i łamanie**

BC Projekt

© Copyright by Małgorzata Szczepaniak, 2013

ISBN 978-83-938126-0-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody autora.

### **Druk i oprawa**

Drukarnia Cyfrowa

OSDW Azymut sp. z o.o.

ul. Senatorska 31

93–192 Łódź



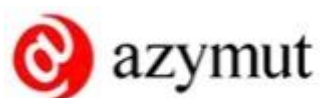
Napisałeś książkę i chcesz ją wydać? Zapraszamy do serwisu Rozpisani.pl. Znajdziesz tu szeroki zakres usług wydawniczych, dzięki którym Twoja książka trafi do księgarń. Pomożemy Ci dotrzeć do czytelników na całym świecie!

Kontakt

[www.rozpisani.pl](http://www.rozpisani.pl)

[info@rozpisani.pl](mailto:info@rozpisani.pl)

Publikację elektroniczną przygotował:



To nie byłoby możliwe, gdyby nie ludzie pozwalający mi marzyć. Dzięki temu, że wspierali mój pomysł, mógł powstać pierwszy tom *7 wymiaru*. Dziękuję pierwszym czytelnikom: Ani Jóźwik, Kindze Konopko oraz Tomkowi Szklarskiemu za przekazanie cennych uwag oraz dodawanie mi wiatru w żagle. Ponownie składam podziękowania Tobie, Kingo, za fantastyczną okładkę. Dziękuję Katarzynie Wróbel za pozytywną recenzję i korektę, Mariuszowi za pomoc w promocji, moim córkom, które dzielnie znosiły wieczory z mamą stukającą w klawiaturę. Na koniec dziękuję wszystkim, których nie wymieniłam, a pewnie powinnam. Obiecuję, że odwdzięczę się w kolejnych tomach.

## I

Nie wiadomo dlaczego od jakiegoś czasu słońca szybciej chyliły się ku zachodowi. Mimo ciepłej pory roku dni były znacznie krótsze niż w ubiegłych stuleciach. Królestwo, głównie w związku z anomaliami pogodowymi, zaczynało popadać w problemy finansowe. Najważniejszym produktem eksportowym Kotaliny były meferie. Aby jednak mogły rosnąć i pozwolić królowi oraz reszcie żyć z ich uprawy, dni musiały pozostać odpowiednio długie. Niestety, dzień w Kotalinie trwał już tylko dziewięć godzin, noc zaś dziewiętnaście. Długość dnia była niezmiernie ważna nie tylko ze względu na rolnictwo, ale również na zachowanie równowagi między istotami dnia i nocy.

Z tego powodu na dworze po raz kolejny zebrała się Wielka Rada. Zasiadały w niej głowy wszystkich ras zamieszkujących Kotalinę: magowie, właściciele darów, metamorfomagowie, animagowie, driady, hobgoblini i niemagiczni. Atmosfera na sali obrad była bardzo ciężka, a opanowanie uczestników jedynie powierzchowne. Wszędzie dało się wyczuć zapach niepewności.

Komnata, w której zebrało się to gremium, chroniona licznymi zaklęciami najwyższego poziomu, była dostępna tylko dla powołanych do niej członków. Każdy z nich otrzymał dekret nadający mu prawo do uczestniczenia w radzie, do którego dołączono indywidualne hasło, stanowiące przepustkę do zasiadania w tym elitarnym gronie. Niestety, ostatnimi czasy musieli je wypowiadać nazbyt często. Największym problemem rady było to, że mimo usilnych poszukiwań sprawcy zamieszania związanego ze skracającymi się dniami winnego nadal nie znaleziono. Kolejnym problemem było to, że granica Kotaliny z Mekaliami ostatnio nieswojo wibrowała. Czarne diamenty na wielkiej mapie w sali obrad pulsowały szarym światłem. Nie wróżyło to nic dobrego.

Ametysta po raz pierwszy brała udział w spotkaniu rady. Siedziała spokojnie na jednym ze złocisto-szarych foteli, który, w momencie gdy znalazła się w pomieszczeniu, błysnął na niebiesko. Fotele rozpoznawały swoich gości, gdy tylko przekraczali próg komnaty. Tym samym wiedziała już, gdzie miała siedzieć. Mimo że przez lata studiowania w gildii i widziała już wiele pomieszczeń, to, które teraz obserwowała swoimi pełnymi blasku oczami, robiło na niej ogromne wrażenie.

Ściany zostały ozdobione kwiatami oraz malowidłami przedstawiającymi wszelakie stworzenia, jakie zamieszkiwały jej świat. Na porozwieszanych obrazach widniało też sporo wymarłych gatunków, które w przyпыłwie dobrego nastroju opowiadały historie swojego ludu. Pozostałe obrazy żyły własnym życiem, niestety nie można było z nimi rozmawiać, dopóki przy życiu pozostawali ich potomkowie.

Podłoga w pomieszczeniu była przezroczysta, a chodząc po niej, miało się wrażenie, że stąpa się po najdelikatniejszym jedwabiu otulającym stopy. Po prawej stronie od obrazu, przez który dostała się do komnaty, stały stoły. Tak jak reszta mebli w pomieszczeniu miały magiczne właściwości. W chwili rozpoczęcia obrad ustawiały się w kole, jednocześnie dopasowując się do osób mających przy nich siedzieć. Właściwie każdy mebel optymalnie dostosowywał się wysokością, grubością lub szerokością do potrzeb użytkownika.

Ametysta każdym zmysłem chłonęła nawet najmniejsze nowe doznanie. Jej oczy połyskiwały w promieniach ogników wiszących naokoło sali. Złoto dobywające się ze światła sprawiało, że wyglądała tajemniczo, a jej spojrzenie zdawało się wibrować. Drobnie i smukłe dłonie były pokryte magicznymi znamionami, których nieokreślone kształty dodawały im uroku, a wypielęgnowane, pokryte magiczną barwą kameleona paznokcie zawsze napawały ją dumą. Jej matka od najmłodszych lat powtarzała, że ręce — a w szczególności paznokcie — świadczą o

kobiecie. Używanie powłoki kameleona miało oczywiście swoje wady, bo lakier odbierał jej emocje i zmieniał kolor w zależności od tego, co czuła. Na szczęście, dla nowo poznanych potencjalnych wrogów nie było to czytelne, każda kobieta bowiem miała inną barwę określającą to samo uczucie. Gdyby jednak ktoś poznał Ametystę bliżej i miałby zamiar wyrządzić jej krzywdę, dłonie mogłyby się stać przyczyną jej śmierci, ponieważ zdradziłyby jej prawdziwe uczucia. No, ale czego się nie robi dla urody.

Na środkowym palcu nosiła wielobarwny turmalin, który został jej nadany po ukończeniu gildii. Nie była wysoka jak na maga, lecz było to bez znaczenia, gdyż kamień ten dawał jej nie lada prestiż wśród innych przedstawicieli ras.

Przyglądając się zbierającym się członkom Wielkiej Rady, zauważyła właściciela daru, który przechadzał się wśród innych uczestników. Był wysoki, o bladej cerze oraz szafirowych oczach. Jego proste, zadbane, spływające na ramiona włosy mogły być przyczyną zazdrości niejednej niewiasty. Ich kolor pozostał jednak trudny do określenia, bo w zależności od miejsca, w którym się znajdował, zmieniał odcień.

Obdarzeni byli również pochodzenia ludzkiego. Ich magia była wrodzona i dawała możliwość władania tylko jedną kategorią umiejętności w przeciwieństwie na przykład do magów. Spośród nich w przeszłości z rzadka zdarzali się mający więcej niż jedną kategorię talentów. Jeśli jednak były one liczne, trafiali do gildii, gdzie zaczynali szkolić się na magów. Od lat trwały spory o wyższość obdarzonych nad magami i odwrotnie. Jak pokazała historia, niejednokrotnie wygrywał ten, który wykazał się większymi umiejętnościami zależnymi od kreatywności, a nie opanowanej magii.

Ten intrygujący mężczyzna stał oparty o ścianę i rozmawiał z przedstawicielką metamorfomagów. Członków animagów i metamorfomagów zawsze zdradzał złocisty kolor oczu, nie do pomylenia były również ich źrenice w kształcie półksiężyców. Ta rasa była jej szczególnie bliska, a do jej przedstawicieli miała bardzo osobisty stosunek. W trakcie swojej edukacji w gildii poznała Miatela, z którym zaprzyjaźniła się już od pierwszych dni. Jej przyjaciel miał właśnie takie oczy jak obecna na spotkaniu reprezentantka tej rasy.

W pewnym momencie rozległ się miło łaskoczący ucho dźwięk, który jednocześnie powodował skok adrenaliny. Jej fascynacja ustąpiła miejsca gotowości do pracy i entuzjazmowi. Te odczucia od razu odzwierciedliły się na jej paznokciach w postaci koralowych plamek o nieregularnych kształtach.

Dźwięk obwieszający rozpoczęcie obrad umilkł tak samo nagle, jak się pojawił. Pozostali uczestnicy podeszli do wyznaczonych foteli, które niebieskimi światłami zapraszały swoich gości. Nie było mowy o pomyłce, światło bowiem dostrzegał tylko ten, kto miał zasiąść w danym fotelu. Krzesła ustawiły się w odpowiedniej kolejności, a stoły utworzyły okrąg i dopasowały się do swoich użytkowników. Dwa fotele pozostały puste.

Do sali wpłynął król. Vik rządził krajem i wywodził się z misternie aranżowanej linii przodków, która władała królestwem od pokoleń. Vikowie byli mieszańcami wszystkich ras zamieszkujących Kotalinę. Przez tysiące lat specjalna dywizja magów — Futura dbała o odpowiedni dobór ras i partnerów. Surogatki były pod opieką zakonu, który dbał o powodzenie poczęcia oraz o ich zdrowie w trakcie ciąży. Tylko oni też byli w stanie zorientować się w sukcesji oraz procencie krwi określonej rasy w danym osobniku. Na tronie mogli zasiąść jedynie odpowiednio „spreparowani” i dobrani Vikowie. Już w okresie początkowego rozwoju w łonie nosicielki byli badani pod względem procentowej zawartości ras w organizmie.

Po narodzeniu dziecka płci męskiej, w przypadku gdy nie spełniało ono odpowiednich norm zapisanych w księgach Futura, było wysyłane jeszcze przed ukończeniem roku w specjalne miejsce. Tam podobno usuwano z niego ponadstandardowe możliwości magiczne. Ażyl, w

którym dorastali niedoszli Vikowie, był — jak wieść niesie, bo nikt nie zna dokładnego położenia tego miejsca — pięknym ogrodem z rzadkimi stworzeniami. To właśnie one przez dziewięćdziesiąt lat określały, czy pretendent do tronu będzie mógł zasilić szeregi rady króla, czy też pozostanie jednym z setek magów, mających możliwości przekazywania energii królowi w razie zagrożenia. Dodatkowo wszystkich Vików wybranych na królów wychowywano i kształcono wedle tego samego schematu, zgodnie z którym rozpoczynali edukację przy swoich biologicznych rodzicach, a następnie kontynuowali ją kolejno w każdym rodzie i gatunku zamieszkującym królestwo. W ten sposób ich rozwój i przygotowanie do objęcia władzy trwało nieprzerwanie przez sto czterdzieści lat aż do momentu, w którym osiągnęli pełnoletność.

Król był postawnym mężczyzną. Miał umięśniony ogon, piękne turkusowe oczy oraz długie, kruczoczarne, lśniące włosy. Jego postawa emanowała pewnością siebie, zrozumieniem, ciepłem i mądrością. Jednak przenikliwość spojrzenia mówiła zebrany, że ma również cechy drapieżnika, które mogą się ujawnić w każdym momencie. Na dłoniach nosił zielone tatuaże, lekko tylko odznaczające się na tle jego zielonkawej skóry. Szpiczaste uszy wyraźnie strzygły w celu wychwycenia niepożądanych dźwięków lub zagrożenia. Ten dwuipółmetrowy władca zasiadł w swoim fotelu majestatycznie i z lekkością.

Zerkając na króla z zafascynowaniem, Ametysta dostrzegła, że okręcił swój ogon, przekładając go pomiędzy siedzeniem a podramiennikiem fotela, następnie zaś zawinął wokół swych krótkich nóg, tworząc tym samym swoisty podnózek. Po całej sali z wibrującym echem rozległ się jego silny i donośny głos.

— Vilja Viva They — powitał zebranych w tradycyjnym języku Kotaliny.

— Vilja Viva They — odpowiedzieli.

Siedmiu uczestników Wielkiej Rady było gotowych, aby zdać raport. Jednak Vik poprosił najpierw o wysłuchanie jego samego, a następnie o przedstawienie się kolejno wszystkich zgromadzonych. Ta rada była nietypowa, gdyż w tym dniu przybyło aż siedmiu nowych członków, dwa miejsca zaś pozostawały puste.

— Drodzy zebrani! — przemówił Vik doniosłym i dźwięcznym głosem, w którym z każdą samogłoską wibrowały igielki raniące uszy.

Ametysta wzdrygnęła się i natychmiast podniosła magiczne wewnętrzne osłony, by ból stał się jak najbardziej znośny. Vik kontynuował:

— Dziś spotykamy się ponownie, jednak z przykrością stwierdzam, że będzie to najtrudniejsze spotkanie rady od setek lat. Jesteśmy w bardzo zmienionym gronie. Wielu z poprzednich uczestników odeszło do Azraela. Nie wiemy dlaczego, ale mamy pewność, że nie były to odejścia przypadkowe. W większości się nie znamy i nie zdążyło się zbudować między nami zaufanie. Nasze plony maleją, a nasze ludy dotyka głód. Magiczne kamienie na mapach pulsują, a w królestwach ościennych trwają przygotowania do starć. Królowa Pelista upadła, a rządy przejęli niemagiczni. Za Morzem Wód Samotnych rodzi się coraz więcej dzikich magów. Jak zapewne wiecie, magia tam jest zakazana. Kraina smoków opustoszała, tym samym równowaga Kotaliny jest zagrożona, a do naszej cywilizacji puka chaos. Niebo przez wiele lat było pięknym, dwusłonecznym sanktuarium radości, a tęczowe fale na nim pozwalały nam żyć ze sobą w symbiozie. Dni skracają się w zastraszającym tempie. Po raz pierwszy w historii — grzmiał król — dwa fotele pozostały puste. Kilka tygodni temu zmarł ostatni Prestot. Historię swojego rodu i gatunku może nam już opowiedzieć tylko z obrazu. Będzie tam istniał, by następne pokolenia nie zapomniały o naszym dziedzictwie. — Vik mówił spokojnie, jednak z jego głosu i oczu coraz bardziej bił niekontrolowany, dziki, zwierzęcy instynkt.

Na sali panowała niezręczna cisza. Wszyscy patrzyli po sobie z mocno bijącymi sercami.



Nawet obrazy zamarły, a przodkowie przyglądali się całemu wydarzeniu z trwogą w oczach.

— Dzisiejsza rada ukonstytuuje się po rytuale posłuszeństwa i uczciwości. Jednak zanim do tego przejdziemy, oczekuję, abyście się przedstawili. Oczywiście znam wasze listy polecające, ale ta wiedza jest dana jedynie mnie.

Pierwszy odezwał się właściciel daru, któremu już wcześniej przyglądała się Ametysta. Z lekkością i gracją wstał z fotela. Jego szaty w kolorach ognia na przemian mieniły się złotem, czerwienią, nieprzeniknioną bielą i innymi odcieniami tańczących płomieni. Dłonie miał ciemne, co bardzo zaskoczyło Ametystę, gdyż wyraźnie kontrastowały ze skórą twarzy. Przez ciemnobrązową skórę prześwitywały tętniące krwią żyły, które przywoływały na myśl rwące strumienie i potoki górskie po oberwaniu chmury.

— Wielmożny królu! Szanowni zebrani! Pochodzę z rodu obdarowanych. Mój lud od wieków zasiada w radzie. Jestem najmłodszym synem Telomena. Zwią mnie Kalin. To zaszczyt służyć królestwu.

— Jaki masz talent? — odezwał się niespodziewanie król. Nie było to zgodne z protokołem, który Ametysta tak dokładnie przestudiowała przed tym spotkaniem. Król powinien wysłuchać mowy Kalina do końca.

— Panie, władam wszystkimi żywiołami planety — odrzekł z cynicznym uśmiechem Kalin.

Zapadła cisza, która zwisła jak topór nad ofiarą. Niemal słyhać było pot występujący na czoła wszystkich zebranych. Ametysta poczuła, jak włosy jeżą się na jej ciele. Magia planety stanowiła ogromny dar. Właściwie każdy obdarowany takimi zdolnościami trafiał do szkoły magów, jednak z nieznanых przyczyn ten młodzieniec nie został tam wysłany. Wtedy zrozumiała natychmiast, dlaczego jego skóra była taka ciemna na dłoniach. Tak właśnie wyglądała u człowieka, który kanalizuje magię w nieumiejętny sposób. To było przerażające, mogło bowiem oznaczać, że ów obdarowany zagraża nie tylko sobie, ale również innym, nie mając pełnych umiejętności korzystania ze swojej ogromnej mocy. Dlaczego zatem znalazł się tu, wśród mistrzów swojej profesji? To było niezgodne z protokołem w przeszłości przestrzeganym z ogromną skrupulatnością. Dodatkowo był młody tak jak ona.

Nagle zauważyła, że poza królem cała rada składa się z młodych, świeżo upieczonych mistrzów. Ale czy na pewno? Kalin był przykładem nieokiełznanego maga — dzikiego, który ewidentnie nie potrafił właściwie korzystać ze swojej mocy. A teraz nadal uśmiechał się promiennie do zebranych.

Po chwili twarze uczestników już nie zdradzały niepokoju, a jedynie podekscytowanie, które dało się wyczuć od początku zebrania. W umyśle każdego do głosu doszła ufność i wiara w króla, które miały właściwości łagodzące jak balsam położony na suchą, spieczoną słońcem skórę, jak śpiew ptaków na skołatane nerwy.

Drugą z przemawiających była kobieta o złocistych oczach i płomiennie czerwonych włosach spływających prawie do pasa — ta sama kobieta, z którą wcześniej rozmawiał Kalin. Większość z zebranych nawet nie zauważyła, gdy wstała. Jej ruchy były jak muśnięcie nici magii. Ciało zlewało się w jedno z otaczającym ją światem. Złote oczy patrzyły po zebranych przenikliwie, świdrując na wylot każdego z osobna. Miała na sobie obcisły kombinezon, który do złudzenia przypominał skórę smoka. Jakież to zwierzę mogło się w niej czaić? Była dość niska, co dodatkowo, mimo całej jej tajemniczej aury, wyzwało w Ametyście instynkt wręcz opiekuńczy. Ta mieszanka emocji przyprowadziła ją o dreszcz niepokoju.

— Zwią mnie Satyna, mój panie... Szanowni zebrani! Reprezentuję ród metamorfomagów. — Miała aksamitny i kojący głos, a gdy przemawiała, jej oczy się zwięzły. Wydawało się, że z największą uwagą obserwuje reakcje rady na słowa, które płynęły ze

zdradliwym, wręcz syrenim ciepłem z jej ust. — Moja umiejętność zmiennokształtności dotyczy wszelkich gadów. Posiadam również dar syreny, dlatego też wszyscy nieanimagowie są zobowiązani do wypicia fiołki z zielonym naparem. — W tym samym momencie na stołach pojawiły się migoczące zielone buteleczki z płynem.

Gdyby nie okoliczności, Ametysta pomyślałaby, że to perfumy. Flakonik skrzył się żółtymi iskrami, a woń wydobywająca się z pojemniczka łagodnie łaskotała zapachem kwiatów. Napar zmaterializował się przed każdym — poza królem. Jako władca, dzięki liniom krzyżowań, był odporny na wiele rodzajów magii, w tym magii animagów, nie musiał więc pić napoju. Skinął głową na znak, że zezwala i oczekuje od wszystkich wypicia trunku. Ametysta wzięła łyk, który miał opróżnić naczynie. Jakież było jej zdziwienie, gdy okazało się, że smak daleko odbiega od zapachu kwiatów i tego, czego oczekiwała. Przypominał błoto zmieszane ze zgniłym mięsem oraz stęchłym jabłkiem. Oczy jej, jak i reszty uczestników, nagle zmieniły się w złote, zwężone szparki. Przez umysł Ametysty przebiegły obrazy jej własnej przemiany z syreny w obrzydliwego, obślizgłego gada z rozrojonym językiem i ostrymi łuskami. Ostatnim obrazem był smok. Wielki, potężny smok z oczami przypominającymi oczy Satyny. Jego spojrzenie nie tylko przenikało, ale również mogło zabić. W tej samej chwili urojenie zniknęło. Oczy odzyskały dawny wygląd. Mogła obserwować, jak jej towarzysze również wracają do stanu sprzed połknięcia płynu. Domyślała się, że ich miny były podobne do jej wyrazu twarzy: pełne niesmaku, zaskoczenia, strachu i obrzydzenia. Powoli umysły powróciły na własne tory.

— Szanowni państwo! — odezwała się Satyna. Jej głos nadal płynął ciepłą barwą, jednak nie działał już tak silnie jak wcześniej. — Od tej chwili będziecie mogli rozmawiać z każdym, kto włada mocą syreny. Nasz głos nie będzie miał już na was wpływu. Proszę, abyście pamiętali, że gdy spotkacie innych takich jak ja, nie wolno wam zdradzić, że spożyliście napar. Wiedźcie też, że tajemnicą jest jego skład, znają go tylko trzy osoby w królestwie. Pamiętajcie, że nie tylko animagowie posiadają moc syreny, musicie udawać, że jesteście pod wpływem przynajmniej częściowo. Zapytacie, dlaczego to takie ważne. Oczywiście jesteśmy szkoleni, by nie wykorzystywać tego daru przeciw naszemu ludowi, ale tak jak i wśród waszych pobratymców, my również mamy swoje, żadne władzy, zgniłe meferie.

Jak to? Dlaczego tej wiedzy nie ma w gildii? Ta moc stanowi ryzyko nie tylko dla nas. Ile ich jest? Jak tworzy się moc syreny? Czy to oznacza ubezwłasnowolnienie ludzi w otoczeniu? Czy ten dar można kontrolować? Liczne pytania przebiegły przez głowę Ametysty. Wiedziała jednak, że to ani miejsce, ani pora na ich zadanie. Być może odpowiedzi w ogóle się nie pojawią. Pozostawianie pytań bez reakcji nie leżało w jej naturze, jednak przez lata nauczyła się, że cierpliwość, wiedza i determinacja zazwyczaj z czasem przynoszą pożądane skutki.

Król tylko skinął głową, a jego dziki wzrok przesunął się na kolejnego uczestnika rady. Driada — na pierwszy rzut oka było widać, kim jest, jeśli tak jak Ametysta z zapalem przebrnęło się przez *Historie ludów* z ostatnich dwóch milionów lat. Dla zwykłego młodego maga była to katorga. Zawartość tego przedmiotu obejmowała dziewięć pięter biblioteki gildii. Na każdym piętrze w siedmiu rzędach tkwiły tomy, ustawione jeden obok drugiego, a każdy z nich o objętości ponad pięciu tysięcy stron.

— Awiiiiiuuuu — wyszeptała driada. Dźwięki, które z siebie wydawała, z trudnością przypominały głos. Były to raczej odgłosy uschłego igliwia i szeleszczących liści pod stopami. Brzmienie to miało niepokojąco działanie usypiające.

Ametysta poczuła, jak ogarnia ją błogostan, a wszystko zaczyna biec naturalnym rytmem. Czowała każdą cząstkę powietrza, a ściany, mimo że magiczne i naturalne dla jej gatunku, zaczynały ją ograniczać. Miała nieodpartą chęć wybiegnięcia na zewnątrz i tańczenia wśród przeplatających się zjawisk pogodowych. Chciała poruszać się wśród osiadłych na drzewach

kropel rosy, które następnie zrywałyby się w górę i tworzyły deszcz. W słońcu palącym jej nagie dłonie. Chciała wirować, gdy grzmoty rozrywałyby powietrze na strzępy, a światło ciepłoby powietrze na pół w niezliczonych tęczowych błyskach. Ten grzmot... wyrwał ją z naturalnej szczęśliwości. Uświadomiła sobie, że nadal znajduje się w sali obrad, a z oczu króla płynie wir wściekłości. Powietrze w sali stało się ciężkie i mokre, a zapach agresji był tak przenikliwy, że miała wrażenie, iż potworny huk rozdziera jej ciało od środka, łamiąc każdą kość.

— HESSSSSSSSSSAAAAA — wyrwało się z ust króla. I nagle wszystko, co czuła, zniknęło. Driada spuściła oczy, patrząc na blat stołu, który zmienił się w diamentowe lustro, pozwalające na obserwację odbicia w najmniejszym szczególe.

— Przepraszam — wyszeptała. Z jej ust wydobył się głos zrozumiały dla wszystkich, jednak niosący z sobą nutę bryzy.

— Nigdy więcej — powiedział lodowatymi słowami i ze spokojem król. — Kim jesteś i co czyni cię tak bezczelną, aby pokazywać nam swój dar pierwotnych pragnień natury. Słyszałaś zapewne, że jest z nami młody człowiek władający magią ziemi, a to znacznie silniejszy dar od twojego.

— Wybacz, panie, myślałam, że nie wyrządę tym nikomu krzywdy. Nie myślałam, że będą wśród nas tacy, którzy nie otrzymali daru popiołu. Zanim się przedstawię, proszę o pozwolenie na przekazanie im go.

W tym samym momencie na stołach pojawiły się małe drewniane pojemniki wypełnione zielonoszarym popiołem.

— Proszę, nie dotykajcie jeszcze miseczek. Każdy z was, na którego zadziało pierwsze słowo, niech weźmie część siebie i wrzuci do miski. Mogą być to włosy, łuski lub jakakolwiek część waszego ciała.

Ametysta uznała, że najprościej będzie po prostu wyrwać jedną z rzęs, gdyż, jako świeżo upieczona magini, nie miała włosów, a nie chciała kłuć się w palec czy też zeszkrobywać naskórek albo, co gorsza, łamać choć jeden wypielęgowany paznokieć. Wrzuciła więc rzęsę do drewnianego naczynia, które nagle zawirowało i zmieniło się w coś, co przypominało kamyczek wielkości jednego z jej opuszków. Gdy przed resztą uczestników pojawiły się kamienie, poproszono każdego o przyłożenie ich do swojej skóry w miejscu, które w ich ciele jest najmniej narażone na ekspozycję. Zebrani spojrzeli po sobie ze zdziwieniem. Król nadal milcząco, z lodowatym wzrokiem, przyglądał się rytuałowi. Jako że jego zadaniem było chronić wszystkie istnienia w królestwie, Ametysta i inni mieli pewność, że nic im się nie stanie. Władca znał ten rytuał i nie oponował, gdy driada zaczęła go przeprowadzać.

Wszyscy wzięli kamienie w dłonie. Niektórzy przykładali je do głowy, inni do podbrzusza. Ametysta postanowiła umiejscowić kamień pod swoją lewą piersią. Przez chwilę zastanawiała się, czy wypada włożyć sobie dłoń pod ubranie i dotknąć piersi w tak dostojnym gronie. Wszak jako pilna uczennica od zawsze wiedziała, że szczególnie jeśli chodzi o zaklęcia, należy bacznie słuchać i wykonywać wszystko jak najdokładniej. Po chwili namysłu postanowiła pozostać przy pomysle umiejscowienia kamienia pod swą lewą piersią. Driada wtedy ponownie zaintonowała:

— Hisssaaa blueeee hisssa delle hisssa fin.

Ametysta poczuła, jak kamień wtapia się pod jej lewą pierś, jak jednoczy się z ciałem. Miała wrażenie, że zapuszcza korzenie w głąb ziemi, że jej ciało staje się częścią lasu, a zwierzęta biegają po jej kończynach w poszukiwaniu pożywienia. I znowu wszystko zniknęło tak samo szybko, jak się pojawiło. Zdawała sobie sprawę, gdzie się znajduje i kto jej towarzyszy. Mimo to zaczynała wzbierać w niej złość. To już druga taka sytuacja w krótkim czasie, a ona nic na ten temat nie wiedziała. Nie знаła tego rytuału. Przecież przeczytała wszystkie dostępne w

gildii podręczniki, zaliczyła wszystkie oferowane zajęcia na najwyższe oceny i znowu ją coś zaskoczyło. Była zła, ale zaraz też uświadomiła sobie, że właśnie miała okazję doświadczyć najpilniej strzeżonej wiedzy. Gdyby wszyscy magowie o niej wiedzieli, mogłoby to mieć przerażające skutki dla państwa i ich planety. Tak... To że w tak młodym wieku trafiła tu jako członek rady, oznaczało, że jest wybranką. Ponad wszelką wątpliwość możliwość poznania tych wszystkich rytuałów była ogromnym zaszczytem.

— Szanowni zgromadzeni!... Zwią mnie Elna. Wybaczcie to, co wydarzyło się na początku. Nie miałam żadnych złych zamiarów. — Driada skinęła głową i usiadła, nie odzywając się już ani słowem.

Kolejny uczestnik powstał z małego tronu z twarzą wykrzywioną w grymasie bólu. Podnosił się powoli i ociężale, opierając się o blat stołu. Z jego głowy wyrastał tylko jeden, cienki, srebrny warkoczek, zaczynający się po prawej stronie na wysokości ucha. Ametysta zastanawiała się, czy przypadkiem nie hoduje go na wypadek, gdyby zamknięto go bez jego zgody w celi. Aby się z niej wydostać, mógłby odciąć swój warkocz, a następnie posłużyć się nim jak liną, po której zszedłby na dół. Choć legendy mówiły, że to zazwyczaj królowny u niemagicznych były zamykane w wieżach. Gdy pojawiał się wybranek, ona spuszczała warkocz, on natomiast się po nim wspinał, aby ją uratować. Dziwne i nielogiczne te bajki ludzi... Przecież ta królowna musiała strasznie cierpieć, a poza tym wybranek mógł jej urwać głowę, gdyby był za ciężki. A w ogóle jak miałby się wydostać, skoro oboje byłiby na górze w wieży?

Jej myśli powróciły do tego, co się działo na sali obrad.

Człowiek zwany niemagicznym był prawdopodobnie najstarszy z nich i miał około pięćdziesięciu pięciu ludzkich lat. Jego oczy były koloru bladożółtego, a źrenice, nietypowo jak na człowieka, ciemnobrązowe zamiast czarne. Miał spokojny, opanowany głos, w którym pobrzmiwała mądrość i inteligencja. Jego aura nie przyciągała tak jak aura właścicieli daru, lecz jego magnesem był niski, zniewalający głos. To, co się odczuwało, patrząc na niego, stanowiło wyraz podziwu, oczarowania i niezwykłego szacunku. Szaty, w których się poruszał, sprawiały, że wydawał się bardzo otyły. Jego postura i styl bycia przywodziły na myśl skojarzenia związane z wiarą ludzką i jej kapłanami.

— Szanowny królu! Szanowni zebrani! Mam na imię Artur. Od lat studiuje wiedzę historyczną, chemię, astrofizykę, strategię i inne nauki z każdej dziedziny. Moim darem jest wiedza i umiejętność generowania pomysłów i rozwiązań. Z przyjemnością będę służył radzie. Wasza Wysokość! — Ukłonił się nisko, spuszczać wzrok z takim skupieniem, jakby zobaczył coś niezwykłego na błyszczącym blacie.

Vik jedynie skinął głową, a Artur spokojnie, lecz z wysiłkiem usiadł na swoim miejscu. Pozostali uczestnicy kontynuowali rytuał, aż wreszcie nadeszła nieunikniona chwila. Ametysta miała niezliczone ilości motyli, żab i innych stworzeń w brzuchu. Mrówki atakowały jej każdą kończynę. Miała wrażenie, że mimo stałej temperatury w pomieszczeniu pogoda zmienia się z upalnej na chłodną. Jej zmysły szalały. Oddech zdawał się oderwany od reszty jej ciała. Wstała. Stało się, nadeszła jej kolej. Wzięła głęboki oddech. Udało się choć na chwilę ujarzmić targające nią emocje. Przywitała zebranych swoim spokojnym, kobiecym głosem.

— Szanowny królu! Szanowna rado!... Zwią mnie Ametysta, reprezentuję gildię...

Po sali przebiegły pomruki i westchnienia. W powietrzu dało się wyczuć podziw i zarazem napięcie. Oczy wszystkich zebranych skierowały się na jej dłonie, a ich wzrok skupił się na pierścieniu. Im dłużej mu się przyglądali, tym ich oczy stawały się coraz większe.

— Dziękuję — powiedziała i usiadła.

Zdziwiło ją, że nie uznała za stosowne rozwinąć swej wypowiedzi. Po tak wspianych przemówieniach jej własne wydawało się, delikatnie mówiąc, mało znaczące. A jednak tylko po

jej wystąpieniu nastąpiła niezręczna cisza.

— Ametysto, to zaszczyt, że dołączyłaś do nas właśnie ty — rzekł król.

Tym razem to jej oczy zrobiły się większe od księżyców górujących nad ich krainą, a twarz oblała się odcieniem róży.

Obrady rozpoczęto i trwały jeszcze przez wiele godzin.

## II

Słońca właśnie pojawiły się na niebie, gdy Damon wyszedł na ganek. Bryza w magiczny sposób oplatała jego skruszone ciało. Zawsze, gdy to robił, wiedział, że powracają mu siły witalne. Czuł, jak jego skóra odmienia się z każdym dotknięciem podmuchu powietrza. Jego twarz nabierała promiennego wyglądu, a zmarszczki znikwały jak zachodzące słońce. Tak. Te poranki kochał najbardziej. Świat znowu wirował, każdy zaś zmysł powracał do lat jego młodości. W tamtych czasach wszelki dźwięk czy obraz był doznaniem życia. Damon miał już sporo ponad dwa tysiące sześćset lat. Był jednak jednym z tych nielicznych szczęśliwców, który miał możliwość odbierania życia za dnia, jak gdyby czas zatrzymał się w latach młodości. Każdy poranek dawał nowe poczucie radości i witalności oraz chęć przetrwania kolejnej nocy.

Damon usiadł na pniu przed swoim domem, pocierając twarz, która prawie wróciła do oczekiwanej formy. Gdy jego długa siwa broda znikwała w skórze, wiązało się to z nieprzyjemnym swędzeniem. Wiły śpiewały pięknymi, czystymi tonami, które wręcz napawały otoczenie bezkresną radością. Przyglądając się falom bursztynowo-czerwonego morza, zaczął powracać myślami do czasów, gdy był z nią. Milena, jego żona, zmarła lata temu, zabita przez zmiennokształtnego łowcę wampirów. Była piękną kobietą o łagodnym sercu. Jej żądze nie władały nią tak jak resztą gromady. Gdy polowała, zawsze czyniła to z wdziękiem, używając wszelkiej mocy, by ofiara nie cierpiała, kiedy stawiała się jej daniem głównym. To było takie piękne. To ona nauczyła go, jak być łagodnym drapieżnikiem. Dzięki niej albo i za jej sprawą zabijał delikatnie. Strach był jedyną przyprawą, jakiej mu brakowało do perfekcji i ekstazy konsumpcji. Była to w sumie znikoma cena za życie bez agresji ze strony innych ras. Zmiana nawyków okazała się jednak bezwzględnie konieczna w celu powstrzymania zgraj szaleńców przed atakami nienawiści i kruczatami zmiennokształtnych na gromady wampirów.

Damon otrząsnął się ze wspomnień. Skracające się dni powodowały, że radość z dotyku młodości trwała znacznie krócej niż jeszcze kilka lat wcześniej. Moment pojawienia się księżyców nieubłaganie odbierał mu witalność na kolejną, coraz dłuższą noc. Dodatkowo, wydłużające się noce wzmagaly głód i zmniejszały możliwość kontroli nad pierwotną potrzebą opróżnienia człowieka z krwi. Wszedł do domu i nastawił poranną porcję koki z dodatkiem krwi smoka. Od wieków był to jego ulubiony poranny napój.

Zerknął do spiżarni, w której przechowywał jedzenie. Na samą myśl aż zaburczało mu w brzuchu. Sięgnął swoim młodym, umięśnionym ramieniem na trzecią półkę od góry i wyciągnął porcję naleśników z serem, którą przygotował sobie wczoraj wieczorem razem z córką. Brenda jak zwykle była tu przelotem. Tym razem śpieszyła się do Kotaliny. Podobno miał się tam odbyć ważny zlot Wielkiej Rady. Przy takich okazjach, gdy wyruszała na jakąś misję, zawsze go odwiedzała. Nigdy jednak nie zdradzała powodu swojej podróży. Damon wiedział, że pracuje dla Arymana, księcia ciemności. On, wiekowy wampir, pamiętał, że historia pokazała już wielokrotnie, iż praca dla króla podziemia rzadko kończyła się sławą i spokojem na starość. Jednak po śmierci matki nikt, nawet on, nie był w stanie wybić Brendzie tego pomysłu z głowy. Kolejną przyczyną wizyty córki było to, że w jego domu znajdował się prąd łączący oba światy. Natomiast kolejny mieścił się o co najmniej trzydzieści dni drogi od jego domu.

Jako dziecko Brenda podróżowała z ojcem i matką po świecie oraz jego wymiarach. Między innymi dlatego posiadała granatowy pierścień w tak młodym wieku.

— Tato, robisz może kokę? Och, od dawna się tak nie wypałam. Mam wrażenie, jakbym posiadała najbardziej ekskluzywny pokój w ciemnościach.

Przetarła swoje granatowe oczy i podeszła do ojca. Była bardzo podobna do swojej babci. Miała delikatne loki koloru wiosennej zieleni (choć w naturze był to piękny blond), ostatni

krzyk wampirzej mody, koralowe usta i delikatne perłowe kły. Była zjawiskowo piękna.

— Zrobiłem wystarczająco dla nas obojga. Usiądziesz? Podgrzeję nasze naleśniki. — Damon wiedział, że wszystkie chwile są ulotne i cieszył się z tego momentu spędzonego z córką. Każda sekunda była wyjątkowo ważna, była to bowiem kolejna chwila, w której jego Brenda żyła. — Chcesz przypalone czy może lekko ciepłe?

— Jakie zrobisz, będą dobre. Zawsze świetnie gotowałeś, tato.

Śniadanie postanowili zjeść na zewnątrz wśród śpiewających wilów. Zieleń jej włosów prawie zlewała się z nowo powstającym życiem nadchodzącej wiosny. Bryza od morza ustała, co po części cieszyło Damona, gdyż dzięki temu mógł czuć się w odpowiednim wieku. Czasami, gdy wiatr przeradzał się w całodzienny dotyk drobinek wody niesionej od morza, zdarzało się, że lata nazbyt się cofały, a to potrafiło przysporzyć nie lada problemów.

— Czemu musisz przenieść się do Kotaliny? Wiem, nie powinienem pytać... — Brenda nie odpowiedziała. Włożyła kolejny kęs do ust i patrzyła na niego swoimi wielkimi granatowymi oczami. — Martwią mnie te wydłużające się noce — kontynuował. — Sama wiesz, jak ciężko jest utrzymać nas i nasze żądze na wodzy, gdy ciemność spowija świat na tak długo. Równowaga jest już poważnie zachwiana. To może się źle skończyć nie tylko dla naszej gromady, ale również dla innych odmieńców.

— Tato, wiesz, że nie mogę nic powiedzieć. Na pocieszenie powiem ci tylko, że Aryman też jest tym zaniepokojony. Brak równowagi nie jest po jego myśli. Świat podziemny zaczyna się rozrastać. Nie nadążamy ze szkoleniami i przysięgami wierności. A wiesz, co może się stać, jeśli mieszkańcy Tartaru powstaną, a mój zleceniodawca nie będzie mógł ich opanować? Niekontrolowane piekło może się rozpełtać w obu wymiarach, a to... nawet nie chcę o tym myśleć.

Damon popatrzył na córkę z rozrzewnieniem, wspominając własną matkę. Była tak samo piękna, jak i mądra. Choć w sumie po ostatnich decyzjach Brendy nie był pewny, czy można mówić o niej: mądra. Miał tylko nadzieję, że wybory córki nie zaprowadzą jej w wieczność do mieszkańców Tartaru. Teraz mogła podróżować między przestrzeniami a wymiarami. Może zmądrzeje, gdy jeszcze trochę dorośnie. „Mam nadzieję, że kiedyś opuści swego pana” — pomyślał.

— Tak, masz rację, kochanie. To rzeczywiście mogłoby mieć katastrofalne skutki. Więc wybierasz się właśnie w tej sprawie do Kotaliny?

— Można tak powiedzieć — bąknęła Brenda, upijając kolejny łyk ich ulubionego porannego napoju.

Ten trunek także był już prawie na wykończeniu. Wraz z zaginięciem lub wymarciem (tego nikt nie wiedział na pewno) smoków ich krew należała do rzadkości. A tym samym cena wzrosła niebotycznie. Mało wprawni smakosze smoczej krwi często padali ofiarą podróbek, które powodowały zanik kłów, a to zazwyczaj prowadziło do śmierci wampira.

Dwa słońca powoli zaczęły się zbliżać do siebie. Przed anomaliami o tej porze mieliby jeszcze dużo czasu, zanim nastaloby południe. Mgły zbite w obłoki płynęły po niebie, mieniając się wszelkimi kolorami tęczy. Damon czuł w kościach, że moment rozstania z córką zbliża się nieubłaganie.

Brenda wstała od stołu, poprawiając przy tym swój jak zwykle nienaganny strój. Damon przyglądał się jej z zachwytem. Zielone włosy były upięte w misterny kok i tylko jeden niesforny kosmyk wymknął się i spłynął po jej twarzy. Choć była jego córką, umiał docenić jej kobiece kształty, a zarazem filigranowe i delikatne jak u porcelanowej lalki. Miała na sobie błękitny gorset zapinany na małe zatrzaski ozdobione ametystami, mieniające się w świetle słońc. Z jej drobnych ramion spływała czarna peleryna z blad różowym herbem Arymana. Spodnie z

rozciągami do połowy uda odkrywały lekko, lecz wyraźnie umięśnione nogi. Był dumny, że jest jego córką.

— Tato, muszę lecieć... Czuję, że wiatry mają teraz najlepszą moc przyciągania. Czasami chciałabym nie mieć tego granatowego pierścienia. Nie odczuwałabym magii tak wyraźnie. Odprowadzisz mnie?...

Damon skinął głową i poszli do domu. Tam pierścieniem Brendy otworzyli ścianę, która dzięki dotykowi sygnetu zamieniła się w mgłę. Wkroczyli w ciemny korytarz. Damon dotknięciem swego szarego pierścienia aktywował płomyki, które zapaliły się wzdłuż korytarza. Tak naprawdę nie musiał tego robić, gdyż jako wampiry świetnie widzieli w ciemności. Oboje jednak lubili dotyk magii i to, jak droga prowadząca do wiatrów z ciemnego korytarza zmienia się w drogę mieniącą się subtelnymi wstęgami światła.

Po kilku minutach dotarli na miejsce. Przed nimi rozciągała się ogromna, czarna i głęboka jaskinia. Nawet oni nie mogli dostrzec jej dna. W powietrzu czuć było wibrującą magię i wilgoć, która przylepiała się do wszystkiego, co znajdowało się w otchłani. Magia wiatrów wołała ich, ale tylko Brenda miała dziś wyruszyć na kolejną misję. Mało kto mógł podróżować w ten sposób. Wymagało to zarówno lat szkolenia, jak i znajomości punktów dostępowych, a przede wszystkim posiadania magii. Na środku jaskini widoczny był snop jasno-białego światła. Mimo że bardzo wyraźny, jaskinia wciąż pozostawała otchłanią i nieprzeniknioną ciemnością. Niektórzy w księgach magów nazywali go nadzieją. Brenda ucałowała ojca w policzek, zamknęła oczy i rozplynęła się jak mgła zmieniona w strumień pyłu srebrnych cząsteczek płynących w kierunku nadziei. Tam zniknęła.

Damon wrócił na górę i usiadł na swoim kamieniu przed domem. Odpłynął myślami ponownie do czasów, gdy poznał jej matkę.



### III

W zielonym ogrodzie, przy fontannie, unosił się zapach mieszanki dużej ilości perfum. Był to znak, że niemagiczni posłańcy przyjechali usłyszeć obwieszczenie Vika. Kolor nieba wskazywał na potrzebę wielkiego samozaparcia, by doczekać się orędzia. Ciemna mgła zbierała się na niebie, które i tak ostatnimi czasy zbyt często jawiło się w odcieniach Królestwa Nocy. Ametysta wraz z Arturem i Satyną siedzieli na trawie, rozmawiając o nic nieznaczących sprawach. Minął już tydzień od rozpoczęcia obrad rady i dziś miał nastąpić dzień powrotu do domu. Podczas gdy Artur i Satyna toczyli filozoficzne rozmowy, Ametysta zatopiła się we własnych myślach. Było dla niej niewiarygodne, jak bardzo przez ten tydzień liczone się z jej zdaniem. Nawet sam Vik zaprosił ją na kolację do swojej sali jadalnej, gdzie minimalizm był tłem dla potraw, które jej zaserwowano.

„Jaka szkoda, że tą wiedzę nie będę mogła się podzielić z mamą” — pomyślała.

Z zadumy wyrwał ją podniesiony głos jej towarzyszy. Artur zdawał się poirytowany i pokrzykiwał:

— Czy nikt cię nie uczył, że nasza planeta nie dysponuje niewyczerpanymi zapasami?! Czy nie zdajesz sobie sprawy, że to może oznaczać, że nasz świat wyczerpał swoje możliwości?!...

— A ty myślisz, że jak się dużo uczyłeś i masz dar wiedzy, to jesteś nieomylny?! Nigdy nie zrozumiesz magii, ja po prostu wiem, że to sprawka Arymana! Wy, ludzie, zawsze byliście ograniczeni. Ile lat trzeba było, aby choć część z was zaakceptowała, że wielu jest magami i obdarzonymi. Czyż sam na jednym z wykładów nie mówiłeś, że tylko ograniczeni ludzie nie posiadają żadnego daru? — syknęła Satyna.

Jej oczy zaczęły się transformować. Ewidentnie nie potrafiła kontrolować swojej przemiany, gdy wzbierały emocje. A może był to kolejny negatywny efekt zmian zachodzących w długości dni?

Ametysta postanowiła przerwać narastającą sprzeczkę.

— Wiecie co, wydaje mi się, że powoli powinniśmy zacząć udawać się do naszych punktów dostępowych. Trochę tęsknię za domem. I przyznam, że chciałabym już wrócić do gildii i rodziny. Arturze, masz jak wrócić do domu? Hm, właściwie to gdzie jest twój dom?

Z Artura powoli zaczęły opadać emocje. Choć Ametysta nie słyszała całej dyskusji, domyślała się, że przerwanie jej było dobrą decyzją.

— Ja mieszkam, hm, noo...

— No mów wreszcie, może ci pomogę.

— Mieszkam w Antropolu — odpowiedział dumnym i wyniosłym tonem Artur.

— W Antropolu?... — Obie zdziwiły się równocześnie. — Przecież tam nie ma żadnego punktu dostępowego. Jak, na Re, się tu dostałeś? — odparowały chórem.

Twarz Artura zaczęła przybierać znowu ten wyraz, który wskazywał na to, że nie jest najszczęśliwszy z tematu tej rozmowy. Ametysta już wcześniej zauważyła, że gdy czuł się w jakiejś sytuacji niekomfortowo, zaczynał pocierać swój kark, a prawy kącik jego ust lekko drgał.

— Przyjechałem na koniu — burknął Artur.

— Na czym? — zabrzmiały znowu chórem. — Przecież to kawał drogi stąd, przynajmniej tysiąc siedemset dwadzieścia godzin.

— A jak myślicie, w jaki sposób podróżują niemagiczni? Ani nie mamy możliwości korzystania z punktów dostępowych, ani wiatrów. Musimy się jednak jakoś przemieszczać.

Fakt. Ametysta poczuła się trochę, a nawet więcej niż trochę, jak ignorantka. Przecież zanim dojrzała do gildii, jeździła z mamą na targ wozem zaprzęganym w dwa konie. Jej mama

była zielarką i co tydzień musiała się zaopatrywać w zioła, których nie potrafiła sama wyhodować. Ona przecież też kiedyś była niemagiczna. „Jak łatwo zapomnieć, skąd się pochodzi” — pomyślała.

— No dobrze, rzeczywiście nie możesz korzystać z punktów dostępowych. Ale mogę ci pomóc. Masz jakieś lustro w domu?

— Co mam?

— Przecież mówię jasno: luustro.

— A po co ci lustro? — zapytał zdziwiony, ale wyraźnie zaintrygowany Artur.

„Na Re! Znowu wyszłam na kretynkę, przecież on ma dar wiedzy, ale jest niemagiczny. A oni nie mają dostępu do ksiąg gildii, bo i tak nie mogliby ich przeczytać. Przecież tylko magia uaktywnia atrament. Ty idiotko, znowu dałaś popis bezmyślności” — skarciła samą siebie Ametysta.

— Już tłumaczę. To bardzo stara forma podróżowania. Była używana w okresie początków powstawania gildii. Gdy większość magów uczyła się magii. To bardzo prymitywny sposób, ale można tak pomagać niemagicznym. Jeśli masz w domu lustro i kiedykolwiek go dotkniesz, został tam twój ślad. Wystarczy, że weźmiesz mnie za rękę i dotkniesz lustra. Z moją pomocą znajdziesz się w innym miejscu. Oczywiście, gdy ja albo inny mag z mocą kamienia, minimum topazu, będzie obok. Po prostu przeniesiesz się tam. Ta forma podróżowania wymaga trochę wprawy i mało kto z niej już korzysta, odkąd powstały punkty dostępowe i odkryliśmy wiatry. Kiedyś w ten sposób niektórzy magowie, ukończywszy tylko trzeci stopień szkolenia, mogli tak zarabiać. Przenosili ludzi z miejsca na miejsce trochę jak taksówka, oczywiście za sowitą opłatą. — Uśmiechnęła się kokieteryjnie do Artura, widząc jego zdumienie na twarzy.

— Taksówka? A co to taksówka? — zapytał.

Tym razem na jej twarzy odmalowało się ogromne zdziwienie. Satyna tylko z zainteresowaniem przysłuchiwała się tej rozmowie. „No nie, trzecia wpadka w ciągu kilku minut. Przecież to jakiś obłąd. Oczywiście, że on nie wie, co to taksówka. Przecież nie bywa w kręgu pięciu miast. A mało prawdopodobne, aby wiedza z tamtych rejonów dotarła aż do Antropolu. Nie mam siły dziś sama do siebie. Nie wiem, dlaczego ubzdurało mi się, że skoro ma dar wiedzy, będzie wszystko wiedział”.

— Taksówka to wykorzystywanie za opłatą demona konnego do przemieszczania się w szybkim tempie z miejsca na miejsce, więc zamiast podróży do domu trwającej tysiąc siedemset dwadzieścia godzin mógłbyś tam być w ciągu kilku.

— Hm... — wtrąciła się Satyna. — Ja też mogę pomóc, ale mam inny pomysł. Jeśli oczywiście chcesz. Mogę się zmienić w latającego gada i dolecimy na miejsce w kilka godzin.

— Satyna, nie pleć bzdur — odezwał się Artur. — Jedyne latające gady to smoki. A wiesz, co się dzieje obecnie ze smokami? Jak tylko ktoś by cię wypatrzył, od razu by cię ustrzelił, żeby zyskać krew. Proszę cię, nie wpadaj na pomysły, które z góry są skazane na niepowodzenie.

Satynie wyraźnie nie spodobało się to, co powiedział, i naburmuszyła się jak ropucha. „W sumie całkiem podobna” — pomyślała w duchu Ametysta. Zachichotała tak głośno i niespodziewanie, że oboje spojrzeli na nią piorunującym wzrokiem. Dobrze, że wzrok ich nie miał mocy zabijania, bo już by jej nie było.

— Ametysto — odezwał się Artur. — Chętnie spróbuję z lustrem w imię nauki. A poza tym nie chcę tracić cennego czasu. Król kazał mi przygotować wiele analiz. Czy jesteś pewna, że dla niemagicznych jest to bezpieczne?

Ametysta kiwnęła porozumiewawczo głową. Kątem oka zauważyła niezadowolenie Satyny z obrotu sytuacji, ale zignorowała jej minę.

— W takim razie zabiorę cię do domu drogą lustra. Satyno, chcesz się z nami

przenieść?...

Animażka nic nie odpowiedziała, tylko obróciła się na pięcie i odeszła w kierunku zabudowań.

Niebo było już czarne i zasnuwane mgłą. W powietrzu przemieszczały się złowrogie prądy. Nie było to normalne. Posłańcy nadal tłoczyli się przed wzniesieniem, na którym miał się ukazać Vik. Ich mocne zapachy perfum zdążyły już wywietrzeć, a chłodne powietrze zbiło ich w zwartą grupę. Niemagiczni nie mogli się ogrzać, ponieważ na tym terytorium nie mieli przedmiotów podręcznej magii, które by im to umożliwiły. Dlatego starali się trzymać jak najbliżej siebie, aby pobierać ciepło ze swoich ciał.

Zza wzniesienia wyłonił się Vik. Szata wieszczka w kolorach brązu zasłaniała jego całe ciało z wyjątkiem koniuszków palców i głowy. „Wygląda, jakby założył na siebie worek pokutny” — pomyślała Ametysta.

— Via Vay They — pozdrowił zebranych.

— Via Vay They — odpowiedzieli chóralnie.

Z nieba zaczęły spadać ciepłe krople zbitej mgły. Powietrze natychmiast zrobiło się lepkie i ciężkie. Zupełnie inaczej niż kiedyś, gdy drobne krople stawały się orzeźwieniem i pozwalały oddychać pełną piersią. Tak o aurze po deszczu mawiali ludzie. Teraz jednak wszyscy stali zbici w tłumek u stóp króla. Ścisnąc powodował jeszcze większe problemy z nabraniem powietrza, a oddychanie stało się wręcz niemożliwe.

## IV

Brenda zmaterializowała się w punkcie dostępowym najbliższym pałacowi Vika, czyli w odległości jakichś siedmuset metrów za zabudowaniami głównego placu. Jej szata wyraźnie wyróżniała się na tle kolorów, jakie były obecnie w modzie. Jednak nie robiło to na niej większego wrażenia. W końcu była podwładną Arymana, i to wysoko postawioną w Królestwie Cieni. Nie przyjechała tu na wakacje, lecz by porozmawiać z Vikiem. Tym razem Aryman był skłonny podjąć współpracę i odłożyć na bok zatarg, do którego doszło wiele lat temu. Ona, jako wampir, pozostawała w sumie w dobrej sytuacji, gdyż jej gatunek nie podlegał mocom posłuszeństwa ani Arymana, ani Vika. Wampiry były po części ludźmi, po części właścicielami darów i do tego dalekimi krewnymi strony ciemności. Każdy z władców obu wymiarów chciał, by pracowały dla niego.

Idąc w kierunku pałacu, wyczuła prądy mocy wirujące pośród zbierających się posłańców. Dzięki swemu darowi mogła też wyczuć obecność potężnych magów. Wiedziała, że jeden z nich nawet przewyższał ją, choć nieznacznie, swym kamieniem. Pozostali byli słabsi, ale w grupie stanowili siłę.

„Muszę się dowiedzieć więcej o mocy, którą mogą razem zgromadzić. To może być istotne w rozwiązaniu zagadki zmian zachodzących w naszym świecie” — pomyślała.

Wokół kręciło się wielu przedstawicieli różnych ras. Zasadniczo nie dało się wyczuć ani strachu, ani niepokoju, co było dobrym znakiem. Kto wie, może rada ustaliła jakiś plan działania, który wpłynął na nastroje tu obecnych. Plotki lubiły się rozchodzić w zastraszającym tempie.

Szła w kierunku pałacu magiczną ścieżką, rozpoznając intencje każdego, kto po niej podążał. Gdyby jej zamiary były złe, ze ścieżki wylazłyby glizdy, które przygwoździłyby ją do ziemi. Potem pojawiliby się strażnicy i zamknęliby ją w klatce z diamentu. Kamień ten, jako jeden z nielicznych, odbierał magię i siły potencjalnemu napastnikowi. Był jednak tak skonstruowany, że podtrzymywał funkcje życiowe. Utrzymywał delikwenta przy życiu, zanim nie został przesłuchany. Teoretycznie kar cielesnych zakazano, ale ci, którzy doznali zasysania magii, nie zgodziliby się z tym stwierdzeniem. Opowieści o klatce były wszechobecne. Często też diamentową klatką straszono dzieci, które mówiły nieprawdę.

Jak wszyscy Vikowie król był rozpieszczony. Ze względu na mieszankę ras, jaką stanowił Vik, preferował podłóża lekko gąbkowate, komfortowe dla stóp. Oczywiście stąpał też po innych powierzchniach i przenosił się między wymiarami oraz krajami, ale tam, gdzie mógł, wprowadzał te gąbkowe podłóża. Miały one też inną właściwość. Odciski pozostawione przez spacerowicza pozostawiały różnokolorowe ślady, w ten sposób od razu można było rozpoznać przedstawiciela gatunku. Wbrew pozorom miało to duże znaczenie, bo przy obecnym rozpowszechnieniu magii zmieniające zaklęcia były dość powszechne. Istniała więc łatwa możliwość podszycia się pod inną rasę i zrzucenia na nią winy. Brenda, jako przedstawiciel wampirów, pozostawiała srebrno-brokatowe ślady.

Niebo przesłaniała czarna mgła, która złowieszczo zdawała się obniżać coraz niżej i niżej. Z narastającą intensywnością z nieba leciały krople, a ich rozmiar był imponujący. Kolory sprawiały, że świat spowiła tajemnicza zasłona jakby z przeźroczystego jedwabiu. Tego rodzaju deszcze nie nawiedziły Kotaliny od ponad dwóch lat. Ich ładunek energetyczno-magiczny był dość wysoki. Energia zawarta w kroplach nie wróżyła niczego dobrego.

Tego typu opady niosły wielkie niebezpieczeństwo dla wymiarów, a w szczególności ryzyko dla czarnych magów oraz dzikich, którzy nie potrafili zarządzać składami energii. Często byli deformowani, a w najgorszym wypadku przechodzili proces dyfuzji i stawali się nitką we mgle. Procesów materializacji uczono dopiero na szóstym poziomie. Gdy doświadczony mag

ulegał dyfuzji, nie miał zazwyczaj problemu z ponowną materializacją swojego ciała — choć wymagało to ogromnej samokontroli. Niestety, dla czarnych magów i dzikich zazwyczaj kończyło się to pozostaniem nitką magii na wieczność. Dodatkowe zagrożenie stanowiło wzmocnienie prądów magicznych oraz wzrost siły wszelkich magów, szczególnie tych posiadających kamienie najwyższej klasy. Często po takim naładowaniu występowały spontaniczne zachowania magiczne. Brenda zauważyła, że większość uczestników zgromadzenia się rozpierschła, by schronić się przed napływem magicznej energii. Było to rozsądne z ich strony. Jednak kątem oka dostrzegła kilku śmiałków, którzy wystawiali swoje kończyny i inne członki na działanie magicznego deszczu.

Brenda stanęła przed ogromnym zamczyskiem, które wyłoniło się znikąd. Zamek był najstarszą budowlą we wszystkich wymiarach, a także najlepiej chronioną zarówno przed atakami magii, jak i tradycyjnymi formami ataku. Dodatkowo miał zabezpieczenie, które gwarantowało, że ukaże się tylko tym, którzy mają do niego trafić. Pozostali widzieli tylko piękne ogrody, po których nierzadko kręcili się kupcy i inni mieszkańcy królestwa. Mimo że wszyscy zdawali sobie sprawę, że tu znajduje się zamek, mało kto dostąpił w swoim życiu zaszczytu zobaczenia go, a tym bardziej przekroczenia jego progów.

Brenda stanęła przed wielkimi bramami pokrytymi runami, w jej rękę pojawiła się Yr, będąca kluczem otwierającym wrota pałacu dla tych, którzy znaleźli się we właściwym miejscu. Na bramie, pośród gąszczy run, odszukała zaginiony znak i lekko przyłożyła runę do starego drewna białego dębu. Brama zaczęła się rozpyliwać, pozwalając przekroczyć próg najstarszej wartowni świata. Jej oczom, choć nie po raz pierwszy, ukazały się liczne korytarze, rozchodzące się od pięknego dziedzińca otoczonego białymi dębami. Na środku znajdował się wir wodny, który formował sadzawkę, a może nawet małe jezioro. Dokoła, na poustawianych ławeczkach z czarnego marmuru, siedzieli mieszkańcy zamku. Było to ulubione miejsce spotkań świty i służby króla. Gdzieniedzie wisiły lampy naftowe, dające subtelne oświetlenie. Na dziedzińcu nie było deszczu, mimo że na zewnątrz pałacu lało się z nieba strumieniami. Przez otwartą przestrzeń nad głową widać było dwa słońca. Brenda ruszyła w kierunku drugiego korytarza, przeznaczonego dla tych, którzy mieli na celu współdziałanie. Każdy, kto pojawiał się w pałacu, miał swoją drogę podyktowaną celem swojej wizyty.

W holu mijają wielu znanych sobie delegatów i posłańców. Zgodnie z obyczajem każdego pozdrawiała ruchem dłoni od czoła do serca. Po kilku minutach znalazła się w niewielkiej poczekalni. Na dywanach i poduszkach siedziało już wielu oczekujących. Pierwszy raz widziała tu więcej niż trzy osoby. Tym razem było wręcz tłoczno, na pierwszy rzut oka — ponad tuzin posłańców. Zapowiadało się wielogodzinne czekanie. Usiadła więc na miękkich dywanach, kładąc sobie poduszkę pod plecy. Przywołała też poczęstunek, który czekał na każdego, kto dotarł do komnaty oczekujących. Magiczny pałac sam odczytywał preferencje gości. U jej boku pojawił się perłowy kielich z koką oraz krwisty befsztyk pieczony w owocach kai. Jej żołądek od razu zareagował, przypominając, że jedzenie jest mu niezbędne do szczęścia. Brenda często zapominała o posiłku, co niejednokrotnie kosztowało ją prawie utratę życia, szczególnie że od lat nie wydrenowała żadnej istoty żywej. Od małego uczono wszystkich władających magią i darami, że zły stan żołądka może stać się przyczyną nieefektywnego użycia mocy. Już kilka razy przekonała się, że to nie bajki dla dzieci. Wielokrotnie po prostu miała szczęście, znikąd bowiem zjawiał się jej przyjaciel Max, by wyratować ją z opresji. Niewiele brakowało, a mogłaby nie siedzieć w tej chwili tu, w pałacu, w oczekiwaniu na wysłuchanie. Zaspokoiwszy częściowo głód, zaczęła rozglądać się po sali, gdzie na dywanach tłoczyli się oczekujący na audiencję inni posłańcy. Niektórzy z nich z grzeczności przywitali się z Brendą, jednak ewidentnie nie mieli ochoty na pogawędkę. Jej szata przypominała wszystkim, dla kogo

pracuje, a to często było skutecznym straszakiem na wszystkich, którzy uwielbiali bezsensowną gadaninę. W sumie brak zainteresowania jej nie przeszkadzał, bo wiatry w dużej mierze wyczerpały jej siły witalne. Jedyne, na co miała ochotę po skończeniu posiłku, był sen. Zamknęła oczy, przenosząc się myślami na ganek ojca. Mimo woli zasnęła.

Max leżał na łące wśród wysokich traw i brzęczących owadów. Niektóre z nich siadały mu na odkrytym torsie, na którym rysowały się soczyste i wręcz artystycznie wyrzeźbione mięśnie. Jego kruczoczarne loki były umazane błotem i wodorostami po wczorajszych nocnych eskapadach. Na wielkich dłoniach pokrytych widocznymi żyłami jawiły się ślady świeżych zadrapań, które powoli zanikały, nie tworząc nawet blizn.

Przymknął powieki, gdyż raziły go słońca. Miał takie same szare oczy jak jego matka. Gdy był dzieckiem, koledzy wyśmiewali go, że wygląda jak panienka ze swoimi długimi firankami. Jak się jednak z czasem okazało, jego rzęsy stały się obiektem westchnień niejednej samicy. Wzbudzał tym samym zazdrość w innych samcach. To z kolei niestety pogorszyło jego sytuację w grupie, przynajmniej dopóki nie zmienił się w dojrzałego mężczyznę. Kiedyś, gdy był jeszcze małym, rozważał nawet całkowite pozbycie się swoich rzęs. Z czasem porzucił tę myśl, spostrzegł bowiem, że mogą stać się użyteczne do osiągnięcia własnych celów u płci przeciwnej.

Wyrazistym, lecz nieprzerośniętym nosem wdychał powietrze, które lechtało jego zmysły. Docierały do niego różnorodne zapachy i wonie płynące z okolicy ponad stu mil. Na samą myśl o tym, kim byli właściciele aromatów, a właściwie właścicielki, uśmiechnął się sam do siebie. Jego usta, pełne i mięsiste, odsłoniły szereg zębów wraz z jego małymi kłami, które dodawały twarzy Maxa zarówno uroku, jak i dreszczyku grozy. Wyciągnął swoje długie, rzeźbione, muskularne nogi i po raz kolejny stwierdził, że bycie inkubem i wilkiem w jednym jest rzeczywiście spełnieniem marzeń każdego mężczyzny. Był uosobieniem podniecenia, marzeń sennych, dzikości, ostoi spokoju i innych pierwotnych potrzeb samic. Dodatkowo jego dar magii dawał mu nieograniczone możliwości. Przetoczył się z pleców na bok i z brudnej po wczorajszej nocy torby wyjął kanapki przygotowane przez jego kolejną ofiarę w podziękowaniu za spełnienie marzeń. Ta akurat była taka miła i niewinna, że postanowił zaakceptować ten skromny prezent w zamian za swoje talenty. Wracając z łowów na samice, Max natknął się na watahę, swego niekwestionowanego wroga. W świetle prawa wilków był bowiem odmieńcem, a tym samym nie przynależał do żadnego stada. To z założenia czyniło z niego zwierzynę łowną. Musiał więc porzucić swoje ulubione ciało, zmieniając się w białego wilka, by mieć jakiegokolwiek szanse umknąć swoim pobratymcom. Najmniej sprzeciwiały się jego obecności inne inkuby, choć i te nie należały do jego największych fanów. Wampiry dla odmiany akceptowały go, chroniąc jednak swoje samice przed jego wpływem, gdyż historia pokazywała, że potomkowie tych dwóch rodów w wieku transformacji stawali się zazwyczaj demonami — do tego mało karnymi. Król ciemności nie przepadał za tymi podwładnymi, którzy byli zwykle źródłem większości problemów zarówno we wszystkich wymiarach ziemskich, jak i w Królestwie Cieni.

Przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat Maxowi udało się zdobyć kilkoro przyjaciół, a właściwie przyjaciółek. Były z innych wymiarów, ale miały równie wysoki stopień w kamieniach, które nie oznaczały nic innego jak niewyobrażalną wręcz władzę. Brenda była wampirem, natomiast druga była maginią z takim potencjałem, jakiego świat dawno nie widział. Jednak jej umiejętności, nazwijmy polityczne, były daleko niezadowolające, może ze względu na jej młody wiek. Obie również były zniewalająco piękne. Choć ich style tak bardzo różniły się od siebie, pozostawały właścicielkami tego magicznego, a zarazem naturalnego daru przyciągania i zniewalania bez użycia swych pięknych, filigranowych kobiecych ciał. Obie rzadko kiedy eksponowały swe jędrne piersi, które powaliłyby na kolana niejednego samca. Były jego partnerkami od ponad czterdziestu lat. Max wiedział, że gdyby musiał dokonać wyboru, okazałoby się to niemal niemożliwe. Na szczęście nie musiał się nad tym teraz zastanawiać, bo

prawdopodobieństwo, że się kiedyś poznają, było znikome. Jeśli nie powiedziec bliskie zeru.

Brenda była mroczna. Choć jej mrok nie był czarny. Pozostawał w jego odcieniach, ale z widoczną poświatą szarości, co oznaczało, że posiadała zdolność czynienia dobra. Natomiast od Ametysty bił żar z kroplą najgłębszej czerni. Kropla ta zdawała się być w ryzach jasności, jaką w sobie nosiła.

Max podniósł się, czując, że siły zaczęły wracać do niego po tym, jak wszystkie jego rany się zagoiły, a magia spokojnie krążyła w jego ciele. Spakował część porzrzucanych rzeczy do swojego worka z milionem kieszonek, który zawsze nosił przy sobie w podróży, i ruszył w kierunku Antropolu.



## VI

Ametysta z Arturem wylądowali w jego posiadłości. Niestety, lustro, które pozwoliło im na podróż, znajdowało się w łazience. Pomieszczenie było bardzo przestronne ze szklanym dachem, pośrodku znajdowała się głęboka wanna, która mogła uchodzić również za basen. Pod oknem na półkach stały figurki żab, całe setki... Ametysta przyglądała się tej osobliwej dekoracji mocno zaskoczona. Zupełnie nie pasowało to do stylu bycia Artura. Podłogi zostały wyłożone najdroższym egzotycznym drewnem, pochodzącym z Landów Bajów, słynących we wszystkich krainach jako eksporterzy najwyższej jakości drewna i kamieni magicznych. Jedyne, co psuło wrażenie tego wnętrza, to wszechobecne brudne szaty i inne części garderoby porzucane po całej łazience. Ametysta zauważyła, że przynajmniej w tym pomieszczeniu brakowało kobiecej ręki lub domowego skrzata.

Oboje ociekali wodą, bo gdy opuszczali Kotalinę i pałac, lał rześisty magiczny deszcz. Jego szaty i jej strój maga były przynajmniej trzy razy cięższe niż zazwyczaj. To zaś czyniło poruszanie się mało przyjemnym, materiał bowiem zaczynał oblepiać ich skórę. Artur jednak najwyraźniej delectował się widokiem, jaki miał przed sobą. Ciało Ametysty zdawało się odkrywać swoje kształty przed grubym i starym Arturem. Brr, na samą myśl zrobiło jej się niedobrze i jeszcze zimniej.

— Zaczekaj! Nie rozbieraj się, Arturze. — Wystraszyła się, że zaraz zdejmie ubrania, a ona będzie miała „przyjemność” zobaczenia jak go Re stworzył. — Użyję zaklęcia i zaraz nam wszystko wyschnie.

— Eee, nie trzeba — odpowiedział z uśmiechem Artur, kontynuując pozbywanie się swej garderoby. — I tak muszę się przebrać w coś bardziej roboczego.

Ametysta natychmiast rzuciła zaklęcie zatrzymania. Z jej palców i oczu popłynęły delikatne strużki magii, które łącząc się w lekkie sieci, unieruchomiły rzeczywistość na tyle długo, by mogła osuszyć swoją perłową szatę, a następnie opuścić łazienkę. Nie miała zupełnie ochoty na dostąpienie zaszczytu oglądania dalszej części niesmacznych zalotów. Po paru gestach i jednym zaklęciu była już sucha. Wyszła więc z łazienki, zatraskując za sobą drzwi i jednocześnie zdejmując zaklęcia. Uff, jakże jej ulżyło. Po chwili Artur wylazł, a właściwie wytoczył się ze swojego salonu kąpielowego. Był ubrany mniej odświętnie, w dodatku mało przyzwoicie jak na obecność kobiety w jego towarzystwie. Miał stare, choć czyste kalesony, lekko rozciągnięte w okolicach wielkiego, tłustego zadka, i szeroką flanelową bluzę w kratkę, opinającą się na już niemłodym, ale za to potężnym brzuchu. Przypominał... właściwie nie wiedziała, kogo przypominał, ale na pewno nikogo, kto budziłby jej zaufanie.

— Co ci zlecił Vik? — zapytała.

— Na podstawie danych mam obliczyć, ile czasu zajmie, nim nastanie zupełna ciemność, i sprawdzić, czy taka sytuacja kiedykolwiek się zdarzyła. Oczywiście jest pewien problem, bo znam tylko historie i zwyczaje czterech wymiarów, a mamy ich, jak wiesz, siedem. Poza tym nie znam historii magii tak jak ty. Zresztą niby jak miałem ją poznać. Dla mnie są to jedynie czyste kartki.

— Arturze, wiesz, że nie mogę ci zdradzać magicznych ksiąg i to nie dlatego, że ci nie ufam... — W rzeczywistości w głębi czuła, że w jego przypadku zaufanie nie było czymś, czym mogła go obdarzyć. — Po prostu mamy swój kodeks honorowy. Poza tym biblioteki liczą ponad pięć milionów lat, a zgromadzone tam księgi są w większości nieskatalogowane. Pracujemy nad tym od ponad czterystu lat, ale droga do tego daleka. Oprócz tego musiałbyś mieć zgodę Arcymaga, a to już w ogóle prawie graniczy z cudem.

— No dobrze, rozumiem. Sądziłem, że właśnie taka będzie twoja odpowiedź. Czy w

takim razie możesz mi pomóc przynajmniej poznać historie pozostałych trzech wymiarów? Obawiam się, że bez magicznej pomocy nie dam rady zrealizować polecenia Vika.

— Bardzo bym chciała, ale wiesz, że niemagiczni wymagają luster z ich cząstkami, a skoro ciebie tam nie było i nie ma twoich luster, nie mogę cię tam nawet przenieść. Zresztą nie znasz ich języka. Nie masz tam znajomych. Jak sobie poradzisz z poznawaniem ich historii? Byłbyś bezradny jak dziecko.

Artur zagryzł zęby i nalał sobie kieliszek Ale, które ostatnio przywiózł mu kolega z wyprawy do trzeciego wymiaru drogą morską.

— A gdyby tak? Hm... ja ci dostarczę lustra i pozostawię na nich swoje cząstki. Ty się tymi swoimi drogami tam przeniesiesz i je gdzieś, no wiesz, postawisz czy jak. Wtedy wrócisz po mnie i mnie tam zabierzesz.

— Teoretycznie byłoby to możliwe, ale tylko teoretycznie — dodała pośpiesznie. Przecież nie może zabrać człowieka niemagicznego do wymiaru ciemności. Nie przetrwałby tam jednego dnia. Zresztą przyczyną tych wydarzeń nie jest chyba król podziemia. — Słuchaj, na razie zobacz, co masz pod ręką. Na pewno uda ci się przygotować część raportu dla Vika. Ja mam swoje sprawy do załatwienia w gildii. Poza tym powinnam odwiedzić kilka miejsc. Muszę przecież też pracować poza tymi, no wiesz, funkcjami społecznymi i misją ratowania naszego świata. Za jakiś czas wrócę i może do tej pory coś wymyślimy?...

Artur zrobił zawiedzioną minę, ukrywając swój gniew. Nie lubił, gdy jego misternie snute zasadzki i intrygi kończyły się fiaskiem. Uścisnął ją na pożegnanie, co nie było dla Ametysty najmilszym doznaniem. Pożegnał ją gestem i wyszedł. Ametysta wypowiedziała zaklęcie, zawirowała jako tęczowa mgła i przeniosła się do gildii. Gdy tylko odeszła, Artur wszedł z powrotem do salonu. Zza drzwi wyszedł z promiennym, dzikim uśmiechem Kalin. Artur odwzajemnił się swoim najlepszym szczerbatym uśmiechem. W milczeniu odsłonili lustro, które stało schowane za drzwiami. Dotknęli go i zniknęli.

## VII

Od ponad dziesięciu minut przebywała w sali audiencyjnej Vika. Niestety, nadal musiała czekać, gdyż król w pośpiechu udał się w bliżej nieokreślonym kierunku. W tym czasie miała okazję przyjrzeć się bliżej owalnej komnacie. Zawsze lubiła to miejsce. Było majestatyczne i pełne ogromnych marmurowych kolumn. Witraże w oknach przedstawiały historię ich planety. Mimo bardzo dużej powierzchni okien światło nie miało tu zbyt wiele do powiedzenia. Złote dekory połyskiwały magią, oplatającą komnatę siecią ciszy.

— Pomińmy zbędne konwenanse. Czego on znowu chce? Przecież odmówił jakiegokolwiek współpracy lata temu — zaczął już od drzwi Vik.

— Wasza Królewska Mość, pamiętam wasze, hm, nieporozumienie dotyczące smoków. Jednak nie wiem, czy Jego Łaskawość zdążyła zauważyć, że smoki zaginęły lub, jak mówią niektórzy, wyginęły. Mimo ich, jak by to delikatnie ująć, porywczej smoczej natury są ważnym elementem spokoju społecznego oraz łańcucha żywieniowego. Dodatkowo mamy taki mały, malusieńki problem z nadmiarem wzrastającej agresji oraz mnożących się jak króliki demonów, i to niekoniecznie tych uległych. Niebawem może się okazać, że księżę ciemności nie będzie w stanie nad nimi zapanować.

— Rozumiem, że chcesz mi powiedzieć, że wyjdą na powierzchnię? Przecież przejścia są chronione. A jak do tej pory nasza armia radziła sobie bez zastrzeżeń.

— Tak, ale noce są coraz dłuższe, a magia obronna w ciemności jest osłabiona z powodu braku dopływu promieni.

— Nie sądzę, aby ich osłabienie miało aż taki wpływ na nasze granice. Zresztą ich liczba została podwojona. Vikowie dostarczają im wystarczająco dużo magii do utrzymania granic.

Brenda czuła, że rozmowa nie idzie w pożądanym kierunku. Miała wrażenie, że coś jeszcze martwi Vika, ale nie mogła zadać pytania wprost. To było bez sensu. Niczego się dotąd nie dowiedziała, a król jakby przeciągał rozmowę. Odnosiła wrażenie, że nie szuka porozumienia ani tym bardziej współpracy.

— Jaką masz pewność, że Aryman nie ma z tym nic wspólnego?

Brenda zrobiła wielkie oczy, a jej twarz jeszcze bardziej zbladła. Była tak zaskoczona tym pytaniem, że przez chwilę zabrakło jej słów, a oddech, który i tak był płytki u wampirów, ustał na moment. Skąd u niego takie pytanie? Przecież znał księcia. Jak mogło mu to przyjść do głowy? Akurat Aryman nie miał w tym żadnego interesu. Poza tym był zbyt leniwy. To oczywiste.

— Szanowny królu, proszę mi wybaczyć, ale skąd w ogóle przyszło to do głowy Jego Wysokości? Jaki interes miałby Aryman w tym, by zaburzyć równowagę i stracić kontrolę nad swoimi podwładnymi?

— Jak wiesz, odbyło się spotkanie rady. Doszliśmy do pewnych wniosków. — Wziął głęboki oddech i spokojnym, ale pełnym przekonania zimnym głosem powiedział:

— Ślady jednoznacznie wskazują na krew twojego króla.

— On nie jest moim królem, a jedynie mocodawcą. Chciałabym, aby Jego Wysokość wziął to pod uwagę.

— Drgania mocy jednoznacznie wskazują na ciemność. Kryształy pulsują światłem i częstotliwością ciemności. Księgi i obrazy mówią, że jest to bardzo unikalna nuta, jej skład jest prawie jednoznaczny.

Brenda z uwagą słuchała tego, co mówił. Wiedziała, że nie jest to możliwe, Aryman bowiem od wielu lat nie opuścił swojego królestwa. Bramy i wrota chroniono zbyt dobrze, aby mógł się wydostać, ponadto jego moc była w większości nekromancka. Oznaczało to, że jego

obecność w światach słońc byłaby wręcz niemożliwa, choć zdarzało się w przeszłości, iż władcy podziemia się wydostawali. Do tego była wymagana moc ziemi i jej żywiołów. A on przecież takiej nie posiadał.

— Szanowny Viku, rozumiem, że badania wskazały na nutę ciemności. Oczywiście zakładając, że to prawda, chciałabym zwrócić uwagę na jedno. To, co się dzieje w naszych wymiarach, oprócz nekromancji wymaga także władzy nad darami ziemi oraz żywiołów. Z całym szacunkiem, ale mój przełożony jej nie posiada. Władza nad życiem nie łączy się z władzą nad śmiercią.

— Być może masz rację. Jednak na obecną chwilę jedyne, co jest pewne, to fakt, że ślad jego krwi został odkryty w cząstkach diamentu. Nasze badania są niepodważalne.

„To nie ma sensu. On nie przebywał na powierzchni, odkąd stał się królem podziemia. Nie posiada też potomków. A może jednak, zanim zszedł do podziemia, pojawiło się jakieś dziecko z jego krwi” — zastanawiała się Brenda. — Viku, tak mi przyszło do głowy, czy mieszanka krwi i ras, która jest stosowana do „preparowania” naszych władców, zawiera krew ciemności?

Król spojrział na Brendę z niedowierzaniem w oczach. Coś jednak obudziło w nim czujnego drapieżnika, ponieważ dało się to wyczuć w nagłej zmianie zapachu władcy. Przyglądał się jej z największą atencją, co nie poprawiło samopoczucia Brendy po tak śmiałym pytaniu. W końcu pośrednio zasugerowała, że jeśli to prawda, nawet sam Vik mógłby być sprawcą zamieszania.

— Nie wiem, na to pytanie może odpowiedzieć tylko zakon Futura — odparł z rozdrażnieniem król.

Ta myśl definitywnie była niepokojąca. Król wyraźnie zaczął się nad tym zastanawiać, co oznaczało, że to mogło być prawdopodobne. Wydawało się jej niemożliwe, żeby miał z tym coś wspólnego. Ale te mityczne ogrody... Zresztą nie wiadomo, ilu adeptów miało odebraną magię. I czy w ogóle to, co mówią księgi i historie, jest prawdą.

— Audiencja skończona. Poślę po ciebie, gdy dowiem się więcej na temat wątpliwości, o których dziś wspomniałaś. Zanieś wiadomość swojemu mocodawcy, że jestem skłonny przyjąć jego propozycję.

## VIII

Siedzieli na gorącym niebieskim piasku, trzymając w rękach lustro. To tu właśnie pozostawili je ostatnim razem, korzystając z tego, że piaski były wystarczająco daleko od osad i nikt nie mógł ich zauważyć.

Artur wstał, otrzepując swój wielki brzuch z drobinek gorącego piachu. Mimo że na pustyni były małe szanse, aby ktoś ich zauważył, zarówno on, jak i Kalin pozostawali w ogromnym niebezpieczeństwie. Na tej pokrytej piachem ziemi, a dokładniej pod nią, znajdowało się wiele pułapek. Wewnątrz przebywały różne demony niższego rzędu. Niektóre potrafiły być upierdliwe, gryząc i drapiąc, na szczęście ich szkodliwość nie była większa od napastliwości komara czy mrówki. Kolejne atrakcyjne stwory podziemia okazały się już mniej sympatyczne. Potrafiły niezłe narozrabiać, na przykład wświdrowując się delikwentowi w oczy i pozabawiając go w krótkim czasie zawartości czaszki. Większość mieszkańców Blue nazywała je świderkami, co w zestawieniu z ich działalnością było określeniem nader pieszczotliwym. Artur starał się nie pocić jak świnia, ale jego obwisłe fałdy nie pozwalały na swobodny przepływ powietrza. Dodatkowo miał na sobie zdecydowanie zbyt ciepłe ubranie.

— Znowu wyglądasz, jakbyś wyszedł z tej swojej basenowej wanny — przygadał Kalin.

— Nie marudź, znowu zmienił ci się kolor skóry. Niebawem możemy cię nie odróżnić od demona wyższego rzędu — odciął się Artur.

Od dziecka był czuły na uwagi dotyczące swego wyglądu. Nigdy nie należał do przystojniaków, a jego powierzchowność stanowiła obiekt drwin nawet jego matki, która uważała, że to urocze, gdy mówiła do niego „mój pączusiu w oleju”. Na samo wspomnienie krew mu się zagotowała powyżej temperatury panującej na piaskach.

— A tak właściwie to dlaczego nigdy nie poszedłeś do szkoły magii? Przecież pierwszy lepszy zauważy, że masz problemy z kontrolą. Twoja skóra pozostawia wiele do życzenia. Wiesz, co będzie po tym, jak już cała szernieje?

— Wiem, wiem, i co z tego? Tam by mi tylko nakazywali i wpajali jakieś idiotyczne reguły i zasady. To wolno, tego nie. Ja wiem, co mam robić. A moja skóra da sobie radę. Moje dary już sobie z tym poradzą. Choć przyznam, że podróże w twoim towarzystwie odbijają się na mnie bardziej, niż myślałem.

— No dobra, to gdzie dziś idziemy?

— Zobaczysz, tylko ruszaj tymi swoimi racicami, bo nie wiem, czy po takiej podróży postawię runiczne bariery, a tym bardziej — czy dam je radę zasilić mocą.

— Nie wzięłeś ze sobą kamieni? — zapytał lekko przerażony Artur.

— Jakoś tak mi wyleciało z głowy, a co?

— Ty kretynie! Nie wiesz, że na piasku nie da się kreślić run?

Artur był u kresu wytrzymałości. Jak mógł dobrać sobie na współnika takiego idiotę. Przecież on miał mózg pchły, jeśli one w ogóle go mają. Wziął dwa głębokie oddechy i uspokoił swoje serce, które miało ochotę wyrwać się z jego wielkiej klatki piersiowej, a może puchowej poduszki. Jakby tego nie nazwać, po prostu się uspokoił. W gruncie rzeczy Kalin posiadał inne zalety: miał magię, był silny i pragnął władzy.

Szli w szybkim tempie, nawet jak na Kalina. Jednak noc zbliżała się wielkimi krokami, a wraz z nią niemiłe niespodzianki. Żaden z nich nie miał ochoty na spotkania twarzą w twarz ze świderkami ani innymi stworami. Krajobraz był mało zachwycający. Gdziejegdzie rosły niebieskie drzewa, a tu i ówdzie wyrastały kępy czerwonych traw. Niestety, na tych obszarach woda była luksusem, choć co bardziej obeznani podróżnicy posiadali możliwości wychwycenia jej prądów pod piaskiem i tworzenia prowizorycznych studni. Artur miał świadomość, że Kalin

nie powinien nadużywać ani magii, ani darów. Mogłoby go to znacznie osłabić lub wręcz stać się zagrożeniem dla ich życia.

W oddali widać już było mury osady, a właściwie miasta. Jego granice zlewały się z krajobrazem. Obaj wiedzieli, że powinni dotrzeć do bram za niecały kwadrans. Mury, bo tak wypadłoby je nazwać, miały wysokość średniego płotu. Brama natomiast była monstrualnie wielkich rozmiarów. W stosunku do ogrodzenia była przynajmniej dziesięciokrotnie większa, niż oszacował to Artur.

Kalin wyjął perłę osadzoną w kunsztownie wyrzeźbionym amulecie i położył na małym cokole obok bramy. Drzwi rozwarły się powoli, lecz płynnie. Artura zawsze fascynowało, jak magia potrafi burzyć oczekiwania ludzi. Nie było skrzypienia ani dźwięków typowych dla otwierającej się wielkiej bramy czy nawet drzwi. Bez słowa weszli do środka.

Przywitała ich cisza i biegające gdzieś szcury. Nie było widać mieszkańców miasta. Jak gdyby miasto wymarło. Ale przecież właśnie tu mieli otrzymać informacje. Mapa wyraźnie wskazała to miejsce. Czyżby zostali oszukani? To niemożliwe, przecież wszystko szło do tej pory z godnie z planem. On by ich przecież nie oszukał.

Gdzieś w oddali dało się słyszeć szum wody rozbijającej się o kamienie. Otaczały ich tylko dźwięki przeszywającej na wskroś martwej ciszy.

— Arturze, to nie tak miało być — odezwał się lekko zaniepokojonym głosem Kalin.

— Cicho bądź, może to jakiś test. Na pewno dobrze odczytałeś mapę?

— No przecież amulet zadziałał. Jeśli byłoby coś nie tak, brama pozostałaby zamknięta.

Nie podoba mi się to wszystko.

— Możesz podnieść osłonę? — wymamrotał Artur.

— Swoją mogę. Ty przecież nie masz osłon — powiedział z promiennym uśmiechem.

— No to właśnie po to cię mam! Podniesiesz mi tę cholerną osłonę czy nie? Rozejrzymy się trochę, może znajdziemy kogoś, kto nam powie, jak dotrzeć do sanktuarium.

Jednym ruchem dłoni Kalin podniósł wokoło nich magiczne zabezpieczenia. Ku wielkiemu rozczarowaniu obu nie były one zbyt stabilne ze względu na wyczerpującą podróż przez lustro. Arturowi wydawało się jednak, że powinny wystarczyć na zwiedzanie tego wymarłego miasta. Nie wyczuwał tu zagrożenia.

## IX

Max uwielbiał spacerować i podróżować między wymiarami. Były zawsze miłą odmianą. Uwielbiał niebieskie piaski Blue, krzątaninę w stolicy Kotaliny czy mistyczne i tajemnicze otoczenie gildii. Nie przepadał za podziemiem, choć zdarzało mu się tam bywać, gdy zaczynał mu doskwierać nadmiar złośliwości i docinków ze świata słońc. Dzisiaj jednak słońca świeciły pełnym blaskiem, a on podróżował w ludzkiej postaci przez Krainę Lazurów, która znajdowała się między stolicą a gildią. Bardzo tęsknił za Ametystą. Miała go odwiedzić jakiś tydzień temu, ale się nie zjawiała. To było do niej niepodobne, dlatego postanowił własnymi zmysłami sprawdzić, co się z nią stało.

Ścieżka była szeroka, pokryta złotymi kamieniami piaskowca. Po obu stronach płynęły wąskie strumienie, wijące się jak węże w potrzasku. Miały w sobie dzikość i nieprzewidywalność, a zarazem łagodność — połączenie tak bliskie Maxowi. Za strumieniami rosły stare zagajniki otoczone łąkami. Wyglądały jak strzelające baszty wśród wielobarwnej flory. Wszystkie istniejące kolory zlewały się w aksamitny dywan pełen zapachów i doznań, jakie mógł docenić tylko inkub. Uwielbiał to miejsce, często też spotykał się tu z Brendą bądź Ametystą. Siadali na skraju jednego z zagajników, razem podziwiali krajobraz i napawali się tym, co tak ulotne. U jego boku odpływały. Oczywiście nie obie naraz.

Za każdym razem, gdy przychodził tu z jedną z nich, ich dusze zaczynały przepełniać spokój, radość i poczucie bezpieczeństwa. Ten stan kobiety był dla niego jak otwarta brama do świata marzeń i oczekiwań, jak zaproszenie do namiętności i subtelności, które oferowały, a każda na swój sposób. Brenda bywała bardziej drapieżna w swych fantazjach, z kolei idealizm Ametysty i jej wewnętrzna moc oraz spokój bywały wręcz balsamem na jego przywary. Brenda rezonowała z nim. Czasami zastanawiał się, czy nie była choć w części skubą. Czuł, że bardzo głęboko skrywała swą drapieżność i dzikość. Prądy ciemności mieszające się z magią i światłem działały jak magnes. Obie na swój sposób były władcze i silne. Żadna nie ustępowała drugiej pod względem piękna, inteligencji, siły charakteru czy magicznej mocy. Był szczęściarzem, ponieważ mógł z nimi przebywać — oczywiście nie jednocześnie. Poznanie przez nie prawdy, że nie są tymi jedynymi, mogłoby być fatalne w skutkach — w szczególności dla niego. Na szczęście pochodziły z tak odległych od siebie światów, że szansa na ich spotkanie praktycznie równała się zeru.

Wędrując przez łąki, wspominał chwile spędzone z kobietami swojego życia. Nagle poczuł wołanie, wewnętrzny zew, potrzebę realizacji i urzeczywistnienia wszystkich wspomnień, które zaprzętały mu głowę przez większość drogi. Zmysłami zaczął w pośpiechu poszukiwać umysłu kobiety, która otworzyłaby się na spełnienie jego fantazji. W pobliżu nie znalazł żadnego istnienia ludzkiego.

Jego zmysły szalały. Pożądanie i potrzeba natychmiastowego zaspokojenia przysłoniły mu wszelkie inne myśli. Rozebrał się, obnażając ku słońcom swoje napięte mięśnie. Jego skóra lśniła drobinkami złota, pozwalając, aby światu ukazał się widok idealnego mężczyzny. Niestety, w odległości co najmniej dwóch godzin nikt nie mógł podziwiać tego stworzenia, spełniającego samym swym wyglądem wszelkie, nawet najbardziej wymyślne pragnienia kobiet. Zmienił się w swoje drugie ja — w białego wilka. W tym ciele biegł co tchu, aby dotrzeć do celu: umysłu kobiety. Istoty niespełnionej, pełnej marzeń i pragnień. Zranionej bądź nieszczęśliwej, ale z potencjałem, by brać i dawać to, co w najskrytszych snach przeżywała co noc. Biegł z prędkością wiatru. Jego zmieniona postać pozwalała mu na znacznie szybsze przemieszczanie się. Serce i oddech przyspieszały, aby napędzać i tak buzującą w szaleńczym biegu krew. Jego złote dzikie oczy wypatrywały oznak miasta, przedostatniego przystanku, zanim miał dotrzeć do gildii.

Ze wzgórza świat był widoczny jak na dłoni. Pośrodku przestrzeni majaczyło miasto. Wielkie i okazałe miasto hodowców smoków, którzy od czasu ich zaginięcia przerwali się na handel. Widocznie ich dochody nie zmalały, skoro z każdym metrem, kiedy zbliżał się do bram, widział odnowione, bogato zdobione złotem, strzelające wieże i dachy. Zwolnił, rozglądając się za schronieniem, w którym bezpiecznie mógłby zmienić postać. Wiedział, że białe wilki są rzadkimi okazami, a cena za ich skórę wysoka. Ten, który by go dopadł i zabił w tym stanie, spokojnie mógłby utrzymać siebie i tuzin żon do końca życia. Wreszcie dostrzegł wysoką trawę, gdzie powędrował i ponownie przybrał ludzką postać. Jego włosy pachniały łąkami i wiatrem. Bieg spowodował, że jego żyły były lekko widoczne pod opaloną skórą.

Zmysłami zaczął szukać tęsknot i umysłów kobiet. Czuł ich setki, ale niewiele z nich nadawało się do zaspokojenia jego żądz. Jedne były za młode, inne za stare. W końcu on też miał swoje standardy. Idąc w kierunku miasta, przeszukiwał myśli i pragnienia. W końcu znalazł trzy umysły, które miały wszelkie predyspozycje, by stać się jego na tę noc. Wszedł przez otwarte bramy do miasta i skierował się do najbliższego baru. Usiadł przy stole w kształcie gruszki i zamówił pieczeń z tęczowego węża z dodatkiem surówki. Było to jego ulubione danie, choć rzadko dostępne. Tęczowe węże były trudne do schwytania, a co za tym idzie — drogie. Jednak mięso tego stworzenia było miękkie i soczyste. Miało też niezbędną nutkę słońca, zaszytą głęboko w jego tkance. Nie poszukując już niczego, wysłał impuls do kobiety, którą obrał sobie na kochankę na tę noc, lub jak kto woli — ofiarę, i czekał, aż się zjawi. Wiedział, że przyjdzie. Zawsze przychodziły.



Ametysta siedziała w swoim pokoju na misternie rzeźbionym dębowym fotelu. Jego oparcie wyłożone aksamitem w kolorze turkusu nadawało meblowi nader nowoczesny wygląd mimo starodawnej formy. Na stole leżała otwarta księga z działu dostępnego tylko dla nielicznych magów najwyższego poziomu. Jej komnata jeszcze nie rezonowała z nią. Zgodnie ze zwyczajem dopiero po zdaniu wszystkich egzaminów i otrzymaniu kamienia została przydzielona do lewego skrzydła, w którym otrzymała własny pokój. Jako adeptka szkoły mieszkała z dwiema koleżankami, na dodatek nie przepadała za nimi. Jak na jej gust bywały zbyt imprezowe i nie miały zbytnej chęci do nauki. Odzwierciedliło się to zresztą w ich ocenach końcowych oraz kamieniu, jaki został im przyznany. Perydot był jednym z najniżej plasujących się kamieni w hierarchii, a jego właścicielowi głównie pozwalał na domową magię i podstawowe ziołolecznictwo. Amelia i Martyna zostały więc pielęgniarkami w miejscowej lecznicy.

Wyciągnęła nogi przed siebie, zsuwając się lekko z fotela. Czytała już od kilku godzin i nadal nie znalazła nic ciekawego. Rozległo się głośnie pukanie do drzwi, które oderwało ją od lektury.

— Proszę — powiedziała lekko zachrypniętym głosem.

— Cześć, jak było na radzie? — rzucił jak zwykle rezolutny Miatel.

Jej ametystowe oczy błysnęły radośnie na widok przyjaciela. Odłożyła książkę i ruszyła się przywitać. Uściskała go mocno.

— Skąd wiedziałeś, że wróciłam? Nie meldowałam się jeszcze u Arcymaga.

— Mam swoje sposoby.

Miatel nosił Rodnit, kamień średniego poziomu. Dodatkowo, jako animag, był zmiennokształtnym i przybierał formę indrisa, wprawdzie uroczą, jednak niedającą wielu dodatkowych atutów, no może poza umiejętnościami wspinaczkowymi.

— Czekaj, zaparzę kawę, chcesz?

Miatel skinął głową i usiadł przy magicznych perłowych płomieniach. Były bardziej ekonomiczne energetycznie niż zwykle drewno i pozwalały na ogrzanie wielkich, grubych murów w znacznie szybszym tempie. Ametysta wróciła z dwoma hebanowymi kubkami wypełnionymi po brzegi kawą ze szczyptą kakao. Usiadła obok niego na sofie, kładąc mu nogi na uda. Zawsze tak robili, gdy szykowali się na dłuższą pogawędkę.

— Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć wszystkiego? To była Najwyższa Rada, no i jestem zobligowana do zachowania tajemnicy.

Miatel zrobił oczy indrisa. Wiedział, że ten wzrok zawsze zmiękczał jej postanowienia.

— No dobrze, nie proszę cię o zdradzanie tajnych ustaleń. Ale powiedz, czy coś wydedukowaliście? No wiesz, znaczy, czy wiadomo, o co chodzi z tymi dniami, godzinami i smokami?

— Mamy pewne podejrzenia, ale to nic pewnego. Ślady częściowo wskazują na pana ciemności. Ale to mało prawdopodobne. A smoki, hm, generalnie padła myśl i chyba coś w tym jest, że pewnie zostały wprowadzone.

— Że co?! Uprowadzone? Jak sobie wyobrażasz wprowadzenie smoka, który jest rozmiarów świętej góry, a do tego ma łuski, ogień, no i cały ten swój urok? Przecież to bez sensu. Poza tym gdzie byś schowała siedemset smoków? Fakt, nie wszystkie są duże, ale mimo wszystko trudno mi sobie to wyobrazić. Nie ma miejsca ani w wymiarach ościennych, ani w naszych, gdzie można by ukryć tę zgraję.

— Słuchaj, generalnie te same wątpliwości i pytania padły na radzie. Jednak coś w tym musi być. Po pierwsze, gdyby to była zaraza, nasi zielarze by ją wykryli. Jak wiesz, krew

smoków jest rarytasem. Jeśli jakieś cholerstwo by je wybiło, nie sądzisz, że przeszłoby to na nasze rody? Najprawdopodobniej i my zaczęlibyśmy chorować. Poza tym brakuje ciał. Nie da się w kilka dni zakopać takiej liczby smoków. Dodatkowo, jak wiesz, nie działają na nie też zaklęcia niewidzialności.

— No niby tak...

— To, że nie widzimy ich w wymiarach ościennych, jeszcze o niczym nie świadczy. Znamy dobrze tylko pięć wymiarów. Jak wiesz, niektóre są równoległe. Niektóre z nich rzadko są otwarte na wiatry czy innego typu podróże magiczne. Jest też kilka, o których wiemy niewiele. Są kiepsko opisane, bo powróciło z nich zaledwie kilkunastu. Istnieją co najmniej trzy takie niezbadane kraje. Przynajmniej o tylu wiemy.

— A ty to niby skąd wiesz? Mamy to gdzieś opisane?

Ametysta odwróciła się do stołu, na którym leżała księga. Niestety, Miatel nie miał możliwości jej przeczytać, jego kamień bowiem nie uaktywniał atramentu. Księgę znalazła po tym, jak na prywatnym obiedzie Vik zasugerował, by poszukała informacji o niezbadanych wymiarach.

— Pewnie nie mogę jej przeczytać, co? — zapytał lekko zirytowany. Ametysta kiwnęła tylko głową na znak, że ma rację. — No dobra, ale ty możesz. Mogę jakoś pomóc? Skoro inni wrócili, może i ja się na coś zdam. Tu i tak jest mało do roboty. Ja też bym chciał być, no wiesz, bohaterem. Pisaliby o mnie pieśni niemagiczne i inne niewiasty patrzyłyby na mnie z podziwem. Nie zmieniam się nawet w tygrysa i do tego jestem kurduplem. Takie czyny to byłoby coś.

— Eee, nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Po pierwsze, nie wiem, czy twoja moc by wystarczyła. Po drugie, niewiele wiem o tych, którzy wrócili. Po trzecie, nie wiemy, jak się dostać do tych wymiarów.

Widziała, jak oczy jej młodego i radosnego przyjaciela płoną entuzjazmem na samą myśl o czynach wartych zapisania w księgach. Ametysta jednak bała się o niego. Było w tym wszystkim zbyt wiele niewiadomych. Nie miała wielu powierników w swoim otoczeniu, a sympatia w stosunku do innych przychodziła jej z wielkim wysiłkiem. Wiedziała też, że jego nieniknący młodzieńczy zapał spowoduje, że wcześniej czy później będzie zamieszany w tę zagadkę. A jeśli to nie ona nim pokieruje, on sam może wpaść na pomysł, który mógłby pozbawić ją przyjaciela raz na zawsze. A wiedziała, że na pewno tego nie chce.

— Miatelu, umówmy się, że jak już dowiem się więcej i będę potrzebowała pomocy, będziesz pierwszym, do którego się zwrócę.

Młody nie był tą odpowiedzią do końca usatysfakcjonowany. Jak to on, był w gorącej wodzie kąpany i szalony. Miał jednak do niej pełne zaufanie. Kwestie dręczące królestwo odłożono na inny moment, a oni zaczęli po prostu rozmawiać o niby nic nieznaczących, a jakże ważnych drobnostkach dnia codziennego.

## XI

Kalin i Artur chodzili już po niebieskiej krainie od ponad trzydziestu godzin. Zaczynało ich to powoli nużyć. Miasto było wymarłe, podobnie jak rody z obrazów. Za parę chwil miała nastać niebieska noc z czerwonymi smugami na niebie, które mimo swojego uroku (tak pewnie pomyślałaby kobieta) były zdradzieckie, gdyż potrafiły spadać na piach i miasto z wielką siłą, zmieniając się w gromy i błyskawice. Za każdym razem, gdy uderzały, napięcia mocy falowały, a to powodowało u magicznych poważne zawroty głowy, czasami nawet omdlenia.

Mury obronne zostawili już dawno za sobą. Piach oblepiał drzwi i okna budynków, od których odpadały bloki run. Miasto było w stanie pełnego rozpadu.

Nagle za plecami usłyszeli szuranie. Obaj wiedzieli, że miejsce to zarówno jest bardzo niebezpieczne, jak i niosące w sobie obietnicę władzy. Obrócili się gwałtownie. Ulica była pusta, a wiatr nadal tańczył z piaskiem na ziemi, tworząc wzory, jakich nigdy nie widzieli. Coś tu było definitywnie nie tak.

Niespodziewanie, kilka metrów od nich, rozległ się potężny huk. Jego siła była tak ogromna, że prawie popękały im bębunki w uszach. Kalin zwinął się z bólu, gdyż jego uszy, jako właściciela takiego potężnego daru, były wielokrotnie bardziej wrażliwe na dźwięki niż u zwykłego człowieka. Purpurowy rozbłysk oślepił obu. Artur powoli odzyskiwał wzrok. Przed oczami miał mroczki. Stopniowo, choć jak przez mgłę, zaczęły się pojawiać kształty. Spojrzał na swojego towarzysza i zbladł: Kalin leżał na ziemi skulony, bez ruchu. W tym samym momencie opadła bariera magiczna. Byli bezbronni, sami i bez możliwości ucieczki do lustra. Artur wiedział, że musi ocucić Kalina, bo w przeciwnym razie finał może być mało przyjemny.

Potrząsnął nim mocno za ramię, które chrupnęło. „Złamałem mu ramię, o kurwa” — pomyślał Artur. W tym samym momencie Kalin z wielkim wrzaskiem ocknął się i skoczył na równe nogi. Wyglądał jak opętany.

— Koti! Koti, słyszysz mnie? — powiedział donośnie, ale bez paniki Artur.

Nic po tym nie nastąpiło. Jego przyjaciel patrzył tylko przed siebie. Po jego twarzy zaczął się błąkać blady uśmiech. To nie było normalne.

— Halo, słyszysz mnie? Kotalina do Kalina. — Zamachał mu ręką przed oczami. Nie! Ewidentnie nawet nie czuł złamania. Po prostu stał i patrzył przed siebie. Nie podniósł też ochrony, co jeszcze bardziej zmartwiło Artura. Nie dość, że Kalin zachowywał się jak obłąkany, to jeszcze byli już całkowicie bezbronni. „Powiniennem być wziąć akumulator magiczny” — pomyślał. Stanie w miejscu niczego nie wносиło. Artur pociągnął współnika za rękę w kierunku otwartych drzwi, które zarejestrował jego umysł w przyływie adrenaliny. Niestety, jego krzepa była podobna do mysiej. Nie miał siły. Nieoczekiwanie, bez żadnej przyczyny Kalin zaczął biec. Wyrwał się z uścisku Artura, który, oszołomiony, zaczął podążać za nim. Jego krótkie i serdelkowate świńskie nóżki nie były w stanie nieść go na tyle szybko, by mógł nadążyć. Po chwili Kalin był na tyle daleko, że Artur zdał sobie sprawę, że nie ma szans, by go dogonić. Przyjaciel zniknął za kolejnym zakrętem.

Błysk rozświetlił otoczenie. Artura oślepiło białe światło z wstęgami ognia i czerwieni. Słyszał tylko krzyk współnika. „O nie, niedoczekanie, nie zostanę sam na tym pustkowiu”

— pomyślał i popędził, sięgając po resztki silnej woli i siły, jaką jeszcze mógł wydobyć ze swojego ciała. Pot lał mu się po twarzy. Jego szerokie szaty przylepiały się do spoconego i obolałego ciała. Między wałkami tłuszczu płynęły rwące potoki płynów ustrojowych. Skóra ocierała się o skórę. Piekło niemiłosiernie. Dotarł na plac prawie z językiem na wierzchu, a jego serce waliło jak skrzydła smoka.

To, co ujrzał, było dla niego tak zaskakujące, że nawet nie wiedział, czy ma się śmiać,

czy płakać. Kalin siedział na ziemi. Obok niego była postać ludzaco podobna do współnika.

— Jak ci się podoba moja nowa powłoka? Czyż nie zrobiłem się bardziej przystojny?

— Kim jesteś? — wydusił z siebie, dysząc ciężko, Artur. — To ty wysłałeś nam wiadomość?

— Areon we własnej osobie, miło mi was poznać — powiedział nieznajomy z tak szarmanckim uśmiechem, że Artur poczuł się prawie bezpiecznie.

— Wysłałem wam wiadomość, gdyż chcemy tego samego: władzy. Ja, no cóż, nie mogę się udać do waszego świata. A jak możesz się domyślać, potrzebuje tam swoich zaufanych ludzi, przyszłych władców.

— Dlaczego wyglądasz jak on?

— A co, nie podobam ci się? Mnie on się wydaje całkiem przystojny. — Zerknął na Kalina. — Trochę plamisty, no ale w sumie każdy ma jakieś wady. Może wolałbyś, żebym wyglądał tak?

W tej samej chwili zmienił się w urodziwą, choć egzotycznej urody, niewiastę. Potem w Artura, a na końcu w siebie. Widok był, delikatnie mówiąc, obrzydliwy i odrażający. Z głowy wystawały mu kolce wielkości paznokcia, tworząc w ten sposób osobliwy rodzaj włosów. Oczy miał ogromne jak spodki, brakowało w nich źrenic, więc wyglądały jak czarne plamy. Nos przypominał kartofel z dziurami wielkimi jak kratery. Usta były wydęte jak u zaby, choć modne ostatnio u kobiet w Kotalinie. Zupełnie nie rozumiał tej mody, ale nie to było teraz najważniejsze. Pozostała część jego ciała była kształtna jak u człowieka, ale przybrała barwę niebieską albo siną, trudno było określić ją w ciemności. Jego dłonie, mimo że teoretycznie normalne, miały dziwne plamy, tak jak u Kalina.

— Kim ty właściwie jesteś? — wydusił Artur głosem podobnym do piszczącego dziecka, zupełnie jakby mu ktoś przydusił klejnoty rodowe.

— Jak już miałem okazję wspomnieć, zwą mnie Areon, powtórzę, bo warto zapamiętać moje imię. Jestem przyszłym panem wymiarów. Mam przyjemność włączyć ciemnością. Mogę tworzyć demony. Mam władzę nekromancji i zmiennokształtności, choć dotyczy to tylko wyglądu ludzi. Znam się na runach i jestem panem smoków. No i na dodatek wzywaliście mnie i szukaliście możliwości, by zaważać wymiarami. Tym samym jestem do usług, moi panowie, na wasze rozkazy. — Uśmiechnął się złowieszczo, aż dreszcz przeszedł Arturowi po plecach. Kalin nadal był w stanie przypominającym trans. Miał wrażenie, że nie takiego wsparcia poszukiwali. Zdawał sobie jednak sprawę, że obecnie był na przegranej pozycji. Nie miał magii, Kalin był w transie i więcej niż nieobecny, a ten ktoś stał przed nim.

— Eeeeeeeee — wydobyło się z gardła Artura.

— Ależ proszę, wysłów się wreszcie. Pewnie się zastanawiasz, he, właściwie wiem, nad czym, bo nie masz barier chroniących twój umysł. Chcesz wiedzieć, skąd pochodzę? No cóż, historia jest długa i skomplikowana. Jak się już pewnie domyśliłeś, noszę w sobie krew króla ciemności. Tak, tak, on nie może mieć dzieci, ale wiesz, nie zawsze był władcą. Jest jeszcze parę innych wątków, nie musisz jednak teraz o nich wiedzieć.

— Co z moim przyjacielem? — powiedział już spokojnej Artur. — Będzie żył?

— I tak, i nie. Szkoda w sumie go unicestwiać. Taki ładny z niego chłopiec... Mój Markus nie jest już tak ponętny. Tak, będzie zatem żył, albo coś w tym stylu. Mniej więcej. Będzie myślał, chodził, ale także mi służył. Jego magia jest ogromna, jednak nie umie jej kontrolować, beze mnie pożyłby w waszym świecie najwyżej kilka lat, a tak będzie służył mi wiecznie swym ciałem i wiedzą. Stanie się też moimi oczami w waszym świecie. Jak już wspomniałem, na razie jestem zbyt słaby, by się tam przedostać. Zabezpieczenia są zbyt silne... Jak on ma właściwie na imię?

— Kalin.

— Ooo. No ładnie, ładnie. Bardzo płomienne imię. Ale tak właściwie muszę najpierw sprawdzić, czy chcę go na służbę. W sumie to zaszczyt dla niego. Przykro mi, że nie będziesz miał okazji go dostąpić, ale odbiegasz za daleko od moich standardów. Ta-ta, świnko! — Pomachał mu jak księżna z balkonu. — Rozgość się, a ja w tym czasie przetestuję twojego przyjaciela.

Areon podszedł do Kalina, objął go w nienaturalnie czułym uścisku i zniknął. Artur został ponownie sam w niebieskim świecie, odcięty od miejsc, które znał, bez możliwości ucieczki. Zdany na łaskę Areona.

## XII

Max leżał w swojej sypialni w pokoju wynajętym od właściciela gospody. Pomieszczenie było całkiem przytulne, dodatkowo wyposażone w urocze zabezpieczenia dźwiękowe, pozwalające na nieprzeszkadzanie innym gościom podczas nocnych igraszek. Jego ofiara leżała zawinięta w lawendowe prześcieradło, oddychając swobodnie i miarowo. Na jej twarzy błędził uśmiech, który mógł sugerować, że była dobrze dobrana. Niestety, miało to dla niej też swoje konsekwencje. W przyszłości nie będzie mogła założyć rodziny, jako że w rozumieniu mieszkańców tego miasta przestała być czysta.

Za to Max był bardzo szczęśliwy. Jego muskularne ciało leniwie wchodziło w stan pełnej ekstazy. Złocista skóra i mięśnie zarysowane na brzuchu w promieniach słońca wyglądały jeszcze bardziej hipnotycznie. Oczy płonęły szczęściem i tak potrzebnym mu spokojem. Jej marzenia, które przekazał umysł, nie były zbyt wyrafinowane, ale po takim okresie bez praktyki wystarczyło mu to w zupełności, by ukoić swój zew inkuba.

W swe duże dłonie ujął jej małą, delikatną, aksamitną rękę. Miała w sobie dużo naturalnego uroku. W zasadzie, skoro i tak zniszczył swojej ofierze życie, może ponownie skorzystać z jej umysłu i ciała. I tak niczego to w jej sytuacji nie zmieni, a on pozwoli sobie ponownie na ukojenie długo drzemających w nim potrzeb.

Położył jej dłoń na swojej męskości, która powoli zamieniała się w tętniącą życiem skałę. Czuł, jak pożądanie zamienia się w żądzę. Ona powoli budziła się z marzeń sennych. Odwrócił ją na plecy i bez pytania wszedł w nią tak głęboko, że aż poczuł mrowienie w jej ciele. Zaczęła szybciej oddychać, gdy jego ręce przesuwają się po piersiach. Jego język wędrował po szyi i sutkach. Ciało zaczęło wrzeć pod męskim naporem na jej łono. Czuł, że zabrał ją w przestworza. Wtedy jej umysł otworzył się głębiej, a jego sonda weszła w najskrytsze marzenia wraz z członkiem, który penetrował z zawziętością zakamarki jej ciała.

Jej żądze i pasje nie były takie subtelne jak na początku. Ba, stanowiły nawet wyzwanie. Obudził w niej kobietę pełną pasji. Wziął jej ręce i przytrzymał w górze. Otworzyła szeroko oczy, zapraszając swym spojrzeniem, które podsycalo już i tak napiętą atmosferę. Zaczęła jęczeć. Jej smak i zapach zmieniły się radykalnie w pierwotną potrzebę spełnienia. Zwykła, dzika, pierwotna żądza. Czuł, jak jej marzenia zaczynają blaknąć. Przewrócił ją na brzuch, kontynuując płynnie i zdecydowanie swoje dzieło. Tak, to był dobry wybór. W jednym momencie jej ciało naprężyło się i wygięło w przyjemny łuk, który pozwolił mu zakończyć poranne ekscesy. Oboje zlała fala lekkich drgań wszystkich mięśni, które rozniosły się przyjemną falą błogostanu. To była udana ofiara.

Max podniósł się z łóżka. Dawno nie był tak zadowolony. Pozwolił, aby jeszcze chwilę odpoczęła. Miał czas. Ametysta była w gildii i nie sądził, by zbyt szybko ją opuściła. Tęsknił za nią. Właściwie nie tylko za nią — Brenda była jego miłością tak samo jak Ametysta. „Życie jest piękne” — pomyślał. „Mam wszystko”.

Wszedł do wanny i wziął przyzwoitą kąpiel, zmywając z siebie zapach tej kobiety. Nie mógł pozwolić, aby ona go wyczuła. Namydlił swoje ciało delikatnym płynem o zapachu drzewa lawendowego. Było mu dobrze. Wyszedł i owinął się ręcznikiem, przykrywając tym samym swe okrągłe i opalone pośladki, które jędrniały, gdy chodził w bardzo seksowny sposób. Gdy wyszedł z łazienki, podążała za nim woń świeżości. Łóżko w pokoju było puste. Zdobycz zniknęła. Pewnie uciekła, jak one wszystkie, w poczuciu wstydu i strachu, co powie jej rodzina.

W zasadzie wszystkie, które wcześniej były nietknięte, właśnie tak uciekały. Wiedział też, że nigdy go nie zapomni i że nigdy żaden inny mężczyzna nie zaspokoi jej tak jak on. Ubrał się. Wziął w rękę swój tobolek i zszedł na śniadanie. Dziś miał ochotę na coś wyjątkowego.

— Dzień dobry panu. Jak minęła noc? Wszystko w porządku? — zagadnął karczmarz.

— A dzień dobry. Tak, noc była, powiedziałbym, wyborna.

— Co panu podać? Dziś mogę polecić krewetki na maśle czosnkowym z koktajlem na kruszonym lodzie z mango i noni.

— Brzmi bardzo dobrze. Poproszę też kawę. Mocną, może być z krwią smoczą.

Po niecałych dziesięciu minutach karczmarz podszedł z zamówieniem. Mimo że Max był dużym orędownikiem etykiety, nie dał rady się powstrzymać i wchłonął posiłek znacznie szybciej, niż nakazywało dobre wychowanie. Pusty talerz odstawił na końcówkę gruszki i wziął łyk kawy, którą zachował na deser. Przez okno w karczmie przyglądał się, jak życie w mieście biegnie swoim rytmem. Nie wzbudzał niczyjego zainteresowania. Niewielu też miało się dowiedzieć, jak zmieniło się życie tej kobiety. Ludzie i zmiennokształtni mijali się, nie zwracając na nic uwagi. Typowe miasto bezimiennej masy. Wypił do końca kawę, zapłacił i wyszedł na ulicę, wtapiając się w tłum. Zanim wyruszył dalej, musiał zakupić trochę wody i jedzenia, gdyby w drodze do gildii wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Sprawunki schował do torby i skierował się w kierunku bramy. Był już niedaleko, czekało go tylko jakieś trzy dni drogi.

### XIII

Brenda siedziała z Damonem na werandzie, popijając kawę. Zdążyła przekazać już wieści królowi ciemności i właściwie nie miała nic do roboty. W podziemiu na razie był spokój, a król nie wezwał jej ponownie. Postanowiła spędzić więc trochę czasu ze swoim ojcem. Takie dni niby wakacji nie zdarzały się często w jej życiu najemnika. Postanowiła zatem sprawić ojcu przyjemność i założyła lekką, jedwabną suknię na wzór tej, którą nosiła jej matka, gdy była jeszcze panną. W oczach ojca błyszczała melancholia i duma, że ma taką piękną córkę.

— Szkoda, że tak rzadko nosisz sukienki. Wyglądasz w nich zjawiskowo, kochanie.

— Oj, tato, w kieckach ciężko się biega, a poza tym jak sobie wyobrażasz mnie latającą na wiatrach w sukienkach. Nie widziałabym, gdzie lecę, i jeszcze tyłek by mi zamarzl. Wiesz, jak tam zimno?

Damon uśmiechnął się do niej ciepło. Wiedział dokładnie, co powie. Te argumenty pojawiały się za każdym razem, gdy próbował ją nakłonić do bardziej kobiecego wyglądu.

— Zresztą Maxowi to nie przeszkadza, tato.

— Mmm, mówisz? Nie przypominam sobie, abyś mi opowiadała o panu M. Czy to coś poważnego? To twój facet?

— Czy ja wiem? No, jak by ci to powiedzieć. To taki luźny związek z perspektywą przyszłości. Ale sama nie wiem, bo wiesz, w sumie nasze rasy nie powinny się bratać. To znaczy może bratać to się możemy, ale dzieci i te sprawy to już niekoniecznie.

Oczy Damona otworzyły się szerzej. W głębi widać było niepokój.

— Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że ten cały Max to jakiś demon albo, co gorsza, tfu... człowiek.

— Nie, tato, proszę, za kogo ty mnie masz? Nie mam ochoty patrzeć, jak umierają mi kolejni mężowie. On jest inkubem, tato. Do tego jest też półwilkiem.

— No, to mogłoby być ciekawe. Małe wampirki z mocą wilka i spełniania fantazji erotycznych. To by był dopiero miks. Rozumiem, że jak się zmienia, to cały, a nie na przykład tylko pysk?

— Tato! Przestań żartować. Tak, zmienia się cały. — Oczy Brendy pociemniały. — Zmieńmy temat. Co, tato? Naprawdę mam zamiar odpoczywać i po prostu się byczyć. A ty mnie tu zarzucasz jakimiś egzystencjalnymi pytaniami. Proszę, pogadajmy na przykład o tobie albo nie wiem, o mamie? Albo po prostu nic nie mówmy. Będziemy siedzieli w cieniu, przyglądając się słońcom, jak krzyżują się na niebie. Co ty na to?

Damon westchnął głęboko. Cóż on, biedny ojciec miał począć z ciągle zbuntowaną córką. W gruncie rzeczy nie miał na co narzekać. Jej kilka dni wolnego było naprawdę powodem do świętowania. A poza tym sama zdecydowała, aby ten czas spędzić z nim. To było miłe. „Pójdę zrobić obiad, lubię, kiedy mam z kim pogadać przy stole. A wiły tak pięknie dziś śpiewają” — pomyślał.

Brenda patrzyła na latające ptaki i zastanawiała się, czy rzeczywiście ona i Max mają jakąkolwiek przyszłość? Byli tak różni od siebie. On — łowca, podróżnik, inkub i wilk. Ona — najemnik u pana podziemia. W sumie byli podobni do siebie jedynie w trakcie ich dzikiej namiętności. Raz nawet zderzyli się kłami, co, patrząc z perspektywy czasu, było dość zabawne. Gdy krew wewnątrz wrzała, a świat wirował, byli w pełni sobą. Ich oczy stawały się błyszczącymi żółtymi szparkami, podniecenie i żądza zmieniały ich w to, czym naprawdę byli. W drapieźników. Ostre kły wbijały się co chwilę w skórę, sącząc krew z niewielkich zadrapań. Krew dodatkowo rozpalala ich zmysły. Ciała wirowały już nie w tej rzeczywistości. Brak kontroli, instynkt zwierzęcy i natura drapieźnika, choć wywodzące się z innych korzeni,



sprawiły, że takich erotycznych uniesień Brenda nigdy wcześniej nie zaznała. „Eh” — westchnęła, uśmiechając się do siebie. „Przynajmniej na stare lata będę miała co wspominać. Ciekawa jestem, ilu jeszcze takich Maxów mi się przytrafi” — i znowu uśmiechnęła się do swoich myśli, które były coraz bardziej nieprzyzwoite.

— Brenda, zjemy na zewnątrz czy w środku? — Z zamyślenia wyrwał ją głos ojca.

— Tato, zjedźmy na dworze, tu jest teraz naprawdę przyjemnie. Co dobrego zrobiłeś do jedzenia?

— To, co lubisz najbardziej: wątróbka na wpół surowa z dodatkiem czosnku i oliwą z oliwek. Do tego oczywiście nasze ulubione wino z dodatkiem goździków.

Usiedli przy stole, przyglądając się zachodowi słońc. Ich rozmowa popłynęła w zupełnie swobodnych kierunkach. Powoli robiło się ciemno, oni zaś ciesząc się sobą nawzajem, wybuchając co chwila gromkim śmiechem, siedzieli, patrząc na zasypiający wokół nich świat.

## XIV

Artur usiadł w głębi ruin jednego z domów. Niebieski piasek ciągle pchał się we wszystkie zakamarki jego ciała. Był zmęczony, głodny i przerażony. Areon kazał mu czekać na znak. Powiedział, że idzie testować Kalina. Prawdę mówiąc, czasami, kiedy patrzył na Kalina, sam miał ochotę wziąć go na „jazdę próbną”, ale niestety nie było mu to dane — Kalin zupełnie nie był nim zainteresowany. W sumie to zazdrościł trochę Areonowi.

Było ciemno i chłodno. Ugrzązł w tym świecie bez pomocy przyjaciela. Właściwie bez jego magii nie miał szansy się stąd wydostać. Brudne i przeпоcone szaty lepiły mu się do ciała, chrzęszcząc przy każdym jego ruchu.

— Arturku... Arturku... Gdzie jesteś? Już czas, abyśmy porozmawiali... — Gdzieś z placu dochodziło przekorne wołanie.

Czyżby było już po wszystkim? Artur wyteżył słuch. Kroki zbliżały się powoli w jego kierunku. Nie wiedział, czy powinien się ujawnić. Jego serce biło w takim tempie, że w panującej głuchej ciszy można było mieć wrażenie, że wielki młot rozrywa ciszę. Błysk światła rozpruł ciemność na pół. Z nieba zaczęły prószyc wielobarwne gwiazdy. Wewnątrz tych rozbłysków ukazała się postać Areona. Wyglądał na bardzo zadowolonego.

— Ach, tu jesteś, moja mała świnko... Trochę ci pewnie smutno siedzieć tak samemu?

Areon przyglądał się Arturowi z szelmowskim uśmiechem, przemawiając do niego jak do dziecka, którego zachowanie wydaje się trywialne. Cynizm wręcz kapał z jego ust, a jego oczy połyskiwały jak namagnetyzowane.

— Gdzie jest Kalin? Co mu zrobiłeś?

— Przecież ci mówiłem, że będzie moim sługą.

— Czyli co, teraz będziesz go wykorzystywał? Czy on jest w ogóle świadomy, że uprawiasz z nim seks? Czy poza uciechami, jakie sobie z nim urządzasz, ma jeszcze dla ciebie jakieś znaczenie?

— Ojoj, jaki ty, Arturze, jesteś troskliwy. Naprawdę złapałeś mnie za serce. To takie ludzkie. — Areon wyszczerzył zęby w uśmiechu, który wręcz przeraził Artura.

„Ja się do tego nie nadaję. Za stary jestem. Muszę się wziąć w garść i się z stąd wydostać”.

— Chciałeś ze mną porozmawiać? — zapytał Artur, starając się zapanować nad drżeniem głosu i niekontrolowanymi ruchami ciała.

— A tak, chciałem. Powiem ci, co teraz będzie, a ty mnie grzecznie posłuchasz. Rozumiesz?

Artur tylko przytaknął, czując zmianę tembru głosu Areona, który stał się nagle władczy i nieznoszący sprzeciwu.

— Kalin, a właściwie jego powłoka, wróci z tobą do twojego świata. Dostaniesz też mapę oraz informację na temat innych światów, żebyś mógł przygotować swój raport dla króla. Nie chciałbym, żebyśmy zaskoczyli go wiedzą o mnie zbyt wcześnie. Rodzina jest ważna, ale czasami nie warto zaskakiwać swoich bliskich. Radość ze spotkania może okazać się zbyt przytłaczająca. — Areon usiadł na ziemi, przyglądając się uważnie Arturowi. — Zastanawiasz się pewnie, jaka rodzina? Hm... Jeśli masz mi służyć, może warto, byśmy się lepiej poznali. Ja wiem o tobie wszystko, ale ty zapewne niewiele na mój temat. Och, jak się cieszę, że będziemy współpracowali. — Jego głos zmienił się w tak uroczy i życzliwy, że Artur prawie zapomniał, co wydarzyło się jeszcze kilka godzin wcześniej.

— Kim jesteś i czego chcesz od nas? — zapytał spokojnie Artur.

— Zacznijmy od początku. Wiesz, nie mam czasu opowiadać wszystkiego, ale postaram

się wtajemniczyć cię w sprawę. Jestem tak jakby bratem Vika. No, nie patrz tak się na mnie. W sumie to dzięki mojej mamie tak się ciekawie ułożyło. Zanim urodził się Vik, moja mama była kobietą o niezwykłej urodzie. Kochali się w niej wszyscy, nawet Aryman.

— Aryman? Król ciemności? Ale przecież on nie może mieć dzieci.

— Teraz, gdy objął władzę, nie. Ale jak wiesz, kiedyś był zwykłym, no może nie tak do końca zwykłym, człowiekiem. Właściwie był potencjalnym Vikiem.

— Przecież wszyscy ci, którzy nie zostają przeznaczeni do władania, są odsuwani, a ich magia jest konfiskowana.

— Widzisz, uczucia ludzkie są nieocenione w komplikowaniu życia. Otóż nasza matka, jak już wspominałem, była niebagatelnej wprost urody. Dodatkowo posiadała dar uwodzenia, bardzo przydatny w podbijaniu męskich serc. Żeby było bardziej tajemniczo, wiedz, że nie miała pojęcia, że jest właścicielką tego daru. Gdy miała trzydzieści pięć lat, urodziła pierwszego potomka. Ze względu na swoją linię krwi wiedziała, że będzie musiała poddać go badaniu w zakonie. Należała do grupy strażniczek linii krwi. Była młoda i nie chciała, aby zabrano jej ukochanego syna. Niełatwo jednak ukryć ciążę. Zanim powiła niemowlę, uwiodła jednego z zakonników. Jak wiemy, magowie z Futura mają bezwzględny zakaz spółkowania ze strażnikami krwi. Pozwoliła zakonnikowi myśleć, że jest to jego dziecko. Ponieważ mag wywodził się z ludzkiej rasy, jego uczucia i emocje nie pozwalały na to, by dziecko zostało unicestwione. Z tego względu w porozumieniu z matką oddał dziecko na wychowanie do kobiety z jakiejś zabitej dechami wsi. Kobieta ta w tym samym czasie powiła córkę. Wszyscy myśleli więc, że zielarka urodziła bliźniaki. Jak wiesz, zdarza się to u słabo wykwalifikowanych zielarek, pracują bowiem z magią ziemi i ziołami, co często staje się powodem cięż bliźniaczych.

— Zaraz, chcesz powiedzieć, że Aryman jest twoim ojcem? Czy on o tym wiedział?

— A czy ma to jakieś znaczenie? Podejrzewam, że jakbym dobrze poszukał, okazałoby się, że mam wielu braci i jeszcze więcej siostr. Nie ma to większego znaczenia. Ale tak, to mój tatunio.

— Ale to oznacza... — Artur mówił ostrożnie, dobierając słowa tak, aby nie przegapić żadnego szczegółu. Jego myśli biegły wręcz na wyścigi, odtwarzając posiadaną już wiedzę i łącząc ją w całość — że prawdopodobnie jesteś odpowiednio spreparowany na przykład do oddawania mocy Vikowi. Dlaczego ten, który myślał, że jest twoim ojcem, nie nadzorował twojego rozwoju?

— To też nie jest teraz ważne. Ważne jest, że w dniu, w którym mój kochany ojciec objął władzę w podziemiu, moja krew zmieniła zawartość i szala przechyliła się w kierunku nekromancji. Dodatkowo mam też wiele innych darów, talentów i umiejętności.

Artur pamiętał, że rada brała taką sytuację pod uwagę, gdyż krew Arymana była bezsprzecznie w to zamieszana. Nikt jednak nie brał na poważnie możliwości, że przed objęciem podziemia mógł mieć dziecko, a tym bardziej — dzieci.

— Znasz może innych z jego krwi? — zapytał trochę odważniej Artur. Jako naukowiec uznał, że to okazja, by móc ponownie stać się sławnym.

— Czuję vibracje, ale ich nie znam. Wiesz, dla niego gatunek nie miał znaczenia, każda się nadawała. Jako inkub miał ten dar.

— Aryman jest inkubem?

— A co, nie wiedziałeś? No cóż, widzę, że jeśli chodzi o dociekliwość, wasz świat nauki pozostawia wiele do życzenia. W każdym razie jestem ja. No i jak wiesz, mam smoki.

— Czyli one żyją? Ale jakim cudem zdołałeś doprowadzić do tego, że zniknęły?

— Ach tak, smoki. Widzisz, po zasianiu na waszych granicach chaosu, postanowiłem nabrać trochę siły. Jak wiesz, ich krew jest bardzo pożywna, a do tego w dawnych czasach

służyły jako wojownicy, dopóki ich nie udomowiliście. To pasjonujące zwierzęta, dzikie, ale posłuszne swojemu przywódcy.

— Tak, wiem, ale to nadal nie tłumaczy, w jaki sposób...

— Od razu chciałbyś wszystko wiedzieć. Twój przyjaciel już jak widzę, przestał cię interesować... To dobrze, bo w sumie dalej będziesz podróżował ze mną.

— Przecież nie możesz opuszczać tego wymiaru.

Areon uśmiechnął się wręcz promienie, jednak jego oczy zdradzały prawdziwe intencje.

— Ja nie, ale wewnątrz jego ciała — tak.

— A smoki, one też pójdą z nami?

— Nie, nie, smoki zostają, zaopiekują się nimi moi podwładni. Szkoda, że nie będę mógł już korzystać z Kalina, ale każdy musi coś poświęcić.

Wszystko wydawało się takie fascynujące i nierzeczywiste. Z jednej strony Artur bał się, widząc tę kreaturę przed sobą, z drugiej czuł, jaki ogromny sukces Areon mógłby mu zapewnić. Stałby u boku nowego króla albo zmieniłby oblicze nauki. Mógłby być podziwiany i szanowany. Może nawet wzbudzałby strach, będąc prawą ręką takiego władcy. Mógłby mieć każdą kobietę, a nawet mężczyznę. Do tego dzierżyłby władzę i nikt by nie drwił z niego ani z jego wyglądu. Tak, mimo że intuicja podpowiadała mu, iż jest to bardzo niebezpieczna gra, chciał w nią grać. Nagroda wydawała się tak bardzo kusząca i była na wyciągnięcie ręki. Tak niewiele brakowało, aby jego sen się ziścił.

## XV

Max wszedł do gildii po ówczesnym zarejestrowaniu się w księdze gości. Widząc jego pochodzenie, strażnik zrobił kwaśną minę, jednak bez słowa wpuścił go na teren siedziby magów. Max wielokrotnie miał okazję odwiedzić gildię, ale za każdym razem był pod wrażeniem magii przeplatającej się z coraz to nowymi zdobyczami kunsztu budowlańców. Dzięki magii było to najpiękniejsze miasto i najlepiej utrzymane we wszystkich wymiarach. Dodatkowo, ze względu na różnorodność kultur, każdy mógł tu znaleźć coś dla siebie.

Ametysta mieszkała w głównym budynku, który otaczały przepiękne kwiaty Lei. Dzięki magii kwitły cały rok i były wielkości drzew lasów Kotaliny. W nich też mieszkały kolorowe duszki leśne, które przed wieloma laty uciekły ze swojego wymiaru. Obecnie stanowiły pewien problem, ich populacja bowiem w tych cieplarnianych warunkach rozrosła się tak bardzo, że brakowało dla nich miejsca.

Max wszedł na ostatnie piętro schodami z bukowego drewna i przyłożył dłoń do drzwi. Jego puls został odczytany jako przyjazny. Zapukał, ciesząc się na spotkanie, które miało za chwilę nastąpić.

— Proszę — powiedziała Ametysta, słysząc pukanie do drzwi.

— Witaj, moja Ami.

— Maaaaaax, na Re, co ty tu robisz? Ojej, fakt, miałam się z tobą zobaczyć ponad dwa tygodnie temu. Przepraszam, wiesz, to zamieszanie, tyle się dzieje. Mam tyle do przeczytania no i... Jak ja się cieszę, że cię widzę. Jesteś głodny? Może kawy?

Max tylko się jej przyglądał. Jak zwykle wyglądała zjawiskowo. Właściwie to nie usłyszał ani jednego wypowiedzianego przez nią słowa. Jej ton głosu mówił sam za siebie. Ona też się za nim stęskniła. Wyciągnął do niej rękę i stanowczo, a zarazem delikatnie przyciągnął ją do siebie i pocałował.

— Max, proszę, jest dzień i pracuję. Może najpierw pogadajmy. Wiesz, że nie możesz tu zostać na noc bez zgody Arcymaga. Masz w ogóle gdzie spać? Na długo przyjechałeś?

Uśmiechnął się tylko, słuchając jej szczebiotu.

— Dobrze, tak, znajdę coś, nie wiem, to zależy od ciebie.

— Nie rozumiem... Co dobrze? Co znajdziesz? — Ametysta była taka podekscytowana jego przyjazdem, że pytania nieświadomie wypływały z jej ust. — Nieważne. Cieszę się, że jesteś. Siadaj, zaraz dam ci coś do jedzenia i kawę, taką jak lubisz. Zaraz muszę wyjść na spotkanie, ale możesz tu zostać. Wykap się, ja będę wieczorem. Wtedy pogadamy.

Ametysta wyczarowała przed nim jego ulubione potrawy i własnoręcznie poszła zaparzyć kawę. Lubił to miejsce. Kto by zresztą nie lubił, gdyby go tak witano. Ami postawiła kubek na stole i ucałowała Maxa gorąco.

— Wrócę wieczorem. Czuj się jak u siebie. — Posłała mu przelotny uśmiech i zniknęła za drzwiami.

Minęło trochę czasu, gdy weszła do pokoju. Max, już odświeżony i przebrany, leżał na łóżku, przysypiając. Sam był zdziwiony, że tak go ta podróż zmęczyła.

— Przypadkowo spotkałam na korytarzu Arcymaga. Nie był zbyt szczęśliwy, ale zgodził się, żebyś tu został.

Na jej twarzy malowało się zmęczenie. Widać było, że spotkanie wyssało z niej wszystkie siły vitalne. Wstał więc i zaczął masować jej kark. Wiedział, że to jej ulubiona forma relaksu.

— Na Re, jak mi czasami ciebie brakuje, i tych masaży.

— Dlatego je tak cenisz — szepnęła Max. — Zrobię ci coś ciepłego do picia. A może

chcesz trochę grusznika? Przywiozłem ze sobą, wiem, że lubisz.

— Wiesz co, to wcale nie jest zły pomysł.

Usiedli w fotelach przy perłowym ogniu i w ciszy popijali jej ulubiony alkohol.

— Słuchaj, Max, naprawdę jest mi przykro, że nie dotrzymałam słowa.

— Ami, nieważne, jestem tutaj i widzę, że jesteś zarobiona jak smok. Mogę jakoś pomóc?

— Nie wiem. Powiedz mi, ta moc inkuba i wyczuwania marzeń i zmysłów. Czy można ukierunkować ją jakoś inaczej niż na potrzeby, no wiesz... — Uśmiechnęła się kokieteryjnie.

— Nie mam zielonego pojęcia. A o co ci tak dokładnie chodzi? Istnieje ograniczenie powierzchni, no wiesz, odległości. Gdy się wyciszę, wyczuwanie przychodzi dość naturalnie.

— No bo tak sobie myślałam, że gdyby możliwe okazało się wycucie jakichś innych, szczególnych emocji. Nie wiem, na przykład pragnienia władzy.

— Ale ja nie wyczuwam emocji, tylko głęboko ukryte pragnienia. Prawda, że o dość oczywistej tematyce. Ale nie są to emocje, lecz pragnienia.

— No dobrze, sądzisz, że dałbyś radę skupić się na innych pragnieniach? Tak jak wybierałeś kiedyś ofiary, zanim mnie poznałeś? Musiały spełniać pewien profil, prawda?

— Tak. I chcesz, żebym sprawdził, czy dam radę zrobić to samo, ale hm... szukając czegoś innego? Tak?

— Tak.

— OK. To umówmy się, że ja teraz odstawię ten pucharek. Wezmę cię na ręce i zaniosę na zasłużony wypoczynek. Dobrze? A jutro spróbujemy.

— Tak po prostu idziemy spać? — zapytała, wyginając usta w podkówkę.

Max uśmiechnął się wymownie.

— Czy tak po prostu, to nie wiem, ale zaniosę cię do łóżka, a potem zobaczymy, czy nas zmorzy sen.

— Niech się dzieje, co chce. Nieś mnie, mój inkubie. — Ametysta zaśmiała się spokojnym i zrelaksowanym głosem. Było jej tak dobrze.

## XVI

Artur i Kalin, a właściwie Areon, stanęli w pokoju, z którego pierwotnie przenieśli się do niebieskiego wymiaru.

— Jak tu, hm, inaczej — zauważył Areon. — Zawsze lubiłem nowe wymiary, dobrze jest doświadczyć czegoś nowego. Ostatni raz odwiedziłem Kotalinę jako mały chłopiec. Ciekaw jestem, czy mój niby-ojciec paęta się jeszcze gdzieś w zakonie. Zakładam, że mój niby-brat nadal zasiada na tronie.

— Tak, Vik nadal jest królem, choć dzięki tobie, Ar... znaczy Kalinie, mocno sfrustrowanym.

— Musisz uważać, jak się do mnie zwracasz, nie chcielibyśmy, aby inni się zorientowali, że ja to nie on. Prawda?

Jego głos brzmiał identycznie jak Kalina. Gdyby jednak ktoś uważniej się przysłuchał, akcenty były rozkładane nieco inaczej. Poza tym Areon często używał, jak określiłby to Kalin, mądrych słów, które w ogóle nie pasowały do Kalina. Artur przeszedł do dużego pokoju, zastawionego starymi meblami, które otrzymał w spadku po rodzicach. Na biurku, które tkwiło na środku, walały się sterty papierów i książ. Nic się nie zmieniło od czasu, gdy opuścił z Kalinem swój dom.

— Mógłbyś zapalić w kominku i trochę tu posprzątać? Kalin tak zawsze dla mnie robił, gdy czekały nas długie godziny pracy.

— Mógłbym, ale nie wiem, czy mi się chce. Wiesz, te plamy jakoś mnie irytują.

Artur zupełnie zignorował ten komentarz.

— Mówiłeś, że pomożesz mi napisać sprawozdanie dla Vika. Teraz i tak już jest wieczór, więc niewiele mógłbyś zobaczyć w okolicy. Jutro zabiorę cię na targ. A tak właściwie, czy ty jesteś, no wiesz... taki jak my? To znaczy jesz, śpisz i tak dalej?

— Tak. Jem i śpię, znaczy nie do końca, ale jak już pewnie zauważyłeś, choć z drugiej strony nie jesteś zbyt spostrzegawczy, ale... jestem w jego ciele. Ono niestety jest moim ograniczeniem i muszę je utrzymywać w dobrej formie, żeby mój plan się powiódł.

— Czy on tam w ogóle jeszcze jest? — zapytał Artur, udając, że nie usłyszał kolejnej kąśliwej uwagi.

— Nie wiem, w sumie mało mnie to interesuje.

„Jesssstem, ty gnido, na Re, jak ty śmierdzisz” — odezwał się głos w głowie. „Zobaczysz, nie przeżyjesz w moim ciele”.

Głos mocno zaskoczył Areona. Nie mógł jednak teraz, gdy się już wydostał z niebieskiego wymiaru i więcej zewsząd nudy, pozwolić sobie, by coś poszło nie tak. Udał więc, że się zamyślił. Machnął od niechcienia ręką, aby zapalić w kominku, ale ku jego ponownemu zdziwieniu nic się nie wydarzyło. Zdumiony uznał, że pewnie wykonał ten gest nie tak precyzyjnie jak trzeba, gdyż od lat nie musiał używać tego zaklęcia. Wykonał go raz jeszcze. Po chwili zamiast buchającego perłowego płomienia wewnątrz kominka ukazała się iskierka, która zaledwie tliła się na zwęglonym drewnie.

— Arturze, dorzuć drewna, jeśli łaska. Wiesz, żeby powstał ogień, muszę mieć co podpalić. Chyba że wolałbyś być sam pożywką dla ognia. Hm, to mogłoby być nawet dobre rozwiązanie. Miałbym ogień i od razu upieczoną golonkę.

Artur warknął pod nosem i poszedł na zewnątrz po drewno. Zanim wrócił, połowa pokoju była już pozbawiona kurzu. „Dziwne” — pomyślał, wkładając kłody do kominka. „Kalin uporałby się z tym w sekundę”. Areon ponownie machnął ręką i ogień zatańczył w palenisku. Nie był jednak taki efektowny, jak tego oczekiwał. Były to ledwie pełzające płomienie. Będzie

musiał nad tym popracować.

„I co, Areon nie ma mocy?” — zarechotał głos w jego głowie. „Myślałeś, że dam ci dostęp do wszystkiego, co mam? Jesteś nikim w moim ciele. Nie masz takiej władzy, jakiej byś chciał. Zniszczę cię, nawet jeśli sam przy tym zginę.

— Zamknij się — warknął Areon.

— Że co? — zapytał zaskoczony Artur. — Nic nie mówiłem.

— Nie do ciebie, to była zupełnie nieprzewidziana komplikacja. Bez mocy jego możliwości będą zupełnie ograniczone. Mam zdolności telepatyczne, moi ludzie chcieli, żebym im udzielił wskazówek na temat smoków — skłamał.

Artur popatrzył na Areona z lekkim poirytowaniem i poszedł do kuchni nastawić wodę na kawę i przygotować jakiś posiłek. Po kilku minutach wszedł do pokoju, gdzie siedziało ciało Kalina. Mina, która odmalowywała się na jego twarzy, była dość dziwna, wyglądał, jakby wypił pół litra tabasco, a następnie obejrzał jakiś melodramatyczny film. Na stole, który był pamiątką rodzinną, postawił posiłek dla nich dwóch i wyszedł, aby nalać sobie wody do wanny. Czuł się brudny, a piasek drażnił go w każdym zakamarku ciała. Po kilku minutach wszedł do pokoju czysty i odświeżony. Oba talerze były puste, a Kalin spał wygodnie w fotelu.

„Co za palant. Nie umie nawet jeść z umiarem ani rozpalić ognia” — pomyślał.

Poszedł więc do kuchni i zrobił sobie kilka kanapek z jego ulubionym serem z mleka renifera. Po posiłku usiadł przy stole w pokoju, w którym nadal tylko połowa pomieszczenia wyglądała na czystą, i zaczął przeglądać księgi oraz sporządzać notatki. Czas biegł nieubłaganie. Bez względu na to, jak potoczą się dalej plany jego i Kalina, musi przygotować raport dla króla. A na to zostało mu już zaledwie kilka dni. Po paru godzinach pracy dopadło go wszechogarniające zmęczenie. Popatrzył na fotel, w którym spało ciało Kalina, i poczłapał do swojej sypialni. Padł na jedwabne poduszki i zasnął w kilka chwil. Nic mu się nie śniło, mimo że przez całą noc towarzyszyło mu uczucie niepokoju.



## XVII

Brenda obudziła się wcześniej rano. Wiły tego dnia miały swój gorszy dzień i ich śpiew nie był najsympatyczniejszy dla ucha. Zastanawiała się, co dalej ma zrobić. Czas w rodzinnym domu płynął powoli, wręcz w ślimaczym tempie. Jednak po tak intensywnych wielu dniach, a nawet miesiącach ciężkiej pracy należało się jej trochę wypoczynku.

Poszła do kuchni i przygotowała śniadanie. Zapach rozchodził się po całym domu. Nie było mowy, by nie zwabił ojca. Damon wszedł, a właściwie dowlókł się do kuchni. Był niewiarygodnie wychudzony. Jego siwa broda plątała mu się pod nogami. Oczy miał zapadnięte i przeszkłone, jakby zaszyły mgłą. Skóra była usiana setkami maleńkich zmarszczek. Był stary, tak strasznie stary. Brenda rzadko widywała go tak obolałego. Serce jej się krajało. Ojciec był bardzo wiekowym wampirem. Wiedziała, że cierpi, ale i tak kurczowo trzyma się życia. W nocy, gdy jego ciało się starzało, cierpiał straszne męki. Bolała go każda martwa komórka jego ciała. Ich rodzina miała wielu długowiecznych. Ona sama jeszcze nie wiedziała, czy odziedziczyła ten gen. Za każdym razem, gdy widziała ojca w takim stanie, zastanawiała się, czy warto. Czy ona też chciałaby żyć tak długo w męczarniach?

— Kochanie, pachnie niewiarygodnie. Zaraz przyjdę na śniadanie, muszę tylko przejść się na zewnątrz.

Dotykając ręką ściany, która była jego przewodnikiem w kierunku drzwi, wyszedł na zewnątrz. Po kilku minutach wszedł ten, który zawsze dawał jej nadzieję, że będą mieli dla siebie jeszcze wiele lat. Strach i ból minęły jak ręką odjął. Po paru minutach ojciec, którego tak kochała, jako zdrowy i silny mężczyzna stanął u jej boku. Jak zwykle próbował podkraść z patelni jedzenie. Za to ona skarciła go, uderzając ojca po dłoniach.

— Psik, tato, nie podjadaj, już nakładam.

Ledwo usiedli do stołu, gdy jej kamień zabłysnął, rzucając poświatę na całe pomieszczenie.

— To król ciemności mnie wzywa. Będę musiała zaraz uciekać.

— Wiem, wiem, kruszyno. Spodziewałem się tego. Ale chyba możemy dokończyć śniadanie.

— Tak, możemy. — Uśmiechnęła się do niego, jak to miewała w zwyczaju, swoim uśmiechem małej dziewczynki z warkoczykami, którą była jeszcze nie tak dawno. Jej kły błysnęły perłową barwą.

— Mała, a ty kiedy ostatnio piłaś krew? Bo kolor twoich kielków nie wygląda zdrowo.

— Hm, nie pamiętam. Dobrze, zapoluję, nim wrócę na dół. Obiecuję ci to.

Śniadanie minęło szybko. Została im jeszcze chwila, by dokończyć kokę. Mieli jeszcze wiele tematów do omówienia, ale zwykle spędzanie czasu razem było dla nich równie wartościowe. Popijali więc w ciszy, delektując się smakiem i wzajemnym towarzystwem. Brenda spakowała rzeczy, ucałowała ojca w czoło, przytulając się do niego mocno. Wyszła na drogę. Słońca były w zenicie. Musiała się stawić na wezwanie przed końcem dnia. Czas naglił. Wypowiedziała zaklęcie i rozplynęła się w powietrzu.

## XVIII

Ametysta obudziła się pięknie zmęczona. Wczoraj, gdy tylko Max stanął w progu jej pokoju, wiedziała, że sen nie będzie jej dany, przynajmniej nie przez znaczną część nocy. Max przygotował już śniadanie. Mieli wiele do omówienia i domyślał się, że nie będą to rzeczy proste. Na małym okrągłym stoliku przykrytym zielonym obrusem w drobne kwiatki postawił świeże owoce i sok z mango.

— Max, mój pomysł przez setki lat nie był realizowany przez żadnego inkuba ani maga. Przynajmniej nie jest nigdzie o tym napisane. Ale wydaje mi się, że to może zadziałać. Choć oczywiście nie musisz się zgodzić.

— Powiesz mi wreszcie, o co chodzi? Całą noc gadałaś przez sen i nie były to niestety słowa skierowane do mnie. To nie ja ci się śniłem.

— Ciebie miałam na żywo, nie musiałeś mi się jeszcze śnić. Wiesz, jaka bym wtedy dopiero była zmęczona? — zaszczębiotała i po chwili już poważnie zaczęła: — Jak wiesz, kilka tygodni temu została zwołana rada. Mamy problem, co zapewne już zauważyłeś, ze skracającymi się dniami. Do tego dochodzi kłopot z kontrolą w podziemiu, zaginione smoki i kamienie wokół mapy, które pulsują na czarno. Oficjalnie wszystko jest pod kontrolą. Niby jeszcze nikt nie panikuje, ale to wszystko razem nie wróży nic dobrego. Przede wszystkim nie mamy pojęcia, kto za tym stoi. Padł pomysł, że to Aryman, ale w sumie nikt nie jest do tego przekonany.

— Aryman? Skąd ten pomysł? A jaki on miałby w tym interes? I niby dlaczego on?

— To samo powiedziałam. A dlaczego on? Jego nitki czarnej magii i nekromancji przebijają się jako wzór wydobywający się z pulsacyjnego światła kamieni.

— Nitki czarnej magii i nekromancji mogą należeć nie tylko do niego.

— Tak i nie. Mamy możliwość rozpoznania, hm, kodu genetycznego nitek. Jest tam bez wątpienia jego kod. Pamiętaj, że on nie może mieć dzieci.

— No dobrze, a kto jeszcze włada taką magią?

— Czarni magowie, ale oni nie są z nim spokrewnieni. I pewnie jacyś inni obywatele wymiarów. Uczą się tego jeszcze Vikowie, ale ten trop jest wykluczony.

— Dlaczego? Niby-niedoszli królowie są niszczeni, ale przecież ta moc może się chyba samoistnie rozwinąć jak każda inna.

— No właśnie, zakon Futura przecież też może mieć jakieś luki. To, że do tej pory się sprawdzali, nie znaczy, że nie powstała jakaś rysa na szkle. Bo sam Vik to raczej za to nie odpowiada. On już nie miałby zupełnie w tym interesu, aby tak namieszać.

— OK, ale co ja mam z tym wspólnego? Jak mogę pomóc?

— Ponieważ wyczuwasz potrzeby i pragnienia, pomyślałam sobie, że może by ciebie przestroić. No wiesz, na poszukiwanie na przykład potrzeby władzy i, powiedzmy, pragnienia władania światem. Mógłbyś wtedy tych, którzy będą mieli te cechy wspólne, zestawić i mielibyśmy listę podejrzanych. Potem zaczęlibyśmy eliminować ich dalej. Może wtedy by się udało odnaleźć albo choć trochę zbliżyć do źródła problemu.

— Czyś ty oszalała? Czy wiesz, ilu ludzi i nieludzi ma takie pragnienia? Poza tym ja mam ograniczony obszar wypuszczania zmysłów. Pomijam, że z tego typu poszukiwaniami nie idzie mi najlepiej z płcią męską.

— No właśnie wiem, ale może gdybym wzmocniła twoje zmysły i byśmy razem działali, to by coś się udało. Z tego, co wiem, nie jest to dla ciebie ani męczące, ani bolesne. Pomożesz, Max? Nic mi już tu nie da ani wiedza historyczna, ani ta z książek. Przeczytałam chyba wszystko, co się dało, i nic ciekawego z tego nie wynioskowałam.

Max się zamyślił. W sumie nie miał nic interesującego do roboty. Z Brendą miał się

zobaczyć dopiero po następnych dwóch księżycach w nowiu, a to było za co najmniej dwadzieścia dni. W sumie chciał pomóc Ami. Wiedział, że traktowała swoje obowiązki niezwykle poważnie. Nie proponowałaby mu niczego, czego sama dobrze by nie przemyślała. Byłaby to też kolejna rzecz, którą mogliby zrobić razem. A jakby się udało, wtedy i on choć trochę przysłużyłby się sprawie. To było zagrożenie nie tylko dla niej, ale i dla wszystkich wymiarów.

— Dobrze, możemy spróbować, ale musimy inaczej sformułować pragnienia. To, co ty proponujesz, objęłoby ponad połowę świata. Ponadto będziemy mieć bałagan, jeśli nie podzielimy tego jakoś, nie wiem, na przykład na rasy, wymiary, płcie. A to i tak będzie zbyt szeroko.

— OK, masz rację. W takim razie ja najpierw spróbuję to jakoś pogrupować. Bo rzeczywiście, jeśli te poszukiwania będą tak mało konkretne, możemy szukać do nastania wiecznej ciemności.

## XIX

Artur obudził się zamulony. Niby przespał noc, ale mimo braku snów czuł się niezwykle zmęczony. Świadomość tego, co się dzieje, ciążyła mu na i tak starym już ciele. Zaparzył herbatę i otworzył piwnicę, w której przechowywał produkty mające tendencję do psucia się. Dzięki magii Kalina schowanie w niej potraw przedłużało ich termin ważności do spożycia. Miało to swoją wadę — przestawały być w pełni wartościowe i właściwie ich jedyną funkcją było zapełnienie żołądka. Wyjął kawałki indrisa i wrzucił na głęboki smalec, rozpuszczony wcześniej na patelni. Przypominając sobie apetyt Areona, postanowił od razu przygotować trzy porcje. Wszedł do pokoju i spojrzął na fotel, w którym go zostawił. Był pusty. „Cholera” — pomyślał. „Pewnie gdzieś polazł”.

— Ta-da! — dobiegło z łazienki. — Słyszę, że już się obijasz po pokoju. Zaraz wyjdę. Te zapachy są nawet kuszące.

Po kilku minutach Areon wyszedł ubrany w za duże ubrania Artura. Wyglądał groteskowo.

— Niestety, nie znalazłem nic dla siebie, ale tamte szaty były już zupełnie brudne. Nie możemy przecież pozwolić, abym nie dbał o swoje cenne naczynie.

— Potem ci coś kupimy. Kalin mieszka daleko stąd i zazwyczaj tu nie nocuje. Możemy się wreszcie zabrać do pracy? Naprawdę, czas goni. Za dwa dni muszę być u Vika z pełnym raportem. Bardzo bym nie chciał mu podpaść. Ostatnio, nie wiedzieć czemu, bywa drażliwy... — Łypnął na Kalina spode łba, próbując udawać, że jest mu całkiem obojętny i nie budzi w nim przerażenia.

— Siadaj — rzucił, mając usta pełne mięsa. — Strasznie się spinasz. Zupełnie tego nie rozumiem, przecież to tylko Vik. Pewnie ci się wydaje, że jest niepokonany. No cóż, mylisz się, ale o tym innym razem. Co tam masz mu napisać?

— Po pierwsze, mam spróbować policzyć, ile czasu zajmie, nim nastanie zupełna ciemność. Po drugie, sprawdzić, czy kiedykolwiek w przeszłości taka sytuacja nastąpiła. I po trzecie, przekopać się przez wszystkie siedem wymiarów, opisując podobne tam zdarzenia, i ewentualnie uzupełnić historię pozostałych trzech wymiarów. I co, możesz mi pomóc?

— Których trzech wymiarów? — Areon się zainteresował.

— Znam dość dobrze wymiar niebieski, tak jak ty zresztą, żółty, zielony i biały. Niewiele wiem o wymiarach magicznych, czyli czarnym, niewidocznym i perłowym.

— No co ty? Nie znasz wymiaru mojego tatusia? Przecież bywają tam magowie, chodzą tam wasze wampiry. Jak to możliwe, że taki uczonec jak ty nie ma tych informacji? — zapytał z pełną satysfakcją i wyższością Areon. Wiedział, że Artur bardzo źle znosi, gdy mu się udowadnia, że czegoś nie wie.

— Wiesz co, nie mam ochoty wysłuchiwać twoich kpin i drwin. — Artur się zagotował. — Możesz mi pomóc, a jeśli nie, król odsunie mnie od tej misji i będziesz miał utrudnione zadanie. Nie mam władzy nad magią, toteż nie mogę odczytać pergaminów, a co za tym idzie — nie mam wiedzy. Dodatkowo już wiele dekad temu wprowadzono zakaz zdradzania tajemnic niemagicznym. Żeby było jeszcze ciekawiej, wiedza, którą dysponują magowie, zależy od posiadanego kamienia. Im wyższy kamień, tym większa wiedza. Pasuje? — Artur był sfrustrowany od samego rana. Nie miał ochoty na gierki ani przytyki Areona. Był zły jak osa. Albo raczej jak szerszeń.

— Na Re, dlaczegoż to taka przerośnięta nimfa błotna odpowiedziała na moje wezwanie? Ech, co robić, przeznaczeniu się nie odmawia. — Areon westchnął teatralnie.

— Przejdźmy do sedna, dobrze? Mam cię już dosyć, a nie zapowiada się, abyś w

najbliższym czasie poczuł chęć opuszczenia moich skromnych progów — warknął Artur.

— OK, szybko piszesz?

— Chyba tak, a co to ma do rzeczy?

— Bo tematy, które ci zadano, to długie historie i ogrom wiedzy. Nie jestem szczególnie szczęśliwy, że muszę się nią z tobą podzielić. Ale, jak to mówią u was: słowo się rzekło. Zrobimy tak: daj mi pergaminy i atrament. Zmienię historię w słowa i zapiszę je na papierze, używając magii. Będziesz mógł wtedy przeczytać. Jeśli potem bardzo będziesz musiał, zadasz mi pytania. Masz ten papier?

— Mam, zaczekaj.

Artur wyciągnął z szuflady pergamin.

— Ale ja nie mogę używać magii. Domyśla się, że pomagał mi ktoś magiczny.

— Z ciebie to panikarz. Zaraz strzelę focha. Nie doceniasz mnie, partnerze. Tak, rzucę zaklęcie, ale będzie ono w formie czcionki drukarskiej — tak to chyba tu nazywacie. Następnie weźmiesz zwykły papier, a czcionkę przeciągniesz swoim atramentem. I odbijesz. Rozumiesz, w ten sposób nikt się nie domyśli. Praktycznie nie ma szans, żeby wyczuli nitki magii.

— Zaskoczyłeś mnie. Ale to nie głupie. Ile ci to zajmie?

— Jakieś dwie godziny. W tym czasie przyprowadź mi jakąś duszyczkę. Bo może i Kalin się nasycił, ale ja nie czuję smaków, mimo że czuję zapachy. Mnie potrzebne są dusze, a nie jakieś tam wasze jedzenie.

— Jaką duszyczkę? Co ty pleciesz?

— Mówiąc w skrócie? Chcę ją wydrenować i zabić, a tym samym się najeść. Czy ta odpowiedź cię satysfakcjonuje?

— Nie przyprowadzę ci nikogo. Nie mam zamiaru nikogo zabijać ani ci przyprowadzać. Nie na to się pisałem.

— Hm, a więc chcesz mi powiedzieć, że myślałeś, że przejście władzy nastąpi na drodze pokojowej, bez rozlewu krwi, śmierci i demonów, a Vik powita nas swoim: „Via Vay They?” No proszę, rozczuliłem się. — Areon uśmiechnął się w typowy dla siebie sposób, tak że Artura aż przeszedł dreszcz. Było to tym bardziej porażające, że to ciało jego przyjaciela uśmiechało się jak ten demon. — Ale wiedz, że jeśli moje ciało astralne wyschnie, nici z naszego planu. A tego byś nie chciał. W sumie zawsze mogę zamienić naczynie i na przykład posiść twoje wnętrze. Choć wtedy nie będę miał mocy, a ty wydajesz się mało komfortowym gospodarzem i do tego zupełnie nieestetycznym. Więc jak, idziesz czy nie? Żeby cię trochę bardziej zmotywować, pamiętaj, że jeśli jej nie przyprowadzisz, nic z twojego tekstu dla Vika. I co ty na taką motywację? Dobry jestem, nie?

Artur milczał. Podał pergamin ciału Kalina, założył pelerynę z herbem króla i wyszedł na zewnątrz. Jego myśli galopowały. W co on się wpakował? Nigdy nie miał zamiaru zabijać niewinnych, w szczególności po to, by karmić to coś, co siedziało w jego przyjacielu. Poszedł na targ, gdzie tętniło życie, a słońca swoim blaskiem oświetlały owoce i strzechy. Kobiety w barwnych szatach dyskutowały przy straganach. Wszystkie, co do jednej, zajęte swoimi sprawami, sprawiające wrażenie po prostu szczęśliwych. Wzdrygnął się. „Nie, ja tego nie zrobię”. Wałęsał się po mieście, aż słońca zaczęły gasnąć na horyzoncie. Było późno. Stał pod drzwiami swojego domu, trzymając za rękę młodą kurtyzanę. Wszedł do środka. Na biurku leżały pergaminy zapisane drukowaną czcionką. Wiedział, że spada na dno.

Brenda wylądowała na krawędzi lądowiska. Rzadko podróżowała na wiatrach, jednocześnie wykorzystując dematerializację. Nie lubiła tego, ale po wielu latach przyzwyczała się, że musi dużo bardziej uważać, kończąc swoją podróż w królestwie Arymana. Zachwiała się lekko. Zawsze przy zmianie poziomów, a tym bardziej wymiarów kręciło jej się w głowie. To miejsce było dość szczególne i zupełnie nie przypominało innych punktów dostępowych. Z zewnątrz wyglądało jak wielka bańka mydlana. W rzeczywistości była to kula łącząca w sobie wszystkie punkty dostępowe każdego wymiaru i krainy. Taka bańka istniała w każdym wymiarze i każdej krainie, była jednak pilnie strzeżona. Brenda korzystała do tej pory zaledwie z dwóch, a w sumie było ich ponad dwadzieścia.

Weszła na kamienną drogę. Tu nie musiała się martwić — zgodnie z traktatem o pokoju wszystkich wymiarów i krain drogi wiodące do siedzib władców strzeżono zaklęciami chroniącymi przed atakami. Gdyby jednak jakiś podróżnik od siedmiu boleści próbował zejść ze szlaku, stałby się pożywką nie tylko dla świderków, ale również dla demonów żywiołów, demonów lęku oraz innych słodkich istot zagubionych w tym wymiarze.

Brenda szła pewnym krokiem w kierunku grot oświetlanych od wewnątrz blaskiem kamieni, dającym słupy światła, które strzelały w mrok. Przeszła przez płynną granicę i weszła na teren zamku. Powitał ją jej ulubiony cyklon, który się przed nią zmaterializował.

— Witaj, pani. Czy przynosisz wieści?

— Nie, Pi, niestety bez wieści, ale chyba po wieści tym razem. Aryman wezwał mnie kamieniem, co, jak wiesz, musi oznaczać pilną sprawę.

— Nie zatrzymuję dłużej. Czy mam cię przenieść? Twoja moc jest tu znacznie osłabiona. W obecnych czasach nie jest to wskazane, w szczególności w naszym wymiarze.

— Tak, poproszę. Ale bez sztuczek, OK?

Pi uśmiechnął się swoimi gołymi dżiąslami. Kto by pomyślał, że pod powłoką tego kulturalnego demona kryje się bestia, jakiej nikt by nie życzył najgorszemu wrogowi.

Pi wziął ją za rękę i zdematerializowali się razem. Po chwili stała już przed wejściem do komnaty audiencyjnej Arymana. Pi już się ponownie nie zmaterializował. Dotknęła swoim kamieniem run. Momentalnie pojawił się czerwony blask, który rozświetlił ciemny, obślizgły, choć bogato zdobiony hol. Drzwi, a właściwie wrota, rozwarły się powoli, szurając po marmurowej posadzce. Sala była tak ogromna, że wzrok człowieka nie dostrzegłby przeciwległego końca. Nawet Brenda, jako wampir, miała z tym problemy. Pośrodku, na zielonych poduszkach, siedział Aryman. Był otoczony kręgiem świec. Ich blask ocieplał nieco mało zachęcającą scenerię. Podeszła do niego płynnie i nienagannie się ukloniła.

— Panie, czy potrzebujesz moich usług?

Aryman spojrzął na nią oczami, które potrafiły przeszyć każdego na wylot. Był pięknym mężczyzną, którego zaczynała pochłaniać ciemność. Stopniowo upodabniał się do swojego ludu. Gdy degradacja ciała osiągała wysoki stopień zaawansowania, inny demon lub przybysz wyzywał władcę na pojedynek i zazwyczaj zwyciężał, co wiązało się z przejęciem władzy.

„To by mogło zachwiać i tak już delikatnymi resztkami równowagi” — pomyślała Brenda.

— Siadaj, Brendo — powiedział, przyglądając się jej. Był zmęczony. Wiedziała, że na tak otwarte okazanie uczuć mógł sobie pozwolić tylko przy niej. — Przyszedł czas na rozmowę.

— Rozumiem, że to dotyczy kolejnego zlecenia?

— I tak, i nie... Posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Potem zdecydujemy, co można zrobić, aby świat nie pogrążył w ciemności.

Czyżby Arymana wzięło na zwierzenia? To bardzo nietypowe, wręcz niebezpieczne. I do tego chce, aby razem podjęli decyzję? Samiec alfa ze skłonnościami do czarnej magii i czystego zła. To nie wyglądało dobrze.

Nie odezwała się ani słowem, tylko skinęła na znak, że słucha. Musiała być czujna, to nie wróżyło nic dobrego.

— Nie wiem, ile do tej pory się o mnie dowiedziałaś, a nie sadzę, abys pozostała bierna lub straciła swoją ciekawość oraz swoje zamiłowanie do intryg. Wiem też, że jestem podejrzewany o to całe zamieszanie. To, rzecz jasna, nieprawda, ale wiedz, że tego żałuję, bo byłoby to niekwestionowaną oznaką mojej władzy. Jednak, niestety, nie jest to moja sprawa. Tak jak już zapewne zostało ustalone, nitki ciemności z moimi markerami są bardzo możliwe. — Aryman mówił spokojnie. — Gdy chodziłem po ziemi, mając w sobie krew inkuba, nie ograniczałem się zbytnio. Były nawet przelotne, trwające dłużej spółki z ofiarami. Być może człowiek nazwałby to nawet zauroczeniem. Jednak nie zagrzałem zbyt długo miejsca u boku żadnej z ofiar. Niektóre z nich były bardziej podatne na łączenie się. Jeśli zaś te były magiczne, nie zawsze udawało mi się blokować możliwość tworzenia się potomstwa. To, jak się domyślasz, spowodowało, że moje geny chodzą po świecie światła. Nie wiem dokładnie, ilu mam potomków, ale mogę się domyślać, że spokojnie można by się doliczyć setki. To oznacza, że przynajmniej jedno z moich dzieci, które przeżyło w świecie światła, posiada moc nekromancji i pewnie inne naturalne zdolności. Nie pamiętam, kiedy, z kim, więc nie ma sensu szukać tej wiedzy. Zawsze jednak lubiłem zachowywać po moich ofiarach pamiątki. Takie małe trofea. Większość z moich ofiar przeżyła, co, jak widać, było błędem. Ale wtedy nie wiedziałem, że Re planuje dla mnie taką drogę do Królestwa Cieni. Zaraz poproszę cię do komnaty kryształowej. W niej znajdziesz to, co się zachowało. Nigdy nie chciałem ujawniać tego, że mogłem mieć dzieci. Domyśliłem się, że tak mogło się stać, gdy opowiedziałaś mi o wnioskach rady i nitkach rezonujących ze mną. W sumie sam nie miałem pewności. Ta informacja jest przeznaczona wyłącznie dla ciebie i dla Vika. To się nigdy nie może wydostać poza naszą trójkę. Tacy jak ja nie mogą mieć zachowanej linii rodu. Inni nie mają prawa się dowiedzieć. Rozumiesz? A teraz przejdź, proszę...

Brenda przelknęła tylko ślinę, kiwając głową. Gdyby miała serce, waliłoby jak młot. Była oszołomiona. Wiedza, którą teraz uzyskała, była bezcenna i bezwzględnie niebezpieczna.

Powoli wstała z poduszek i ruszyła w kierunku kryształowej komnaty. Aryman szedł obok. Wszędzie panowała ta przekłeta wilgoć. Po kilku minutach dotarli do ściany. Była przezroczysta i mieniła się jak kryształ od świecy, którą zabrali ze sobą. Aryman wyjął z szaty wielki kryształowy klucz i wpasował go w kształt na ścianie. Ten zamigotał i wtopił się, tym samym otwierając przejście. Gdy weszli do środka, Brenda oniemiała. W kryształowej komnacie znajdowały się setki, jeśli nie tysiące półek, pudeł i innych przedmiotów.

— Czy-y... yyy to wszystko to trofea? — wydusiła z siebie Brenda.

— Nie, choć miło, że przypisujesz mi aż taką moc. Ale niestety muszę cię zmartwić. To inne pamiątki, niezwiązane z moimi ofiarami. Po prawej stronie mieści się półka, tam znajdziesz to, czego szukasz. Jest inna od reszty, na pewno się domyślisz.

Brenda podążyła w kierunku, który wskazał jej zleceniodawca. Gdy dotarła do regałów, jej wzrok od razu padł na setki niewielkich pojemników. Kiedy podeszła bliżej, zauważyła, że w niewielkich szklanych buteleczkach znajdowały się skrawki materiałów, paznokcie, włosy, a w jednej nawet palec.

— To... to... — stwierdziła bardziej, niż zapytała.

— Tak.

— Ale jest tego multum. I co miałabym z tym zrobić?

— Pomyśl, Brendo. Wbrew pozorom to proste. Skoro znasz moją nutę magii i ona rezonuje z kryształami na mapie, masz ślady matki, możesz przynajmniej znaleźć informacje na temat tego, kim była. Nie sądzisz, że wtedy bardzo zawęzi ci się krąg poszukiwań?

— Czy chcesz mi powiedzieć, że dzięki temu odtworzę kod drugiego rodzica? Czy Vik umie to zrobić, skoro nikt poza naszą trójką nie może się dowiedzieć?

— Tak, potrafi. Kamienie wyczują kod rezonujący. Zabierz wszystkie fiołki.

— No dobrze, ale co z tego, że wyodrębnimy matkę. Przecież ty sam nawet nie wiesz, do kogo należą poszczególne trofea.

— Tak i nie. W zależności od dekompozycji materiału będę wiedział, do jakiego gatunku należała rodzicielka. Dzięki temu będziemy mogli też ustalić, gdzie wtedy byłem, przynajmniej określić obszar.

— Dobrze. Daj mi trochę czasu. — Aryman spojrzał na nią znacząco, jakby przypominając, że nie mają nawet jednej chwili do stracenia. — Tak, wiem... Czuję i rozumiem, że nam się śpieszy — dodała szybko. — Wrócę ścieżką na lądowisko. Dam znać, jak uda nam się otrzymać wyniki. Mam nadzieję, że się nie mylisz. Jeśli się uda, może to być bardzo pomocne w odnalezieniu winowajcy całego zamieszania.

Brenda naprędce spakowała wszystkie fiołki i słoiczki w wyczarowaną torbę. Bez słowa udała się w kierunku lądowiska. Nie miała czasu na pogaduszki z Pi, który ewidentnie był ciekawy wydarzeń. Dotarła do miejsca wiatrów. Obróła kierunek i punkt dostępowy. Chwyła się ametystowego wiatru i zniknęła.



Ametysta siedziała razem z Maxem i Miatelom na dużej kanapie ustawionej na tarasie. Popijali kakao. Od długich godzin dyskutowali na temat ustalenia kierunku poszukiwań. W tym czasie przyglądali się zmieniającemu się otoczeniu. Widok z tarasu był zjawiskowy. Starodrzew wyrastał ponad dachy odległego miasta. Wśród liści latały kolorowe leśne duszki. Słońca mieniły się dziś odcieniami złota. Co chwila lekki wietrzyk muskał ich twarze, chłodząc przy okazji wypieki występujące na policzkach w trakcie ożywionej dyskusji. Na niebie były widoczne cztery wyraziste tęcze. Co jakiś czas któreś z nich milkło, aby zebrać myśli, i jednocześnie napawało się widokami. Zabezpieczeni zaklęciem niesłyszalności, mieli pewność, że nikt poza Arcymagiem nie będzie mógł ich podsłuchać. Na szczęście ten wyjechał do gildii wielkich miast w celu przygotowania wymiany studentów.

— Chyba powoli dochodzimy do słusznych wniosków — powiedział podekscytowany Miatel. — Wiemy, a przynajmniej tak nam się wydaje, że szukamy kogoś, kto chce władzy, ale władzy absolutnej, i uwielbia kontrolę. Należy raczej do gatunku męskiego i jest od nas starszy.

— He, he, no, czy jest starszy ode mnie, to nie byłbym taki pewien, ale od was na pewno — wtrącił Max.

— No dobrze, Max, czy sądzisz, że to wystarczy? Czy możesz szukać takich emocji i pragnień? — Ametysta wpatrywała się w Maxa z nadzieją, że to potwierdzi. — Wiem, że nasze założenia są nadal mało precyzyjne, ale od czegoś trzeba zacząć. Może dzięki temu uda nam się przynajmniej kogoś wyeliminować? Może to da jakąś wskazówkę? — mówiła z przejęciem. — A właśnie! Przypomniałam sobie, że kamienie drgały mocą Arymana — czy to także jesteś w stanie wyczuć?

— Słuchajcie, co do tych pragnień. To prawda, teraz są już bardziej precyzyjne. Choć zaznaczam, że takich nigdy nie szukałem, więc nie znam ich składu. Kto jednak nie próbuje, ten nie pofrunie. Co do nitek króla ciemności, na razie to abstrakcja. Choć nie wykluczam, że to również może się udać. Z drugiej strony to jednak nie jest pragnienie.

— Jak to nie? — Miatel się oburzył. Czy pragnienie czystego zła nie jest emocją?...

— Teoretycznie tak, ale na pragnienie składa się wiele emocji, które tworzą całość. To coś jak układanka. Jeśli nie wiesz, jakie zawiera elementy, nie zobaczysz obrazka — odparł Max, zmęczony już entuzjazmem Miatela.

— Dobrze, czyli przynajmniej mamy kilka punktów zaczepiania — powiedziała Ametysta, wciągając głęboko powietrze, które dziś wydawało się przepełnione drobinkami wody. — Na szczęście znalazłam wiele zaklęć, jakich mogłabym użyć, aby wzmocnić cię w trakcie twych poszukiwań. Same przygotowania i zaklęcia zajmą mi ponad godzinę. Pozostaje jeszcze kwestia, gdzie zdobędę moc, no i kto ewentualnie mi ją odda.

— Znam takie miejsce, często się tam wdrapuję. Jest osłonięte od strony gildii, więc niewidoczne z dołu. Z drugiej strony widać rzekę Morw — wtrącił Miatel. — Amka, ale po co ci moc? Masz taki poziom kamienia, że nie powinno być problemu. — Przyjrzał się uważnie przyjaciółce. Owszem, była zawsze zapobiegliwa, ale ta chęć zabezpieczenia mocy wyglądała bardzo niepokojąco.

Ametysta zupełnie zignorowała jego spojrzenie.

— Słuchajcie. Niektóre z tych zaklęć są bardzo stare. Natknęłam się na nie, przeglądając zwoje sprzed wojny blasku. Nie wiem, czy wiesz, Max, ale kiedyś inkubów używano do, hm, poszukiwania zaginionych. To była cena, jaką inkuby musiały płacić za to, że mogły żyć i robić to, co robicie teraz. W zamian za odebranie życia i nadziei musiały pomagać w poszukiwaniach. Czasami zwykłych ludzi, a nierzadko bandytów czy magów. Dzięki temu inkuby przetrwały.

Więc jak obaj widzicie, mój niby-innowacyjny pomysł wcale nie jest taki nowatorski.

— OK, ale po co ci dodatkowa moc? — dopytywał zniecierpliwiony już Miatel. — Czy to dla ciebie niebezpieczne? Bo jeśli tak, to się nie zgadzam. — Odwrócił się, splatając swoje przydługie ręce na piersiach, jednocześnie tupiąc nogą o podłogę.

— Chciałeś być częścią czegoś większego? Czy myślisz, że wielkie czyny to jakaś zabawa w runy? Nie wkurzaj mnie, zachowujesz się jak dzieciak. Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to tak, jest to dla mnie niebezpieczne. — Ametysta zrobiła się czerwona na twarzy. Była wściekła. Jej głos wibrował niskim i złowieszczym odcieniem. Nie znosiła, kiedy wpadał w te swoje chłopięce humory. Że też musiała sobie znaleźć za przyjaciela dzieciaka.

Obaj spojrzeli po sobie. Znali ją już na tyle, że wiedzieli — była na granicy kontroli. Często się to nie zdarzało. Gdy jednak zaczynała tracić nad sobą panowanie, z powodu jej mocy zaczynały się dziać różne rzeczy. Kiedyś Max widział taki napad furii. Jej głos, tak jak teraz, obniżył się wręcz do męskiego basu. Mówiła głośno, powoli cedząc słowa. Nad jej głową zaczynały pojawiać się wiry niekontrolowanej magii. W oczach pokazały się groźne iskry, a wokoło stanęły nagle płomienie. Obrazy spadły ze ścian, gdy wszystko zaczęło się chybotać. Gdyby nie Arcymag, który wbiegł wtedy do komnaty, mogłoby się to źle dla Maxa skończyć. Wtedy też stało się jasne, jaki kamień powinna nosić.

Powoli Ametysta powracała do stanu równowagi. Na szczęście udało się jej opanować złość. Max i Miatel nie rozumieli, dlaczego tak ją to wyprowadziło z równowagi. Nie mieli jednak zamiaru z nią na ten temat dyskutować. Milczeli, czekając, aż powietrze wokół nich się rozrzedzi.

— Żeby było jasne! — zaczęła jeszcze lekko podenerwowana. — Nie mam zamiaru nikogo przepraszać. — Rzuciła im piorunujące spojrzenie. — Wracając do tematu. Tak, to jest niebezpieczne. Nie wiem, ile magii zużyję. To nie było opisane. Dodatkowo doczytałam się, że czasami inkuby tak zatracają się w poszukiwaniach, że ciężko było je ściągnąć z powrotem. Gdyby tak się zdarzyło, będę potrzebowała dodatkowej magii. Potrzebuję kogoś, kto będzie mi asystował i w razie potrzeby odda trochę swojej mocy. I informuję was, że nie będziemy już na ten temat dyskutować. Max, masz prawo się wycofać, jeśli chcesz. Znajdę kogoś innego, jeśli zajdzie konieczność. A ty, Miatelu, albo weź się w garść i zachowuj się jak facet, albo zmieniaj się w indrysa. Potrzebuję wiarygodnych przyjaciół, a nie piaskownicy.

Max chrząknął znacząco, a potem warknął ostrzegawczo. Nie podobał mu się ton Ametysty. Nie lubił jej władczego charakteru w takich momentach. To on jest samcem. Może nie samcem alfa, bo nie ma swojego stada, ale nadal to on jest starszy zarówno wiekiem, jak i doświadczeniem. Co ona sobie w ogóle wyobraża? Jednak zamiast zrobić to, co zwykle, czyli dać do zrozumienia, że on tu rządzi, tylko się odezwał:

— Ja nic nie mówiłem. I nie mam zamiaru się wycofywać. Chyba że tego sobie zażyczysz. Może masz lepszego kandydata, co?

Miatel postanowił nic nie mówić. Nic dobrego by z tego nie wyszło. Był zły na siebie, że znowu górę wzięły nad nim emocje. Powinien się nie odzywać. Przecież przyjaciele martwią się o siebie nawzajem, a oni byli przyjaciółmi. Miał ochotę zmienić powłokę i wspiać się na drzewa, gdzie liście i ich ciche szemranie o zmierzchu dałoby mu schronienie i ukojenie. Jego ulubione owoce miały wtedy wyjątkowy smak. Gdy był zestresowany, napychał się owocami, siedząc na gałęzi gdzieś z dala od zgielku i problemów. Teraz jednak ucieczka byłaby złym pomysłem.

— OK, zapomnijmy o tym. Umawiamy się za trzy dni. Miatelu, ty znajdziesz dawcę. Miejsce już ustaliliśmy. Ty, Max, masz wolne. Jakies pytania, panowie?

— Tak, ja mam jedno — stwierdził z całą powagą Max. — Czy w nocy też mam wolne? — Wyszczerył się przy tym jak dziecko, które właśnie dostało cukierka.

Ametysta nic nie odpowiedziała. Wypowiedziała zakłęcie zdejmujące osłonę ciszy i weszła do pokoju, zostawiając obu pod ochroną zapadającej już nocy.

## XXII

Brenda znalazła się w małym ciemnym pomieszczeniu. Było jej niewygodnie. Dookoła dało się wyczuć zapach białego dębu. Wyciągnęła przed siebie dłonie i zaczęła obmacywać szorstkie ściany pomieszczenia, w którym teraz przebywała. Były to deski, chropowate i nieobrobione.

— Auu — syknęła. — Ukłuła się w palec. Na szczęście rana sama szybko się zasklepiła.

Przesuwając dalej dłonią po ścianie, wyczuła zagłębienie pasujące kształtem do jej kamienia. Przyłożyła drugą dłoń z pierścieniem, wypełniając dziurę. Ścinana rozplynęła się we mgle. Gdy wyszła na zewnątrz, zobaczyła, że znajduje się w sypialni Vika. Co za kretyn umieścić tu lądowisko?! Nie daj Re, gdyby Vik albo jego partnerka znaleźliby mnie tutaj, byłoby po mnie. Górę wzięłyby instynkty obronne.

— Już idę, Brendo, rozgość się... — Dobiegł ją głos zza kotary.

Oślupiała. Zupełnie nie była na to przygotowana. Zaraz, zaraz, ten głos, niski i spokojny, należał do Vika. A może się przesłyszała? „Chyba panikuję” — pomyślała. Rozejrzała się po komnacie. Z obrazów patrzyli na nią przodkowie i uśmiechali się dobrotliwie.

— Co się gagicie? — powiedziała głośnym szeptem. — Moglibyście mi pomóc, a nie patrzeć na mnie, jakbym była jakimś dzieckiem, które właśnie coś zbroiło.

— Bo zbroiłaś — odpowiedział jeden z obrazów.

Był to człowiek, no, może nie do końca zasługiwał na to miano. Miał szpiczaste uszy i długie włosy. Skośne, duże oczy nie za bardzo pasowały do twarzy. Dość długie, choć smukłe palce. Ubrany w turkusową szatę, która wydawała się ciut za długa jak na jego wzrost. Skoro się odezwał, a ona mogła z nim rozmawiać, znaczyło, że należał do gatunku, który już wyginął.

— Tak, jestem królem elfów.

— To teraz już nie dość, że można z wami rozmawiać, czytacie jeszcze w myślach? Na Re, co za dzień! — Brenda była zmęczona nowinkami.

— Jakbyś była bardziej spostrzegawcza, zauważyłabyś, że jest już noc.

— Jak to noc?

— Zupełnie nie rozumiem, moja droga, czemu siedziałaś w szafie ponad dobę. Aż się zastanawiałem, czy udało ci się dotrzeć w jednym kawałku — powiedział i zamilkł, a następnie zniknął z obrazu.

— Widzę, że poznałaś mojego starego przyjaciela. Ma na imię Guaidre. Jak zapewne wiesz, ich gatunku nie ma już z nami. Ale dzięki temu mogę słuchać jego rad i penetrować przeszłość w szybszy sposób niż przez czytanie książek.

Brenda zgięła się w ukłonie w takim tempie, że prawie wybiła sobie kiel o ramę krzesła, nabijając sobie przy tym guza.

— Królu, wybac, proszę. Twoja komnata i ta szafa, i to wszystko... Nie wiedziałam, że tu jest koniec wiatru. Tak mi głupio.

— Spokojnie, Brendo. Ważne, że wyszłaś. Naprawdę martwiliśmy się, że się z niej nie wydostaniesz. Problem z tym lądowiskiem jest taki, że gdy ktoś wylądowuje, nikt nie otworzy wejścia, tylko on sam. A tak swoją drogą, dobrze się czujesz? Nie wyglądasz zbyt świeżo. W związku z tym najpierw się odświeżysz. Zasłużyłaś na kąpiel. Potem zjemy kolację i wtedy przyjdzie czas na rozmowy. Spotkamy się na dole, w małym salonie.

W momencie, gdy zakończył zdanie, pojawiła się domowa skrzacica ubrana w sukienkę w kropki. Wyglądała groteskowo, szczególnie że była już wiekowa, co dało się zauważyć po jej zapadniętych policzkach. Sięgała Brendzie mniej więcej do połowy uda. Wyciągnęła rękę i pociągnęła za sobą skołowaną wampirzycę. Ona zaś grzecznie za nią poszła, co musiało

wyglądać dość zabawnie. Karzełek prowadzący za sobą olbrzyma w pelerynie.

Brenda usiadła posłusznie w pokoju z ogromną wanną, gdy skrzacica przygotowywała kąpiel z olejkami. Nie miała siły myśleć. Mózg zlasował się jej od nadmiaru wrażeń. Położyła tobołek obok wanny i zaczęła się rozbierać. Weszła do niej, zanurzając się w najpiękniejszym zapachu natury. Leżała tak otoczona zapachami. Ciepła woda koła zmęczone ciało.

Służąca zabrała ubrania i wyszła. Po jakimś czasie wróciła z odświeżoną garderobą. Brenda wygramoliła się z wanny i pospiesznie się ubrała. Skrzacica znowu chciała ją poprowadzić za rękę, ale wampirzyca cofnęła ją, zanim tamta zdążyła złapać. Poszły do saloniku, w którym czekało na Brendę mnóstwo jej ulubionych potraw. Na stole stał również złoty puchar po brzegi wypełniony koką. Gdy Brenda zasiadała do kolacji, pojawił się Vik. Poderwała się z krzesła jak oparzona, kłaniając się zgodnie z protokołem.

— Siadaj, Brendo. Potraktujmy to jako nieformalne spotkanie.

— Oczywiście, królu, jak sobie Królewska Mość życzy.

— Czemu więc tyle tam siedziałas?

— Szczerze mówiąc, nie byłam świadoma, że tak długo tam przebywam. Dla mnie to była zaledwie chwila.

— Rozumiem, choć nie mam pojęcia, dlaczego tak się stało. Magia ma swoje fanaberie, być może to była jedna z nich. Ważne, że jesteś cała. Pomijam, że gdybyś nie wyszła, portal stałby się całkowicie bezużyteczny. A to mogłoby w przyszłości nastręczyć wielu komplikacji. Powiedz mi w takim razie, co spowodowało, że użyłaś akurat jego. Jest niezmiernie rzadko wykorzystywany.

— Szanowny Viku, najpierw chciałabym się skupić na istotniejszych sprawach. Historia, którą opowiem, jest szczególnie. Może ona znacząco ułatwić nam rozwiązanie tej łamigłówki. Mój mocodawca wykazał się wielkim zaufaniem zarówno w stosunku do mnie, jak i do ciebie, panie.

— Do mnie? Aryman i zaufanie? Jestem zaskoczony, ale i niezmiernie zainteresowany tym, co masz mi do powiedzenia.

— Jeśli nie będzie to nietaktem z mojej strony, czy mogę prosić o możliwość dokończenia posiłku?

Vik uśmiechnął się po ojcowsku, dając do zrozumienia, że poczeka. Po kilku minutach na stole został jedynie złoty puchar ozdobiony runami i herbami przodków. Mimo że Brenda cały czas z niego piła, nie ubywało w nim płynu. Odzyskawszy siły, przytoczyła królowi historię, którą opowiedział jej Aryman. Zaznaczyła również, że teraz znają ją tylko oni troje. Vik milczał przez chwilę. W tym czasie Brenda wystawiła na stół część flakoników z trofeami.

— Szanowny królu, czy Futura potrafi po trofeach połączyć nici należące do drugiej osoby, która jest drugą połową? Czy jesteśmy w stanie odnaleźć matkę?

Vik nadal milczał. Po dłuższej chwili wstał i skierował się ku drzwiom.

— Tak, Brendo, ale tym zajmiemy się jutro. Pilnuj tych przedmiotów. Zdrzemnij się. Jutro spróbujemy nakłonić Future, aby nam pomogła. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, poproś skrzacicę. Jest do twojej dyspozycji. Dobranoc.

— Dobranoc, panie.

## XXIII

Artur obudził się z ogromnym bólem głowy. Jego pokój tonął w półmroku, a przez zasłony przedzierały się promienie słońca. Przewrócił się na drugi bok. Miał wrażenie, że wczoraj było tylko złym snem. Wygramolił się z łóżka i poczłapał w swojej za małej koszuli nocnej do łazienki. „Muszę chyba zatrudnić kogoś do sprzątania. Śmierdzi tu jakimś dziwnie słodkawym zapachem. Najwyższa pora, żeby ubrać się i wyjść na miasto” — zdecydował w duchu. Tekst dla Vika był już gotowy. Choć nadal go martwiło, w jaki sposób wytłumaczy, jak posiadał taką wiedzę. Z drugiej strony jego darem było łączenie faktów i podejście naukowe w połączeniu z wiedzą. „Może się jakoś wykręcić” — dodał sobie otuchy. Areon właśnie przeglądał się w lustrze, uśmiechnięty i wypoczęty.

— Ach, witaj, mój kochany przyjacielu — odezwał się pełen niemal dziecinnego entuzjazmu. — Dzięki tobie znowu czuję, że żyję. Oczywiście będziesz musiał dojść do wprawy, jaki rodzaj pokarmu lubię, ale jak na pierwszy raz spisałeś się bardzo dobrze. Przyznam, że nie myślałem, że zasłużysz kiedyś na pochwałę. Mam nadzieję, że nie był to przypadek. — Łypnął zalotnie okiem.

Niestety, wczorajszy dzień nie był jedynie koszmarem. Poza radością Areona przypomniawszy mu o tym przerzucona przez fotel szata młodej kobiety.

Śniadanie upłynęło w bardzo ciężkiej atmosferze. Samopoczucie Artura było podobne do nastrojów uczestników pogrzebu. Do tej pory jednak nie przeczytał swojego raportu. Wypadałoby się z nim zapoznać, szczególnie że zamówienie przyszło od samego króla. Wziął herbatę i poszedł do swojego biurka. Zignorował Areona. Nie miał ochoty na nic, nawet na czytanie. Wiedział jednak, że musi choćby przeczytać raport, którego nie napisał. Czytał i czytał, a godziny płynęły w zastraszającym tempie. Skończył pod wieczór. Nie mógł uwierzyć w zawartość. To niesamowite, jak mało wiedziano na temat innych wymiarów. Jak niewiele wiedzy przenikało pomiędzy światami. I niewiarygodne, jak bezużyteczna ta wiedza będzie dla Vika.

— Głodny jestem. Potrzebuję cię, Arturze. Może być to samo co wczoraj.

— Nie mam ochoty być w to wplątany.

— Ale już jesteś. Śmigaj.

— Nie. — Artur odmówił tak stanowczo, że aż się sam zdziwił. — Ty jesteś tu przybyszem, ja tu mieszkam. Jeśli będę opuszczał co noc rynek z inną ofiarą, wszyscy będą się zastanawiać, ludzie zaczną gadać. Po pierwsze, o co chodzi, jako że moja orientacja jest powszechnie znana, a po drugie, będą wiedzieli, gdzie zacząć poszukiwania zaginionych kobiet.

— Co za dzień! Zapiszmy to w świętej księdze po raz drugi — muszę się z tobą zgodzić. Rozkręcasz się, kochany. Niech będzie, prawdę mówiąc, sam chciałem zwiedzić okolicę. Dzięki temu mój zmysł zapachu pokieruje mnie do najsmaczniejszych kąsków. Te małe, urocze istotki są absolutnie wyborne.

— Nie, proszę, dzieci zostaw w spokoju. Przez ciebie będziemy musieli stąd zniknąć. A to mój dom. Weź to pod uwagę.

— Dobrze, wrócę, jak skończę.

Areon przechadzał się po ulicach. Wieczór powoli wyganiał mieszkańców do domów. Płyty były nagrzane po całym dniu promieni słonecznych. Gdzieś w bocznej uliczce, obok fontanny, biegały dzieci, bawiąc się w berka. „Cóż za kojący spokój przed polowaniem” — pomyślał.

— Na nic nie będziesz polował, gnido! — odezwał się głos w jego głowie.

— Jeszcze tam jesteś? Uparty z ciebie chłopiec.

— To jeszcze ty tu jesteś, ale to już niedługo. Nie pozwolę ci skrzywdzić żadnego

dziecka. Twój wczorajszy posiłek przyprawiał mnie o mdłości.

— Cóż, mamy chyba odmienną wrażliwość kubków smakowych. A tak na marginesie: jak możesz żyć z tymi plamami? Pomijam, że jest ich coraz więcej. W ogóle wydawałeś się taki władczy i chyba miałeś więcej mocy. Będę musiał ją uzupełniać.

— Ooo, jaki ty mało spostrzegawczy. To znaczy, że nie zauważyłeś, że mam wciąż nad nią kontrolę. Ty sam nawet nie umiałeś porządnie rozpałcić ognia. Ha, nawet ogień ci nie wyszedł. I ty mówisz, że masz władzę? Jesteś słabeuszem.

— Zamknij się, jesteś tylko naczyniem!

Areon zauważył, że kilkanaście osób mu się przygląda. Najwyraźniej wyglądał osobliwie. Ich twarze wyrażały to, czego zaczął się obawiać. Cała tę konwersację toczył na głos. Niedobrze. Ściągnął na siebie uwagę. Małe szanse, by po tej dziwacznej dyskusji wieść się nie rozeszła, a on pozostał anonimowy. Podszedł do pierwszego lepszego zamykającego się stoiska i kupił chleb. Zapłacił i ruszył w kierunku domu Artura. Za nim pojawił się szmer mieszkańców opowiadających sobie o tym dziwnym zdarzeniu. Wszedł do domu, zatrzaskując za sobą drzwi.

— Do diabła, czy ty możesz przestać się mieszać? Same problemy z tobą! — wrzasnął Areon.

— Czemu się drzesz, co ja znowu zrobiłem? — zapytał zdziwiony Artur.

— Sen, rozmowa... tfu, twój kumpel mnie prześladuje... słyszy, mówi...

— Czyś ty oszalał, co ty wygadujesz? — Artur miał wrażenie, że w jego życie wkradło się szaleństwo. Areon vel Kalin wygadywał stek bzdur. Niektóre były poszczególnymi słowami, a niektóre zdaniem. Nic nie miało składu ni ładu. Wszedł do innego pokoju. — On cały czas zachowuje się tak, jakby uciekł ze szpitala dla opętanych — mamrotał pod nosem Artur. — W sumie to nic dziwnego, przecież jest opętany.

Dwa dni później miało się odbyć ponowne zebranie rady. Jeśli jego stan miał się nie zmienić, nie będzie mógł w niej uczestniczyć. Wszystko może się wydać. Miał jeszcze dwa dni.

## XXIV

Cała czwórka siedziała na półce skalnej osłoniętej od gildii. W głębokiej ciszy wpatrywali się w rzekę Morw. O wschodzie słońc była jak wstęga wijąca się w trakcie pokazów akrobatycznych. Migotała tysiącem barw, gdy słońca podnosiły się zza horyzontu. Nad rzeką wyrosła tęcza. Wiatr lekko kołysał zarośla, tworząc wrażenie oazy spokoju. Jednak spomiędzy budzących się kul światła można było dostrzec migoczące magią chmury. Wszyscy byli zdenerwowani i starali się kontrolować swoje instynkty. Ciszę przerwała Ametysta.

— Wystarczy tego myślenia. Widzę chmury. Są jeszcze daleko, ale nigdy nie wiadomo, czy nie zmienią się w burzę magii. To mogłoby być zbyt dużym ryzykiem. Wzięliście wszystko? Miatel, podaj mi runy dokładnie w tej kolejności, jaką ci podam: Urz, Raidho, Hagalaz i Algiz.

Miatel sięgnął do szkatułki, którą mieli ze sobą. Ostrożnie odwijał każdą z run i podawał Ami. Ona brała je i układała w półokrąg od prawej do lewej. Max siedział już na środku. Ametysta jeszcze raz przypominała sobie krok po kroku, co mówiła na ten temat księga. Wiedziała, że nie mogła niczego pomylić, bo groziłoby to śmiercią zarówno jej, jak i Maxowi. Gdy runy zostały ułożone w odpowiednich miejscach, poprosiła Biankę, by stanęła za nią. Była zabezpieczeniem mocy, ale wszyscy mieli nadzieję, że jej pomoc nie będzie potrzebna.

— Bianco, jeśli zobaczysz, że moja aura niknie, przetnij swą dłoń i przyłóż ranę do mej dłoni. Pamiętaj, że twoja moc też ma ograniczenia mimo wysokiego kamienia. To, w czym dziś uczestniczysz, nigdy nie może ujrzeć światła dziennego ani wyjść poza naszą czwórkę. Rozumiesz?

— Tak.

— Miatelu, potrzebuję, abyś zmienił formę.

— Dlaczego? Jako człowiek bardziej ci się przydam.

— Nie. Jako indris masz większe możliwości szybkiego przemieszczania. Musisz też pozostać tu, gdzie stoisz, aby jednocześnie mieć baczenie na nas i na prowadzącą tu drogę, gdyby ktoś poza nami znał to miejsce. Rozumiesz?

— Zawsze tylko małpa i małpa. Dobra, niech ci będzie.

— Zaczynamy — powiedziała poważnie Ametysta.

Przymknęła oczy i skupiła się na swym źródle mocy. Było jasne i skumulowane w jedną, piękną błyszcząca kulę. Sięgnęła do wewnątrz, wyciągając swe dłonie w kierunku run, aby zamknąć krąg. Swe myśli skierowała ku Maxowi.

Cia lub hwj chim yuav Flow rau hauv peb lub voj voog. Cia yuav ntawm cov neeg uas mus zais. Cia koj tus ntxhiab ua rau nws txoj kev cai thiab lub hlwb yuav nyob twj ywm qhib.

Z jej koniuszków palców powoli, lecz grubym strumieniem zaczęła płynąć magia, wtapiając się w runy, które połączyły się w wirującym tańcu i uniosły się nad ziemię. Słupy zielonego światła wystrzeliły w górę, jednocześnie łącząc się wysoko nad nimi i tworząc zamkniętą przestrzeń. Zmysły Maxa odpłynęły w kierunku istnień i pragnień. Nie czuł swojego ciała. Był ptakiem i wiatrem. Chciał taki pozostać, wolny i nieograniczony. Jednak myśl o Ametyście dała mu siłę, by stać się mocą penetrującą umysły. Szukał zestawu cech i pragnień. Przepływał przez niezliczone setki głów. Natrafiał na umysły piękne, pełne życia, witalności i nadziei. Miło było ich dotykać. Niektóre były zamknięte, wrażliwe na penetrację. Gdy tylko wyczuwały jego obecność, natychmiast podnosiły bariery ochronne. Były też umysły zgniłe, z pragnieniami, które nawet inkubowi nie przyszyby do głowy. Natrafił na jeden tak magnetyczny, że chciał się z nim stopić, jego demoniczne potrzeby obudziły się w okamgnieniu. Zmusił się jednak do skupienia się na swym celu, na poszukiwaniu żądzy władzy i zniszczenia. Jego dłoń zaczynała pokrywać się drobnymi punktami. W trakcie przygotowań Ami stworzyła zaklęcie,



które rysowało swoistą mapę na jego ciele. Każdy wymiar był oznaczony innym kolorem, a na nim punkty oznaczające ludzi, którzy wpasowywali się w profil. Im bliżej ideału poszukiwań, tym silniejszy punkt. Był daleko. Niby widział i czuł wszystko, ale tak naprawdę był niczym powietrze.

W pewnym momencie poczuł, że jakiś umysł góruje nad innymi. Nie był daleko. Wręcz blisko. Był silny, żądny władzy, wręcz hipnotyczny. Zdecydował, że poszuka jeszcze. Z oddali dobiegały go dźwięki. Niosły ze sobą strach. Musiał wracać, ale nić łącząca go z maginią słabła. Dotarło do niego, że zarówno on, jak i Ami są w niebezpieczeństwie. Musi wracać. Nić znowu przybrała na mocy. Wiedział, że to oznacza tylko kilka chwil, nim wróci do swojego ciała, tak mu teraz obcego. Jednak siła pragnień wobec Ami nie pozwoliła mu na pozostawienie jej tam samej. On jest jej obrońcą i kochankiem, a ona jego i tylko jego. Wpadł w swe ciało, budząc się z krzykiem. Ametysta leżała nieprzytomna na ziemi. Obok niej Bianka, blada jak prześcieradło, klęczała na kolanach, cała we krwi. Połączenie zostało przerwane. Runy leżały, skrząc się na ziemi. Podczołgał się do Ami i zaczął szeptać. Wykrzesał z siebie całą moc inkuba, aby dotrzeć do najgłębszych zakamarków jej duszy. Trwało to długo. Za długo. Po kilku godzinach jego błagań, by się obudziła, Ametysta powoli otworzyła oczy. Była już noc.

— Udało się coś znaleźć? — wyszeptała tak cicho, że tylko słuch wilka pozwolił mu ją usłyszeć.

— Może. Ale nie martw się tym. Teraz musisz odpoczywać.

— A Bianka?

— Śpi, ale nic jej nie jest. Jakaś małpa przyniosła jej czekoladę i owoce. Dziwne te zwierzaki u was.

Ametysta uśmiechnęła się z wysiłkiem, starając się nie zapaść ponownie w sen. Musiała się zregenerować jeszcze przed nim, aby ciało zdążyło odzyskać siły. Zużyła całą swoją moc, również tę, która odpowiadała za zwykłe funkcje życiowe.

— To nie zwykła małpa, to Miatel. On jest animagiem, zmienia się w indrysa. Ale przecież wiedziałeś o tym, prawda?

— No ładnie. Wilk, małpa i czarodziejka. — Max się zaśmiał dobrotliwie. — Zmienię się i poniosę cię na grzbiecie. Jestem dużym wilkiem, więc będziesz miała wygodnie i miękko. Nie zasypiaj. Nasz małpolud zaraz przyniesie ci coś do jedzenia, tak sędzę.

I rzeczywiście, po kilku chwilach małpa zjawiła się z dzbanem mleka wielbłąda, wymieszanego z koką i garścią owoców. Ametysta piła i jadła powoli. Czuła, jak jej organizm zasysa wszystko, co da się wykorzystać do podtrzymania życia. Wiedziała, że przeżyje. Tymczasem Max zaczął się zmieniać. Nigdy wcześniej nie widziała jego transformacji. Musiała przyznać, że mimo jej stanu była pod wrażeniem. Najpierw twarz zaczęła się wydłużać. Rysy stały się nienaturalne. Szczeka wysuwała się, a kły pojawiły się wraz ze zmianą oczu, które z prawie ludzkich stały się dzikie i głębokie. Uszy wydłużały się, tworząc szpiczasty kształt. Stojące na czterech łapach ciało nabierało masy. W tym czasie pojawił się długi ogon, a skórę pokryło piękne białe futro. Ami zawsze myślała, że jest to bolesne, jednak Max wydawał się tym niewzruszony. Wyglądało, jakby nawet sprawiało mu to przyjemność. W tym czasie Miatel przybrał ludzką postać i pomógł przymocować Ametystę do grzbietu Maxa. Jego futro pachniało delikatnym piżmem i wolnością. Nic więcej nie miało znaczenia. Zasnęła.

Brenda leżała na wielkim puchowym dywanie przykryta delikatnymi jedwabiami. Dzień już dawno zadomowił się w Kotalinie. Nie miała ochoty wstawać, była wszystkim zmęczona. Sakwa z buteleczkami spoczywała spokojnie na pufie obok łóżka. Najbardziej przytłaczała ją wiedza, którą obdarzył ją Aryman. Leżała, patrząc przez okno w przestrzeń, która wdzierала się przez kryształowe osłony. Jak na komnaty królewskie pokój był średniej wielkości, ale i tak trzykrotnie większy od tego w jej rodzinnym domu. Po lewej stronie na małej drewnianej szafce znalazła przygotowane dla niej śniadanie.

„Dziwne — pomyślała — odkąd to przynosi się śniadania do łóżka. Na Re, pewnie obraziłam króla tym, że nie wstałam na śniadanie. Hm, ale o której było śniadanie? Chyba nic nie wspomniał wczoraj na ten temat. Tata zawsze powtarzał: «Ucz się manier». A ja jak zwykle miałam jego słowa za bezsensowne gadanie. Zaraz, w księdze zwyczajów były zapisane reguły funkcjonowania królewskiego dworu. Patrząc na niebo, spóźniłam się tylko siedem godzin. Pora wstawać. Muszę zobaczyć się z królem i zakonem. I tak już za dużo spałam”.

Brenda była poirytowana własną ignorancją. Przysięgła sobie, że wypożyczy księgę z gildii i jeszcze raz przeczyta nie tylko o zasadach funkcjonowania dworu Vika, ale również innych wymiarów. Pośpiesznie umyła się i wrzuciła na siebie suknię. Tu niestety musiała zadbać o odpowiedni wizerunek. Zakon, jak to zakon, był bardzo staroświecki i zasadniczy. Widok kobiety w gorsecie i spodniach nie byłby wskazany na tym spotkaniu. Wcisnęła się więc w niewygodną aksamitną sukienkę wyszywaną delikatnymi kryształami, upięła włosy zgodnie z obowiązującymi wymogami, złapała torbę i wyszła na korytarz.

Hol był pusty. Na ścianach tkwili przodkowie, niektórzy niemi, inni, spragnieni towarzystwa żywych, witali się z nią na tyle ostentacyjnie, że nie sposób było ich zignorować. Na kolejnym obrazie, a były ich dziesiątki, jeśli nie setki, zobaczyła znajomego Guaidre. Ukłonił się jej z należnym szacunkiem.

— Moja droga, jak miło cię widzieć tego poranka, ups... przepraszam, popołudnia. Czy to zwyczaj wampirów? Nie lubicie pewnie porannego światła.

— Witam — odparła sucho. Nie nosiła, jak sugerowano jej te bajkowe bzdury. Co oni czytali? Wampiry już od wieków nie bały się słońca. Jeśli nie drenowały z ludzi krwi, nie musiały się obawiać. Mogły chodzić swobodnie w świetle dnia. To była umowa handlowa po drugiej wielkiej masakrze. Widocznie on był starszy i nie dożył tego. — Szanowny panie, pewnie nikt ci o tym nie wspominał, ale od czasów, kiedy przeniosłeś się na obrazy, wiele się zmieniło, jeśli chodzi o nasz gatunek. Możemy swobodnie chodzić w świetle dnia, jeśli nie opróżnimy ludzi z krwi i tym samym nie pozbawiamy ich możliwości doświadczania życia.

— Ach, rozumiem. Będziesz musiała mi o tym kiedyś opowiedzieć. Czy nadmienilem już, że wyglądasz w tej sukni zjawiskowo? Naprawdę, wyglądasz uroczo!

Brenda dygnęła niezgrabnie w podziękowaniu za komplement. Nigdy jej to dobrze nie wychodziło. Zamiast lekcji manier dużo bardziej lubiła sztuki walki i lekcje o smokach.

— Pójdę już, jeśli pozwolisz. Król zapewne czeka. Mamy sporo do zrobienia.

— Ależ oczywiście, moja droga, choć nie sądzę, aby czekał na ciebie. Zebranie z zakonem już dawno się skończyło. Król przyjmuje obecnie w sali audiencyjnej. Dam mu znać, że wstałaś. Widziałaś już może ogrody? Są zniewalająco piękne. Będziesz się z nimi idealnie komponowała.

Brenda nie była przyzwyczajona do tylu komplementów w tak krótkim czasie. Czowała się zakłopotana i odruchowo chciała się zbuntować. Dodatkowo było jej strasznie niewygodnie w tej sukni. „Jak te kobiety mogą tak w nich chodzić? Przecież to się płacze między nogami.

Ogranicza możliwość obrony, a tym bardziej walki. Nic dziwnego, że wiele samic jest tak bezbronnych”.

Kiedy szła w kierunku ogrodów, przechodziła obok lustra zajmującego powierzchnię przynajmniej kilku obrazów. To, co w nim zobaczyła, wystraszyło ją. Nie poznała swojego odbicia. Stała tak kilka chwil, wpatrując się w tę obcą osobę naprzeciwko niej, odbijającą się w gładkiej tafli lustra.

— To ja — wyszeptała zupełnie nieświadomie. — Rzeczywiście wyglądam... inaczej, nawet ładnie. To mogłaby być jedna z możliwości do wykorzystania w negocjacjach. Będę musiała się ponownie zastanowić nad sukniami.

W ogrodzie panował ład i porządek. Ścieżki wykonano z lustrzanych kamieni, które odbijały niebieskie niebo, dzięki czemu miało się wrażenie stąpania w obłokach. Zaczęła schodzić ze ścieżki, bo w głębi dostrzegła ławeczkę, a obok fontannę, która wydawała kojący dźwięk. Podążyła w jej kierunku. Usiadła na niewielkiej ławce wyrzeźbionej z zastygłych strug wody. Czuła, jak magia łaskocze ją przez ubranie. Mimo materiału, z którego była wykonana ławka, wcale nie była niewygodna. Podkuliła nogi pod brodę i zapatrzyła się w płynące strugi lazururowej wody. W ogrodzie wszystko było wyraziste, a zarazem kojące i miłe dla oka.

— To tu się ukryłaś.

Z zamyślenia wyrwał ją głęboki, męski głos króla.

— Szanowny panie, błagam o wybaczenie. Nie miałam pojęcia, która godzina. Powinam się obudzić.

— Spokojnie, moje dziecko. Nikt nie oczekiwał, że po pobycie w szafie przez dobę uda ci się wstać na śniadanie. Ale oczekuję, że na obiedzie zjawisz się o odpowiedniej porze.

— Oczywiście, jeszcze raz proszę o wybaczenie.

— Guaidre miał rację. Pięknie się komponujesz w tej scenerii. Powinnaś częściej chodzić w sukienkach. — Król się uśmiechnął. W jego oczach przelotnie zamigotał samiec alfa szykujący się do zdobycia samicy. Jednak zgasł równie szybko, jak się pojawił. — To co, moja droga, idziemy? Chyba nie chciałabyś, aby wystygł nam obiad?

Brenda podążyła za królem do sali jadalnej, w której czekał już na nich cały zarząd zakonu Futura. Po powitalnych rytuałach rozpoczęła się obiadokolacja. To, że podano ją tylko na zastawie z bursztynu, wskazywało, że była to kolacja robocza.

— Wyniesieni na ołtarze. Chciałbym przedstawić Brendę, posłankę Arymana. Mam do niej pełne zaufanie — powiedział dostojnym tonem Vik, jednocześnie kładąc nacisk na słowo zaufanie.

Brenda skinęła lekko głową w kierunku zakonników. Byli bardzo osobliwymi stworzeniami. Ich wzrost dorównywał Vikowi, który i tak górował nad wszystkimi rasami zamieszkującymi znane wymiary i krainy. Twarze zgromadzonych miały wręcz kształt rogalika, a podbródki były tak wydatne, że miało się wrażenie, iż zaraz ukłują. Na ich obliczach odznaczały się szpilkowate nosy i zwężone oczy. Spod długich złotych szat ukazywały się jeszcze dłonie, które nie dość, że były kościste, miały tylko cztery palce pozbawione paznokci.

— Pani Brendo, miło nam panią poznać, choć zapewne w innych okolicznościach byłoby nam milej. Mam na imię Skylar, a to mój brat Bennett. Jego Łaskawość nakreślił nam sytuację. Nadal jednak nie za bardzo rozumiemy cały kontekst sytuacji.

— Panowie... — Brenda starała się zachować kamienną twarz, choć niełatwo jej było w tym towarzystwie. Czuła się jak mała, zagubiona dziewczynka. Otaczali ją ci, którzy od wieków tworzyli historię. Byli właścicielami najpotężniejszych sekretów, a przede wszystkim jednego najważniejszego: jak tworzy się Vików i jaki procent krwi musi być w mieszańcu, aby stał się potencjalnym królem. Oni też jako jedyni wiedzieli, co się dzieje z pozostałymi, którzy nie

przejdą weryfikacji. Byli biegli w niezdradzaniu tajemnic. Przy nich wyglądała jedynie na niedouczoną wampirzycę. Miernego posłańca ciemności. — Niestety, nie mogę zdradzić nic więcej poza tym, co przekazał wam sam król. Zapewniam jednak, że cel jest tego wart. Jeśli mogę spytać...

— Pytaj — odpowiedzieli bez entuzjazmu Skylar i Bennett.

— Czy to, o co prosimy, jest możliwe?

— Owszem. Ale nawet jeśli spełnimy prośbę króla, to po co nam ta wiedza? I od kogo otrzymałaś trofeum?

— Wiedza jest niezbędna, aby dowiedzieć się, kim jest potencjalny zdrajca i mag, który tak namieszał w naszym świecie. To pozwoli wyeliminować wielu podejrzanych. Nie muszę mówić wielkim zakonnikom Futury, że to może znacznie ułatwić schwytanie sprawcy.

— Śmiała jesteś.

Brenda zignorowała komentarz.

— A jeśli chodzi o wasze drugie pytanie, nie mogę zdradzić tej informacji.

— Ale wiesz przecież — odezwał się Bennett — że możemy ją sami z ciebie wydobyć.

— Teoretycznie tak. Wiem też jednak, że nie zrobicie tego, gdyż w przypadku osób niebędących pod waszą pieczęcią, nadmienię, że ja właśnie jestem taką osobą, nie możecie używać wnikania.

— A skąd to wiesz? — zapytał Skylar, przechylając głowę, jakby chciał się z nią przekomarzać.

— Miałam okazję przez ostatnie trzysta lat nabyć trochę wiedzy.

— No cóż. Szanowny królu, nam tak samo leży na kościach to, co dzieje się z naszymi krainami i wymiarami. Jutro przeprowadzimy odpowiedni rytuał i rzucimy stosowne zaklęcia.

— Czy możesz nam teraz przekazać fanty?

— Panowie wybaczą, niestety, muszą pozostać przy moim boku. Przykro mi, ale będę musiała być przy pomiarze i badaniu.

— Ależ to...

— Cisza! — syknął Vik. — Skończmy tę kretyńską gadkę i wasz pokaz pogardy. Brenda będzie obecna przy wszystkim, co dotyczy trofeów. Dyskusja zakończona.

Reszta kolacji upłynęła na umizgiwaniu się do siebie, fałszywych grzecznościach i anegdotach, które — gdyby nie sytuacja — nie wywołałyby żadnej radości, a co dopiero tego wybrzmiewającego perlistego śmiechu. Na szczęście maskarada szybko dobiegła końca. Pożegnawszy się, Brenda udała się do sypialni. Takie spotkania męczyły ją bardziej niż nawet tydzień spędzony w szafie.

Ametysta, Max i Miatel siedzieli na łóżku. Na szczęście było ogromne, więc nie mieli problemu, aby wygodnie się usadowić. Na środku leżała wielowymiarowa mapa. Tam też w niektórych miejscach świeciły różnobarwne kropki. Niektóre były zielone, inne czerwone, czarne, a jeszcze inne niebieskie. Znacząco różniły się też rozmiarem. Podczas gdy Max podróżował, poszukując pragnień skumulowanych w istotach zamieszkujących krainy i wymiary, jego dłonie przekazywały impulsy z jego skóry na mapę o mocy skumulowanych emocji. Każda kropka odpowiadała więc jednej istocie, rozmiar zaś wskazywał na siłę uczuć. Z kolei kolor pokazywał, gdzie zamieszkiwał potencjalny podejrzany, czy był to wymiar, czy też Kotalina. Ametysta po raz pierwszy stworzyła wielowymiarową mapę. To było fascynujące ujrzenie, w jaki sposób ich światy się przenikały. Niesamowitym odkryciem było to, że na własne oczy mogli zobaczyć, w jak wielu miejscach światy się nakładały. Ametysta zrozumiała, że być może przy odpowiednim przygotowaniu można byłoby między nimi przechodzić.

— No, ty to masz talent, kochana — rzucił z podziwem Max.

— Prawda, nieźle to wygląda — powiedziała i uśmiechnęła się do siebie. Uklękła, żeby lepiej przyjrzeć się swojemu dziełu.

— Kurczę, ale to było dziwne, wiecie? — Max nadal nie był do końca sobą. Zachowywał się jak po dużej dawce halucynków. Zamierzył się i klepnął Ami w pośladek, aż podskoczyła.

— Max, weź na wstrzymanie, co ja klacz jakaś jestem? — Zmierzyła go wzrokiem, który powaliłby nawet smoka.

Miatel był zdęgotowany i wkurzony na zachowanie Maxa. To była Ametysta, najpiękniejsza i najwspanialsza kobieta, jaką znał, i do tego jego przyjaciółka. Zacisnął zęby i nic nie powiedział.

— Mamy kilkadziesiąt kropek o różnych rozmiarach. Usunę te najmniejsze, bo zakładamy, że szukamy tych z dużym ładunkiem pragnień i emocji.

Po kolei wskazywała palcem na poszczególne kropki, mrużąc pod nosem inkantację. One zaś rozplywały się w okamgnieniu. Na koniec pozostał jakiś tuzin. Z tego kilka poza mapą.

— OK, mamy dwanaście punktów, z czego nie możemy zdiagnozować tych poza mapą.

— Właśnie. Dlaczego one tam są? Max pewnie popełnił błąd — stwierdził Miatel z pełnym uznaniem dla siebie, że udało mu się wskazać skazę na pseudoideale Ametysty.

— Nie, nie popełnił błędu. Jedyne trafił do wymiarów, o których wiemy, że są, ale nic poza tym. Teraz wiemy więcej, wiemy bowiem, gdzie są, a to w przyszłości może naprawdę pomóc w odkrywaniu naszego świata.

Miatel był niepokojony. Po kolejnej analizie i eliminacji wykonanych przez Ami pozostały im jedynie cztery punkty. Każdy był w innym kolorze: niebieskim, zielonym, żółtym i czarnym. Poruszały się w obrębach dostępnych dla większości podróżników. Ametysta zadbała też o to, aby Max pozostawił w każdym z punktów kotwicę dostępową. Wszyscy patrzyli na ogromne kule wielkości owoców meferii.

— Tak sobie myślę, że oni stanowią ogromne zagrożenie dla naszego świata. Nawet jeśli tylko jeden winny jest zamieszaniu, pozostali też są niebezpieczni. Takie emocje i pragnienia potrafią nieźle namieszać. Poza tym tacy mają już nie tylko motywację, ale również determinację w osiągnięciu celu — odezwał się Miatel.

Ametysta popatrzyła uważnie na Miatela.

— Masz rację, przyjacielu. Dobry z ciebie doradca.

— Zauważyliście ten punkt? — ciągnął Miatel.

— Ciężko nie zauważyć. — Max zachnął się zirytowany.

— Max, weź się nie odzywaj i przyjrzyj mu się dokładnie.

— No i?... — Max zerknął na punkt. Nie wpatrywał się w niego nadmiernie, zakładając, że Miatel coś znowu wymyślił, aby zwrócić na siebie uwagę. „Głupia małpa” — pomyślał.

— Ślepi chyba jesteście, ten jako jedyny ma w sobie dwa kolory. Cała reszta jest jednolita. Widzicie to?!

Tym razem Ametysta i Max potraktowali jego uwagę poważnie i przyjrzeni się żółto-niebieskiej kuli.

Rzeczywiście ten punkt był dwukolorowy. Ciekawe. To by oznaczało... no właśnie, co to oznaczało? Ametysta nie miała pojęcia, jak to zinterpretować. Trzeba będzie przedstawić te informacje na radzie. Na Re, to już jutro. Wiedziała, że teraz musi się pośpieszyć. Jednak jej znalezisko było chyba cenne. Tak jej się wydawało. Starą metodą przy użyciu inkuba wyselekcjonowała istotę o pewnych pragnieniach i sile, która w tej skali mogła stanowić zagrożenie. Wśród tych kropek mógł być winowajca rozpadającego się świata. Mapa miała też pewien mankament, który zauważyła, choć nie podzieliła się tą informacją z kolegami. Mapa, owszem, pokazywała rejon lub wymiar, gdzie znajdował się podejrzany, ale nie okazała się pomocna w ustaleniu jego dokładnego miejsca pobytu.

— Max, jutro muszę być na radzie. Czy zostaniesz dzisiaj ze mną na noc? Mam wrażenie, że przyda ci się trochę wsparcia z mojej strony. Nadal nie wyglądasz najlepiej. — Mówiąc to, miała tak łagodny wyraz twarzy, że przypominała zbłąkaną owieczkę.

— Mrrrrrrrr... — Tylko tyle wydobyło się z jego gardła.

— Miatelu, naprawdę bardzo ci dziękuję. Jestem pod wrażeniem twojej interpretacji i spostrzegawczości. — Podeszła do niego i przytuliła się tak, jak tylko ona potrafiła.

Przyjaciel oblał się rumieńcem. Z radości stracił kontrolę nad swoim indrysem i z tyłu zafalował mu ogon. To go jeszcze bardziej zawstydziło. Ucałował swoją przyjaciółkę, życząc jej powodzenia na radzie, i skierował się ku drzwiom.

— Daj znać, Ami, gdy wrócisz.

— Dam, obiecuję. Trzymaj się, mój przyjacielu.

Ostatni z pola widzenia zniknął pręgowany ogon. Masywne drzwi zamknęły się bezgłośnie za Miatelem. Ametysta poszła do sypialni, gdzie na łóżku leżał nagi Max.

— Hm, myślałam, że jesteś zmęczony.

— Mrrrrrr — wydobyło się głębokie warknięcie, przypominające mruczenie kota.

Ametysty nie trzeba było długo namawiać. Następnego dnia miała się spotkać na radzie. Nie wiadomo, ile minie czasu, zanim go znowu zobaczy. Jeśli będzie zbyt zmęczona, po prostu zregeneruje się, używając magii.

Położyła się, niby bez entuzjazmu, u jego boku. Max drażnił ją swoimi dłońmi, omijając najwrażliwsze miejsca. Wydawało się, że trwa to wieczność. Jednak koniec rozmyślań był już dla Ami blisko. Poddała się Maxowi bez zbędnych myśli i pozwoliła, by to on zawładnął nią po raz kolejny, żeby przeniósł jej zmysły i świat do najpiękniejszego niebytu.

## XXVII

Do zamku zaczęli się zjeżdżać przedstawiciele Najwyższej Rady. Był wczesny ranek, a od czasu ostatniej narady dzień skrócił się o dwadzieścia minut. Magini bez zbędnej zwłoki przeniosła się pod salę, przykładając swój pierścień aktywujący przejście. Obraz pozwolił jej wejść.

Tym razem sala nie wywarła na niej aż takiego wrażenia, choć nadal pozostawała pod jej urokiem. Świece ustawiono nieco niżej niż poprzednio, dzięki czemu mogła dostrzec inne detale. Jej fotel błysnął na niebiesko. Ze zdziwieniem przyjęła, że jej miejsce zostało wyznaczone po prawej stronie króla. Poza nią nie było jeszcze nikogo. Przyglądała się wielobarwnym kwiatom i niemym obrazom. Obecne na nich postacie były nią równie zaintrygowane, co ona, gdy przywoływała karty historii, przypominając sobie wydarzenia z dawnych lat. Oczywiście ich nie słyszała, choć pewne słowa docierały do niej, gdy starała się czytać z ruchu ich warg.

— Panienska piękniejsza, niż myślałem.

Ametysta aż podskoczyła i podniosła magiczną ochronę. Rozejrzała się po pomieszczeniu, ale nikogo nie zauważyła. Może się przestęszczała?

— Niesamowite... Taka potężna, a taka strachliwa.

Ametysta znowu się rozejrzała. Komnata była nadal pusta, jednak tym razem nie miała wątpliwości, że słyszała rzeczywisty głos, to nie była wyobraźnia płatająca jej figla.

— Pokaż się — powiedziała donośnym i stanowczym tonem.

— No przecież stoję przed tobą. Spójrz przed siebie. Przecież mnie widzisz.

Ametysta spojrzała na wprost, ale była przekonana, że wszystko wygląda tak samo jak przed chwilą. Nikogo tam nie było. Przyglądała się wszystkiemu bardzo uważnie.

„Chyba mam coś ze wzrokiem albo to ktoś bardzo potężny, niedostępny dla moich oczu” — myślała.

Wtem obraz zamachał do niej. Właściwie nie obraz, a znajdująca się na nim postać. Była wysoka, z lekko szpiczastymi uszami, w karmazynowej szacie przepasanej fioletową wstęgą obszytą złotymi runami. Miała piękne kruczoczarne włosy, które spływały jej na ramiona, oczy zaś niebieskie i hipnotyzujące.

„Jaka szkoda, że on jest tam, a ja tu” — pomyślała.

— Król elfów, do usług. Na imię mam Guaidre. Chciałem cię poznać osobiście.

Ami dygnęła lekko. W sumie nie musiała, nie miał żadnej władzy nad światem realnym. Jednak respekt wobec władców był czymś naturalnym, a szczególnie szacunek względem niego, gdyż historia rozpisywała się o nim w samych superlatywach, no może poza jego skłonnością do wszelkiej maści i typów kobiet i samic. Aż dziwne, że to elf, a nie inkub.

— Panie Guaidre, Wasza Wysokość...

— Mów mi Guido, proszę. Po tylu latach niepiastowania tej funkcji taki ze mnie król jak z ciebie gnom.

— Dobrze, Guido. Czy mamy coś do omówienia? Bo za chwilę zacznie się rada i muszę się przygotować.

— Właściwie to nie. Obserwowałem cię na kolacji z Vikiem po poprzedniej naradzie. Masz klasę, Ametysto. Choć nie zdajesz sobie jeszcze sprawy ze swojej mocy. Jesteś jak nierozwinięty pączek najpiękniejszych kwiatów naszej ziemi. Lecz gdy się rozwiniesz, będziesz predysponowana do wielkich czynów. Uważaj jednak, bo możesz też szybko zwiędnąć, jeśli będziesz korzystać ze swej mocy i władzy niefrasobliwie.

— Guido, sądzę, że wiem, jaką mam moc. Choć oczywiście będę pamiętać twoje słowa, wszak jesteś o wiele bardziej doświadczony ode mnie. Zakładam, że z obrazów widziałeś już

niejedno.

— Mam do ciebie prośbę, Ametysto.

— Tak?

— Jeśli będziesz kiedyś potrzebowała pomocy, wezwij mnie, a wtedy się pojawię. Warunkiem jest, abyś miała obok siebie obraz. Uwierz mi, mogę być źródłem nieocenionej wiedzy. Bez względu na miejsce czy wymiar. Pamiętaj tylko o obrazie. A, i jeszcze jedno... Musi być w ramie i wisieć na ścianie.

— Mmm, OK. Dziękuję ci za tę propozycję. Zapamiętam i na pewno skorzystam, jeśli zajdzie taka potrzeba. Naprawdę możesz się pojawiać nawet w obcych wymiarach?

— Tak, ale nie czyn z tego wiedzy powszechnej. Właściwie wszystkie wymarłe gatunki mogą, ale wiedzą o tym wyłącznie królowie. Żyjący w nieznanym wam wymiarach mają jeszcze wiele do odkrycia. Dziwne by było, gdyby ci nieodkryci dowiedzieli się o nas, znaczy o was, zanim się tam pojawią, znaczy... pojawicie. Oj, chyba trochę to skomplikowałem. — Uśmiechnął się sam do siebie. — Nieważne. Poza tym rodzinie trzeba pomagać.

— Rodzinie? — Zdziwiła się szczerze. — Jakiej rodzinie? Nie wydaje mi się, abyśmy byli spokrewnieni.

— No cóż, wiem, że znasz moją historię. Miałem ogromny zapał i chęci, no i jak wiesz, szczyptę władzy. Tak czy siak, kiedyś twoja żeńska linia stała się, jak by to powiedzieć... Zdobyłem twoją praprapraprapraprapraprababkę. A to oznacza nic innego jak to, że masz w sobie trochę mojej krwi i dlatego możesz mnie przyzwać.

— Aaaaaaa... haaaaa. — Tylko tyle mogła z siebie wydusić na chwilę obecną. Rewelacja, ma w sobie krew króla elfów. Ciekawe, co jeszcze.

— Moja wnusiu, mogę chyba tak do ciebie mówić, prawda? Nie przeszkadzam ci już w przygotowaniach. Tak na marginesie, te mapy, o których czytałaś, to mój wynalazek. Nawet ja już o nich zapomniałem, dopóki ty nie trafiłaś na te księgi. Przyznam, że nie spodziewałem się potomkini o tak znaczącej mocy. Ale nic, czas już na mnie, zaczynają się schodzić twoi towarzysze. Do zobaczenia, wnuczko.

Ametysta stała oszołomiona informacjami i konwersacją, jaką przed chwilą odbyła. Nawet nie wiedziała, kto był jej pra — ileś tam razy — babką. I czy w ogóle to była prawda. A nawet jeśli, czy to coś zmieniało? Mówił, że ma moc większą, niż myśli. Ale czy chce mieć jej więcej? W sumie mogłaby mieć. Kiedy odprawiała rytuał z Maxem, zabrakło jej mocy i musiała się posiłkować dawką. Nieważne, dziś musi porozmawiać z radą. Usiadła na swym miejscu po prawicy tronu króla. Nie zauważyła tego wcześniej, ale pod ścianą stały trzy fotele. Bez stołów.

„Może po prostu ktoś je odstawił? A może będą obecni na radzie jacyś znamienici goście? Zaraz się wszystko okaże” — pomyślała.



## XXVIII

Areon przechadzał się po dziedzińcu. Wiedział, że nie może stanąć nogą na żółtej ścieżce, by wejść do komnaty. Poza tym, czy wejście go wpuści? I jak ma się tam dostać, skoro żółta ścieżka od razu odkryje, że nie jest tym, kim jest. A może nie? Może wykrywa jedynie iluzję?

„Nie przemyślałem tego zbyt dobrze” — pomyślał.

— No nie, panie mądry, odprawiłeś kawał fuszerki — odezwał się głos w jego głowie.

— Zamknij się, daj pomyśleć, jesteś członkiem rady, wymyśl coś — warknął sam do siebie.

— Ooo, niedoczekanie twoje. W niczym ci nie pomogę. Zginiemy obaj. Wolę zapaść się w nicość, niż ci pomóc.

— A to akurat masz gwarantowane. Przyznam, że nie spodziewałem się, że będziesz żył tak długo. Cóż, to tylko dowodzi, że wybrałem odpowiednie naczynie.

Głos już się nie odezwał. To, że tyle wytrwał, było kolejną nieprzewidzianą komplikacją. Po pierwsze, Areon nie był przyzwyczajony do ciągłego obcowania z kimkolwiek, a tym bardziej w jednym ciele. A po drugie, nie miał przez to pełnej władzy nad ciałem Kalina. Tak czy siak, musiał jakoś wejść do pałacu. Nie może być nieobecny na radzie. Z drugiej strony, jeśli zdradzi się za wcześnie, cały plan weźmie w łeb. Areon w ciele Kalina krążył tam i z powrotem. Tak. Źle to zaplanował, ale nie było wyjścia. Jeśli opuści teraz ciało, nie przeżyje w swojej postaci ani sekundy.

„Nie, nie mogę ryzykować, że mnie zdemaskują. Będę musiał symulować chorobę. Jakąś nieznaną, zakaźną” — pomyślał. „Nie, jednak nie. Nie może to być nieznaną chorobą, a tym bardziej zakaźną, bo zaczną się dopytywać, gdzie byłem i co robiłem. Wtedy będę na widelcu. Wiem, pozbędę się mocy, plamy zaczną mnie zjadać, ja się z czasem zregeneruję. Mam przecież duży zapas”.

Nadal miał mieszane uczucia, ale na ten moment wydawało mu się to jedynym rozsądnym rozwiązaniem. Oddalił się od zabudowań, jednak nie na tyle, by być zbyt daleko od cywilizacji. Żeby plan się powiódł, musiał zostać znaleziony przed śmiercią.

Miał na sobie królewskie szaty. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z tym mało idealnym planem, ktoś go znajdzie i będzie zobowiązany powiadomić króla. Wtedy się nim zaopiekują. Dodatkowo pewnie wniosą go do pałacu, dzięki czemu nie będzie musiał dotykać stopami ścieżki ani aktywować swych mocy, które nie rezonowały z Kalinem. Im dłużej o tym myślał, tym plan wydał mu się sensowniejszy.

Tymczasem rada była już prawie w komplecie. Ametysta spokojnie siedziała na swoim fotelu, pozdrawiając co chwila kolejnego nowo przybyłego członka. Driada wyglądała dziś bardzo potulnie, Artur zaś na nieco zmęczonego. Ametysta wstała z zamiarem porozmawiania z nim, ale jego mina nie była zbyt zachęcająca. „Później z nim porozmawiam” — pomyślała. Podeszła więc do Elny i Satyny, które właśnie weszły do komnaty. Satyna przywitała ją promiennym uśmiechem, który wydawał się nawet szczery. Ich pierwsze spotkanie nie było zbyt sympatyczne, jednak obie uznały siebie za godne przeciwniczki w dyskusji.

— Witaj, Satyno — zagadnęła.

— Witaj, Ametysto, wyglądasz dziś nader zjawiskowo, czyżbyś zdążyła się zakochać w tych trudnych czasach?

Satyna miała zmysły bardzo wyostrzone, ponieważ była metamorfomagiem. Dziwne jednak, że władczyni gadów, a raczej ta, która się w nie transformuje, miała wyczulone zmysły emocjonalne i empatię. Choć może to magia syreny dawała jej takie zdolności. A może po prostu

to była nic nieznacząca wypowiedź na zasadzie rozmówek towarzyskich.

— Satyno, wyglądasz równie pięknie, choć muszę cię zmartwić... W moim przypadku niestety nie ma to nic wspólnego z miłością. Jednak regularny tryb życia zawsze pomaga. Moja mama od lat mi to wpaja. Udało ci się odkryć jakieś nowe informacje?

— Niestety, mnie nie, choć mam nadzieję, że wiadomość, na którą czekam, dotrze tu, zanim opuścimy radę.

— Wiadomość? Czy to ma związek z naszymi obradami?

— Jakkolwiek by nie miało, to po co bym ci o tym mówiła, Ametysto? Czasami cię nie rozumiem, jesteś inteligentna, bystra i masz turmalin na palcu, a zadajesz pytania jak pięciolatka.

Ametysta oblała się rumieńcem. Ewidentnie była rozkojarzona. Satyna miała oczywiście rację, że w życiu Ametysty pojawiła się miłość, choć nie było to nowe wydarzenie. Jednak te tygodnie okazały się naprawdę fantastyczne. I chyba rzeczywiście wybiły ją z rytmu.

— Elna, a jak tobie poszło? — Ametysta zwróciła się do driady. — Czy magia ziemi coś ci podpowiedziała?

— Chyba coś się pojawiło. Nie są to jakieś bardzo widoczne ślady, ale udało mi się zebrać kilka ciekawych informacji, jak sadzę.

Elna miała zamiar powiedzieć coś jeszcze, lecz nie zdążyła. Do sali wkroczył Vik odziany w złote szaty. Był jak zwykle personą roztaczającą wokoło siebie aurę autorytetu i władzy. Za nim szły trzy osoby. Kobieta ubrana w czerń, z postury podobna do Ami, jednak jej styl był dużo bardziej wyzywający, choć jak na gust Ametysty dość męski. Miała obcisłe spodnie oraz gorset. Z ramion spływała jej kruczoczarna peleryna. Jej włosy upięte w misterny kok lśniły zielenią, jaką można zobaczyć, gdy ziemia rozkwita w kolejnym cyklu życia. Za nią szli dwaj mężczyźni. Wysocy i postawni. Wzrostem dorównywali Vikowi. Mieli mocno zarysowane szczęki i głęboko osadzone duże oczy. Zakonnicy byli ubrani w habity koloru granatu. Na rękawach widniały symbole zakonu Futura.

Wszelkie rozmowy na sali ucichły. Wszyscy obecni swój wzrok skierowali na gości. Nie zdarzało się często, aby w obradach uczestniczył ktoś poza delegatami. Niekiedy na obrady przybywał zakon Futura. Ale ta kobieta była ewenementem: obca, a jednak tu zaproszona.

„Ciekawe, kim jest” — pomyślała Ami.

— Wiesz, kim jest ta kobieta? — szepnęła Eli do Ami.

— Nie, a ty?

Eli pokręciła tylko przecząco głową.

— Via Vay They — powitali króla członkowie rady.

— Via Vay They — odpowiedział król wraz z nowo przybyłymi. — Zajmijcie swoje miejsca — poprosił Vik. — W naszej radzie będą dziś uczestniczyli goście. Pozwólcie, że ich państwu przedstawię. Zakonnicy Futura. Mistrzowie magii i tajemnic krwi. Brat Skylar i brat Benett. — Obaj uklonili się w geście powitania. — Na dzisiejsze spotkanie zaprosiłem również Brendę. To prawa ręka Arymana oraz posiadaczka informacji, które mieliśmy okazję doprecyzować z zakonem. Brenda opowie wam o naszych odkryciach. Mam nadzieję, że jesteście wszyscy przygotowani. Liczę też, że udało wam się uzyskać informacje, które pomogą nam poradzić sobie z zaistniałą sytuacją.

Zanim usiadł, podszedł do Ametysty, która zajęła już swoje miejsce po jego prawej stronie, i gestem niezwykle nobilitującym podał jej dłoń w ramach powitania. Pozostali członkowie zajęli już swoje miejsca. Ametysta przyglądała się Brendzie bardzo uważnie. Domyśliła się, że jest wampirem, w szczególności przyglądając się reakcji Artura, który mimo drobnej postawy Brendy zachowywał się, jakby zobaczył olbrzyma z kłami ociekającymi krwią. Brenda ewidentnie była tym faktem rozbawiona, więc co chwila uśmiechała się subtelnie,

pokazując kły. Artur wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany. Gdy tylko błysnęły jej zaostrome zęby, przeszedł go widoczny dreszcz.

— Arturze — zwrócił się do niego król — gdzie jest Kalin? Czy coś mu się stało? Dlaczego jego miejsce jest puste?

— Szanowny Viku, rozdzieliliśmy się po drodze. Sam jestem zaniepokojony jego nieobecnością. Myślałem, że kiedy dotrę, on już tu będzie. Miejmy nadzieję, że Re ma go w swojej opiece i niebawem do nas dołączy.

— Ja też mam taką nadzieję — odparł wyraźnie niezadowolony Vik. — Mam dość zmian w składzie rady na jakiś czas. Tak czy inaczej, musimy zaczynać. Mamy, jak sądzę, kilka informacji, które mogą nas przybliżyć do rozwiązania problemu. Pozwólcie, że zaczniemy od Ametysty.

Artur wiercił się na krześle, jakby miał owsiki. Był wyraźnie zdenerwowany. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie jego aura, która miała kolor szarości. To zwykle oznaczało chorobę albo, co gorsza, obłudę. Jednak nikt poza Ami nie zwrócił na to uwagi.

— Szanowni zebrani! — zaczęła Ametysta. — Przez okres moich poszukiwań udało mi się dotrzeć do starych ksiąg, które pozwoliły mi na przeprowadzenie eksperymentu. Stare rękopisy pokazały mi możliwości, które już od setek wieków były zapomniane. Jeśli pozwolicie, nie chciałabym się teraz wdawać w szczegóły. Mówiąc w skrócie, wykorzystałam cechy zaprzyjaźnionego ze mną inkuba. W ten sposób powstała wielowymiarowa mapa. Na niej możecie zauważyć punkty.

Na stole zmaterializowała się wielobarwna i imponująca swoim rozmiarem mapa. Zebrani wydali cichy odgłos podziwu. Była naprawdę wyjątkowa. Pełna detali i kolorów z widocznymi na niej punktami w różnych rozmiarach, kształtach i barwach.

— Kropki, które wyraźnie możecie na niej zobaczyć — kontynuowała — to oznaczenia znalezionych ludzi lub innych gatunków istnień. To jednostki specjalnie wyselekcjonowane pod względem pragnień, bardzo silnych pragnień. Do selekcji posłużyły nam emocje, takie jak silna potrzeba dominacji i czyste pragnienie władzy. Jak widzicie, w naszym wymiarze znajdują się jedynie trzy punkty. W trakcie poszukiwań dwa z nich były bardzo niedaleko. Pozwoliłam sobie również zakotwiczyć inkuba tak, aby mógł je bez problemu odnaleźć przy następnej sesji. Te istoty są bardzo niebezpieczne dla naszego świata. Chcą obalić króla. Dodam, że nie wiem, czy wśród nich jest nasz poszukiwany winowajca lub poszukiwani sprawcy naszych problemów. Sądzę jednak, że te wyselekcjonowane jednostki mogą stanowić dobry trop. Chciałabym też zwrócić uwagę szanownej rady na jeden szczególnie punkt, który mieni się dwoma kolorami. Niestety, nie wiem, co to może oznaczać. Jest wyraźnie większy i zupełnie różni się od pozostałych. Mam nadzieję, że może któryś z delegatów zetknął się z podobnym zjawiskiem i potrafi rozwikłać tę zagadkę. Czy mają państwo do mnie jakieś pytania?

Na sali nikt się nie poruszył. Słysząc tylko szelest ubrań poruszających się w rytm oddechów zebranych. Wszyscy przyglądali się kolorowym kropkom. Nie było pytań. Usiadła więc w oczekiwaniu na wypowiedzi kolejnych członków rady, dotyczące wiedzy zdobytej w trakcie swych badań i poszukiwań. Wiedziała, że dzięki połączeniu tych informacji łatwiej będzie im dotrzeć do rozwiązania tej niewiadomej. Właśnie miał zacząć zdawać relację Artur, gdy do sali wleciał sokół. Przysiadł na ramieniu Vika i skierował swój dziób do ucha władcy.

— Szanowni państwo! Kalin jest już w zamku, jednak wygląda na to, że jest poważnie chory i nie będzie miał możliwości uczestniczenia w naradzie.

Zebranych w sali przeszedł zimny dreszcz. Członkowie rady odznaczali się nadzwyczajną odpornością. Jako że byli najważniejszym ciałem doradczym króla, zaszczepiono ich właściwie na wszystkie możliwe choroby i ich odmiany. Dlatego też zgromadzeni zaczęli się

obawiać, że to, co spotkało Kalina, nie mogło być zwyczajną chorobą. Jedynie, że żył, przyniosło wszystkim ulgę. Tylko Artur nadal emanował swoją szarą aurą i wydawał się niczym niezaskoczony. To było bardzo niepokojące. Niestety, znowu nikt poza Ametystą tego nie zauważył, mimo że kilku członków posiadało umiejętność widzenia aury.

Obradowano jeszcze przez kilka godzin. Następnie król zarządził przerwę, zapraszając gości na obiad. Po dwóch godzinach naradę wznowiono. Pierwszym mówcą okazała się tajemnicza drobna kobieta ubrana w gorset i skórzane spodnie. Była bardzo ładna, nie tylko jak na wampirzycę. Ametysta pamiętała, że król przedstawił ją wcześniej imieniem Brenda.

— Witam zebranych! — Jej głos był dźwięczny i niespotykane czysty, a zarazem donośny, co z kolei zupełnie nie pasowało do jej drobnej sylwetki. — Pozwólcie państwo, że i ja ominę szczegóły dochodzenia do wniosków, jakie dziś zaprezentuję. Mam również prośbę do maga Ametysty, aby pozwoliła mi skorzystać ze swojej mapy. — Ametysta skinęła głową. — Otóż, szanowni państwo, po analizie nitek magii oraz uwzględnieniu innych czynników wyodrębniliśmy kilka potencjalnych obiektów mających związek z nitkami magii Arymana.

Ami ponownie zmaterializowała mapę na stole. Brenda wypowiedziała zakłęcie i na mapie objawiły się kolejne punkty. Około setki punktów, jednak tylko kilka z nich, tak jak w przypadku obiektów Ametysty, było bardzo jasnych. Ami od razu zauważyła pochodne barw, które się tam pojawiały.

— Teraz pozwolę sobie pozostawić jedynie te wielobarwne i najjaśniejsze. Oznaczają nici magii pierwszej linii łączące te osoby z Arymanem. — Następnie wypowiedziała kolejne zakłęcie i na mapie pozostały trzy punkty. Dwa z nich znajdowały się na terytorium Kotaliny. — Mówiąc w skrócie, są to osoby, które miały związek pierwszego lub drugiego stopnia z królem ciemności. Mogła być to przelotna znajomość bądź też traumatyczne doświadczenie. Jako że wszyscy obdarzeni magią podczas spotkania z inną istotą pozostawiają swój ukryty ślad, pozwoliliśmy sobie wyodrębnić te osoby, które emocjonalnie doświadczyły głębszego kontaktu.

Jeden z braci Futura z nienaganną elegancją wstał z krzesła i przejął pałeczkę od wampirzycy, która przy nim wyglądała groteskowo, wręcz jak karlica. Gdyby nie szaty zakonnika, mogłaby bawić się w slalom między jego udami.

— Wraz z moim bratem pozwoliliśmy sobie na odwiedzenie tych, którzy, jak już wspomniała Brenda, mieli najsilniejsze związki z królem ciemności. Po rozmowach wyeliminowaliśmy jedną osobę jako mało prawdopodobną podejrzaną w dalszym śledztwie. Pozostałe dwie to zielarka pracująca w Kotalinie oraz driada. Zielarka ma na imię Cleo, a driada to Basmath. Ku naszemu zaskoczeniu okazało się, że zielarka jest matką jednego z członków rady, co dodatkowo wysunęło ją na podium głównych podejrzanych.

Zebrani z uwagą zaczęli przyglądać się swym sąsiadom, próbując ustalić, kto z nich może być w to zamieszany. Oczy Ametysty zrobiły się jak spodki. „Moja matka? Ale jak to? Co ona ma wspólnego z Arymanem? Nie rozumiem”.

— Ametysto, mówię o tobie. — Jego głos był spokojny, lecz stanowczy. Mówiąc to, mierzył ją lodowatym wzrokiem.

Sala zamarła. Brenda i Vik wpatrywali się w Ami tak przenikliwym spojrzeniem, że najchętniej zmieniłaby się w komara i odleciała stamtąd z prędkością światła.

— W związku z tą informacją chcielibyśmy poprosić cię o wyjaśnienia. Oczywiście nie tu. Jutro prosimy cię o stawienie się w zakonie. Mamy do ciebie wiele pytań. Wielmożny władco, sugerujemy, by do czasu wyjaśnienia sprawy magini nie uczestniczyła w obradach.

— Ametysto, w związku z zaistniałą sytuacją proszę cię, abyś zostawiła nas samych. Mam nadzieję, że niebawem z powrotem do nas dołączysz — powiedział ze stoickim spokojem Vik.

Ami wstała z lekkością, choć jej nogi były jak kolumny doryckie. Ukłoniła się zebrany, starając się nie patrzeć nikomu w oczy, i opuściła salę. Wtedy jej serce zaczęło walić jak młot. Tysiące pytań, setki myśli wirowały jej w głowie, lecz na żadne z nich nie pojawiała się odpowiedź. Dlaczego matka nic jej nie powiedziała!? O co w tym wszystkim chodzi!?

Cleo była jedną z najznamienitszych i najbardziej szanowanych zielarek w Kotalinie. Spod swojej ręki wypuściła już niejednego adepta i niejedną adeptkę tej sztuki. Mieszkała samotnie na skraju łąki w dolinie oplecionej trzema rzekami. Na nauki do niej ze wszystkich wymiarów zjeżdżały się dziesiątki młodych pretendentów do tego szanowanego zawodu. Jej sława była zasadniczo dość świeża dzięki wydarzeniu sprzed kilku lat. Gdy Ametysta była już w gildii, do zielarki przybył nieznajomy, który twierdził, że cierpi na chorobę przywiezioną z innego wymiaru. Jego osada dawno wymarła i tylko on przetrwał z nieznanymi nikomu przyczyn. Dzięki wiedzy oraz umiejętnościom jej matki udało się wyleczyć mężczyznę, przy okazji opracowując lek na tę chorobę. Wieści rozniosły się na tyle szybko, że od tamtej pory po raz pierwszy w swym długim życiu nie musiała się już martwić o swoją przyszłość. Nie zmieniła jednak swoich nawyków i nadal sama chodziła po łąkach, zbierając potrzebne zioła. Stworzyła też podręczniki zielarstwa, które od tego roku miały zostać wykorzystane w gildii w nauczaniu tego przedmiotu.

Mimo swych osiągnięć nadal ubierała się jak przed laty. Długa, haftowana runami zdrowia suknia z krótkimi rękawkami i fartuch z niezliczoną liczbą kieszeni. W małym plecaku z przegrodami zawsze nosiła przy sobie świeże zioła. Była kobietą godnie się starzejącą i mimo upływu lat zachowała urodę. Gęste włosy upięte w staranny kok oraz wstążki wplecione we włosy komponowały się z jej radosną i pogodną osobowością. Miała dużo uroku, który budził życzliwość i sympatię napotkanych osób.

Był już wieczór, gdy dotarła do swojego domu. Na ławie obok wejścia położyła pelerynę i plecak. Weszła do kuchni, w której tak lubiła przebywać z córką. Nastawiła wodę na herbatę i patrzyła przez cienką szybę, jak świat powoli zasypia. Minął kolejny wspaniały dzień. Dziś udało się jej uratować trójkę dzieci i jedną driadę. Lubiała swoją pracę. Gdy tak zamyślona wyglądała przez okno, za plecami odezwał się głos:

— Przepraszam, nie przeszkadzam?

Machinalnie odwróciła się w kierunku drzwi, jednak te pozostały zamknięte. „Dziwne, wydawało mi się, że ktoś do mnie mówi. Pewnie to sobie wyobraziłam”.

— Przepraszam. Mam dla pani informacje o córce.

Tym razem głos był wyraźniejszy. Cleo rozejrzała się nerwowo po pokoju, ale nadal nikogo nie widziała. Oczywiście była świadoma istnienia magii na tym świecie, jednak starała się nie obracać w kręgach magów, mogło to bowiem zakłócić jej naturalny dar. To było także powodem tak rzadkich kontaktów z córką, która okazała się magiem najwyższego poziomu.

— Kim i gdzie jesteś? Trudno mi się rozmawia z powietrzem. Dobre wychowanie nakazuje, aby rozmawiać z kimś osobiście. — Nie była zdenerwowana, lecz czuła się nieswojo, mówiąc sama do siebie.

— Proszę wybaczyć, pani Cleo. Proszę popatrzeć na obraz brata. Tu mnie pani zobaczy.

— No proszę, a cóż pan robi na moim albo raczej w moim obrazie, to znaczy obrazie mojego brata? — Była mocno zaskoczona i język jej się lekko plątał. Szybko wzięła się w garść.

— Proszę mi wybaczyć, nie byłem pewien, czy pani też mnie zobaczy. Choć byłoby to dziwne, jako że jest pani moją daleką krewną.

Zielarka podeszła bliżej do obrazu, przyglądając się przybyszowi. Nie wyglądał jak ona. Był dobrze ubrany. Należał zapewne do wyższych sfer. Był wysoki i miał szpiczaste uszy. Jednak jego uśmiech nie budził wątpliwości — z pewnością miał dobre intencje.

— Hm, nie przypominam sobie, abym pana znała ani też by moja matka opowiadała mi o... elfach. Jest pan elfem, prawda?

— Cóż za spostrzegawczość. Tak, jestem elfem. I pani bardzo prakrewnym. Nie jestem zdziwiony, że mnie pani nie zna. Mój ród wyginął wiele lat temu. Dlatego mogę z panią rozmawiać. Pani daleka, nawet bardzo daleka przodkini uległa mi kiedyś i urodziła córkę. Zarówno w pani, jak i w Ametyście płynie częśćka mojej krwi. Od lat obserwuję moich potomków. I Ametysta, i pani jesteście godne tego, by mieć moje geny.

— Nie przesadza pan z tymi godnymi? — Cleo się zachnęła. — Załóżmy, że przyjmuję za prawdę to, co pan mówi.

— Ach, nie pan, mów mi Guido, droga wnuczko.

— Wnuczko? — Zdziwiła się szczerze. — OK, Guido, zostawmy to na potem. Mówiłeś, że masz informacje o mojej córce. Czy coś się stało?

— I tak, i nie. Tak naprawdę chyba przyszła pora, abyś powiedziała jej prawdę o jej rodzeństwie.

— Skąd wiesz, że ma rodzeństwo? — zapytała przestraszona.

— Jak już mówiłem, obserwuję swoją rodzinę. Posłuchaj, Cleo. Twój syn lub córka są podejrzani o wpływ na dni i ich długość, może nawet o zniknięcie smoków.

— Ametysta?

— Nie, nie ona. Twoje pierwsze dziecko. Rozumiem, że miałaś chwilę słabości. Do tego jesteś jedną z naznaczonych do prokreacji władców. Między innymi dlatego trafiliśmy na twój ślad. Właściwie... nie dlatego. Twój partner czy kochanek... w sumie to wszystko jedno... Ojciec dziecka trzymał trofea wszystkich swoich partnerek. Nie zdziwiła cię wczorajsza wizyta zakonników? Twoje ślady kodu oraz Arymana splatają się i przenikają. Musisz wreszcie powiedzieć córce prawdę. Niestety, nie tylko jej. Czy wiesz, kim jest obecnie Aryman?

— Nie wiem. Był inkubem, pewnie wrócił do siebie, do Królestwa Ciemności.

— A i owszem, wrócił. Ale teraz zasiada na tronie. Jest królem podziemia.

Cleo oniemiała. Rany związane z byciem porzuconą już dawno przestały boleć. Gdy jednak z nim była, nie wyglądał na takiego, który mógłby władać podziemiem. Siedziała, wpatrując się w gościa szeroko otwartymi oczami. Próbowwała przetworzyć te informacje i poukładać je w całość. Nie szło jej to zbyt dobrze.

— Przepraszam, Guido, ale chyba muszę trochę ochłonać po tej informacji. Chyba napiję się herbaty. Mam nadzieję, że się nigdzie nie śpieszysz, bo chyba czeka nas dłuższa rozmowa.

— Nie, moja droga, na razie nigdzie nie mam umówionych spotkań. Poczekam, aż dojdiesz do siebie.

Zielarka wstała i naląła wcześniej zagotowanej wody. Jednak do herbaty dodała kilka ziół, które z jednej strony pomogłyby się jej uspokoić, a z drugiej odświeżyć umysł. „A więc jednak żyje. Mój syn żyje. To cudowna wiadomość. Ale co teraz będzie z Karlem? On mnie chronił. I do tego myślał, że to jego dziecko. Dlaczego to nie mogło pozostać w przeszłości? I Ametysta całe życie nie wiedziała, że ma rodzeństwo. Co ona sobie o mnie pomyśli? Nie chcę opowiadać jej tej historii. I dlaczego podejrzewają go o tak okrutne czyny? Był dobrym dzieckiem. Aryman, mimo że inkub, przecież nie był okrutny. Moja matka zawsze mi powtarzała, że przeszłość zawsze da o sobie znać, jeśli pozostawi się sprawy niezakończone. I co ja teraz powiem mojej córce? Z drugiej strony, to tylko podejrzenia i poszlaki. Wcale nie musi się okazać, że to on”.

Minęło kilka minut, zanim Cleo doszła do siebie. Nie wiedziała jeszcze, jak się z tym czuje, co miały przynieść ze sobą nadchodzące dni. Domyślała się jednak, że to, co miało nadejść, będzie miało ogromne znaczenie zarówno dla niej, jak i dla Ametysty. Jeśli natomiast podejrzenia okazałyby się słuszne, wpłynie to na wszystkie wymiary.

— Guido, nie wiem, czy rzeczywiście jesteś moim krewnym, ale dobrze ci z oczu patrzy. Porozmawiajmy więc.

Gdy wstawały słońca, obudziła się w głębokim fotelu obok obrazu. W tym wieku tak spędzona noc równała się obolałemu ciału i dużej dawce ziół, by ból ustąpił. Rozejrzała się po salonie. Nikogo tam nie było poza jej ukochanym bratem, który jak co dzień przyglądał się jej z obrazu.

„Czy to była jawa, czy to był sen?” — zapytała siebie.



Poranek był mało zachęcający do wstania. Ametysta nie przespalała nawet chwili. Przez całą noc wierciła się z boku na bok. Użyła zaklęć nasennych i innych znanych jej sposobów, by zasnąć. Niestety, nie potrafiła się skupić nawet na tak błahych rzeczach jak zaklęcia pierwszego poziomu. Była rozbita i zmęczona samym myśleniem. Zupełnie nie mogła poskładać tych strzępków informacji w całość.

Powoli wstała z łóżka. W komnacie, którą jej przydzielono, panował przyjemny chłód. Kto by pomyślał, że będąc teoretycznie w najbardziej ekskluzywnym łóżku w Kotalinie, nie zasnęła nawet na chwilę. Powlokła się do łazienki. Ubrana i uczesana otworzyła drzwi, po czym udała się do sali jadalnej.

Śniadanie było bez smaku, mimo że na stole znajdowały się jej ulubione potrawy. Żuła powoli, zmuszając się do przełykania.

— Ami, nie denerwuj się — odezwał się znajomy głos.

— Jak mam się nie przejmować, Guido, skoro mogę stracić wszystko, co do tej pory osiągnęłam. Nie rozumiem nawet, dlaczego? Stałam się częścią jakiegoś planu, który jest dla mnie zupełnie niejasny. Rozumiesz coś z tego?

— Rozmawiałem z twoją matką. Pozwoliłem sobie na zaproszenie jej na niejawne posiedzenie. Sądzę, że wiele ci to wytłumaczy. Jestem przekonany, że zdejmie też z ciebie całą winę, choć nie będzie to dla ciebie łatwe.

— Ale ona mieszka całe dni drogi stąd. Posiedzenie jest dzisiaj. Ona nigdy nie używa magii, bo osłabia to jej naturalny dar.

— W tym przypadku dla swoich dzieci zrobiła wyjątek.

— Jakich dzieci? Mam rodzeństwo? Dlaczego mi nic nie powiedziała? Te wszystkie sekrety...

— O, moja droga, sekretów jest więcej, niż twoja genialna głowa mogłaby pomieścić. Wnuczko, pomogę ci. To mój obowiązek, jesteśmy przecież złączeni krwią. Muszę już iść. Weź głęboki oddech. Będzie dobrze. No, a teraz zmykaj na spotkanie.

— Nie mów do mnie w taki sposób. Nie jestem już dzieckiem. — Ami się obruszyła.

Guido uśmiechnął się do niej w sposób, w jaki potrafią to czynić tylko dziadkowie, gdy dziecko coś nabroi. Za życia był chyba dobrym człowiekiem... znaczy elfem. Szkoda, że nie może jej przytulić. Teraz by się jej to bardzo przydało.

Wstała od stołu i podążyła w kierunku komnaty tajemnic. Była położona głęboko pod ziemią, otoczona wieloma zaklęciami ciszy, prawdomówności, pokory i myślenia. Dla niewprawnego oka były to może dwa zaklęcia, ale oczom maga ukazywała się sieć niezliczonych splotów połączeń magii.

— Qhib lub qhov rooj thiab qhia rau kuv paub qhov tseeb thaum tshuav ncay ncees thiab tom qab tawm hauv secretive. Cia lub veil ntawm silence yuav cia kuv tom qab tawm hauv lub Chamber kom nyob twj ywm ncay ncees mus rau lub hom phiaj — wypowiedziała szeptem zaklęcie.

Pełna obaw i pytań weszła do komnaty. Kolejna sala, o której się uczyła, jednak po raz pierwszy miała okazję zobaczyć ją na własne oczy. Pomieszczenie nie było udekorowane. Miało surową architekturę. Wiele kątów i skosów. Materiał, z którego zostały wykonane ściany, stanowił rzadką odmianę labradorytu z morskoczną poświatą. Przeźroczysta podłoga przepuszczała stłumiony blask, który igrał z jego barwami. W pomieszczeniu nie było widać nikogo, miała jednak nieodparte wrażenie, że nie znajduje się w nim sama. Po chwili zza kanciastych kolumn wyłonili się Skylar i Benett. Obok nich stała jej matka. Z jej twarzy

Ametysta wyczytała mnogość emocji. Była zła, zagubiona, przestraszona i — co najbardziej ją zdziwiło — zawstydzona. Ametysta miała do niej tyle pytań.

Stały naprzeciwko siebie, wpatrując się sobie nawzajem prosto w oczy. Ze spojrzenia Cleo płynęło błagalne „wybacz mi”. Skoro matka czuła się tak bardzo źle w tej sytuacji, oznaczało, że tematy, które będą poruszane, są dla niej niezwykle osobiste. Nagle pośrodku pomieszczenia pojawił się Vik. Nie był ubrany w swoje królewskie szaty, lecz w dres do jazdy na smokach. Kiedyś, gdy w Kotalinie żyły smoki, był to jego ulubiony sport. Widocznie uznał, że kolejne usztywnienie w postaci oficjalnego stroju nie pomoże całemu spotkaniu.

— Ametysto, zielarko Cleo, drodzy bracia, usiądźcie.

Machnął ręką i na środku komnaty pojawił się skromny drewniany stół z krzesłami. Na szczęście były również magiczne i dostosowały się do komfortu siadających na nich osób. Ametysta pamiętała twarde, niewygodne ławki na lekcjach. Gdyby nawet chciała zasnąć, a czasami było to jej marzeniem, nie dałaby rady. Takie były niewygodne.

— Ametysto, czy pozwolisz, by twoja matka najpierw odpowiedziała na nasze pytania?

— Chyba nie mam wyboru, szanowny Viku. Mamo, proszę cię, wytłumacz mi, o co w tym wszystkim chodzi? Czy to prawda, że mam rodzeństwo?

Król dał znak, aby uciszyć potok pytań, który zaczynał się wydobywać z ust Ametysty.

— Na twoje pytania przyjdzie pora. Tobie też będziemy musieli zadać kilka. Pamiętaj, że ta sala nie pozwoli ci na zatajenie prawdy. Została stworzona przez najznakomitszych magów wiele wieków temu. Była też udoskonalana przez stulecia.

— Pani Cleo — odezwał się Skylar — na początek chcemy, aby opowiedziała nam pani trochę o swojej przeszłości. Jak oboje wiemy, jest pani jedną z pięćdziesięciu obecnie żyjących kobiet, które są wytypowane do rodzenia potencjalnych królów. Tak na marginesie, Ametysto, ciebie też to dotyczy.

Ametysta tylko spojrzała na niego z niesmakiem. „Nikt mi nie będzie odbierał dzieci, jeśli je urodzę. Nie będę zapładniana jak jakaś klacz” — pomyślała.

— Byłam młoda. I zakochana. — Jej oczy rozmarzyły się na chwilę. Wspomnienia napływały tak masowo, że zebrani mieli wrażenie, iż przeniosła się w czasie. — Był przystojny, wysoki. Miał w sobie tyle uroku. Ach, jak ja go kochałam. Ary — tak do niego mówiłam. Przez kilka lat byliśmy parą, miałam nadzieję, że się pobierzemy. Jednak pewnego dnia zniknął. A ja byłam w ciąży. Płakałam i miałam nadzieję, że wróci, ale nigdy się już nie pojawił. Tymczasem poznałam jednego z was, brata Karla. Zakochał się we mnie, a ja go polubiłam. Był moim ratunkiem. Oboje wiedzieliśmy, że nasz związek jest zakazany. Ale ja byłam taka zagubiona. Nie chciałam być samotną matką. Dość szybko więc dałam mu się uwieść. On ufał mi bezgranicznie. Przez następne miesiące dbał o mnie, było mi dobrze, nawet stopniowo zakochiwałam się w nim. Gdy urodziło się dziecko, wiedziałam, że zaraz pojawi się reszta zakonników i mi je zabiorą. Dlatego oddaliśmy je na wychowanie innej rodzinie. Nie wiem, co się z nim potem stało. Nigdy więcej się z nim nie kontaktowaliśmy. Uznałam, że tak będzie lepiej dla wszystkich.

— To był syn czy córka? — zapytał Skylar.

Matka spuściła oczy. Łzy spływały jej po policzkach i spadały na lśniąca od światła podłogę.

— Syn, bracie. Piękny, dorodny syn. Było czuć od niego magię.

— Czy Ametysta również jest dzieckiem Arymana?

— Nie. To się wydarzyło dziesięć lat przed jej narodzinami.

— Kim jest jej ojciec? Czy to jeden z nas? Czy to Karl?

Musiała znowu przeżywać emocje zakopane gdzieś głęboko w duszy. Powinna była powiedzieć Ami. Nie umiała. Miała nadzieję, że nigdy nie będzie zmuszona do tego wracać.

Ametysta słuchała historii matki. Łzy spłynęły jej po policzkach. Każdą komórką ciała czuła, jak cierpi. Jej paznokcie zmieniły kolor na zielony. Kolor fizycznego i emocjonalnego bólu. To znaczyło, że ma rodzeństwo. I to nie byle jakie. W jej rodzinie zatem krąży czarna magia. Aryman był kochankiem jej matki. Ciekawe, czy wiedział, że ona jest jej córką. Jak jej matka mogła być taka głupia? Przecież wiedziała, że jest inkubem. „No tak, ale ja też związałam się z inkubem” — skarciła się w duchu.

Tymczasem Cleo wzięła głęboki oddech, przytłoczona wspomnieniami.

— Tak, Karl jest jej ojcem...

— Mamo, co ty wygadujesz!?! Przecież mój ojciec nie żyje!

— Kochanie, wybac mi!... Musieliśmy to ukryć nawet przed tobą. Masz ogromną moc.

Nie od Karla, ale masz. Zakonnikom nie wolno łączyć się w pary z surogatkami, a tym bardziej mieć dzieci. On jednak zawsze nad tobą czuwał. I nade mną. Zawsze nas wspierał, tyle że nieoficjalnie. Opiekował się tobą, na ile pozwalało mu prawo bez narażania naszej trójki. Znasz go, kochanie.

— Nie. Nie znam, mamo. Ale miło, że po tylu latach mówisz, że mam ojca. — Ametysta była wściekła. Całe jej życie składało się z kłamstw. Czuła się zdradzona i oszukana. Chciała zrozumieć matkę. Tak bardzo chciała.

— Ależ znasz. Przychodził do nas kilka razy w tygodniu, pomyśl, słoneczko.

Przez jej głowę przebiegały obrazy zarówno znajomych i sąsiadów, jak i mężczyzn, którzy — jak jej się zawsze wydawało — zabiegali o względy matki. Ta twarz. Taka znajoma, do kogo należała? W jej głowie zaczął się tworzyć obraz człowieka. Niepozornego mężczyzny. Nie wyglądał jak obecni tu zakonnicy. Był niski i miał ludzkie rysy.

— Mamo, czy to był ten niski mężczyzna? Przynosił mi meferie?

— Tak, kochanie, to Karl.

Vik i zakonnicy przyglądali się tej pełnej ludzkich emocji rozmowie. Ich twarze nie zdradzały, co myślą, ale ani Ametysty, ani Cleo to nie interesowało. Były pochłonięte własnymi pogmatwanymi światami. Strachem, że ten sekret mógł zerwać łączącą ich więź.

— Mam jeszcze jedno pytanie, Cleo — odezwał się Vik. — Czy wiesz, gdzie teraz przebywa twój syn?

Kobieta kiwnęła przecząco głową. Do wczoraj nie miała pojęcia, że żyje. A tym bardziej gdzie się znajduje.

— Nie wiem, co teraz uczynię z twoimi winami z przeszłości, Cleo. Będę musiał się zastanowić razem z zakonem. Niestety, Karl będzie zmuszony ponieść konsekwencje złamania jego zasad. To bardzo poważne przewinienie. Możecie odejść.

Artur przeciskał się korytarzami do skrzydła dla chorych. Spotkanie rady i ich ustalenia dla całego jego planu były bardzo niepokojące. Dodatkowo podobno Areon chorował, a to oznaczało kolejne problemy. Teraz będą go badać. Na domiar złego podobno gdzieś w pałacu przebywa zielarka Cleo. Co gorsza, okazało się, że jest matką Ametysty, jednej z najpotężniejszych magiń w ostatnim stuleciu. Niedobrze. Musi koniecznie porozmawiać z Areonem. Teoretycznie nie powinna wyczuć, że są tam dwa istnienia, ale zielarki to równie nieprzewidywalne istoty co magowie. To może zaszkodzić całej operacji, która i tak już stała pod znakiem zapytania.

Korytarze w skrzydle szpitalnym były znacznie szersze niż w pozostałych częściach pałacu. Ich szerokość zaprojektowano w ten sposób na wypadek, gdyby było wielu rannych i trzeba by ich transportować na łóżkach jednocześnie w różnych kierunkach. Artur wiedział, że wykorzystywanie dyfuzji organizmu czy teleportacji lub magii na organizmie, który jest ranny, nie powinno się zdarzyć. Takie zachowania mogą grozić nawet unicestwieniem i połączeniem na wieki z nitkami magicznej mgły. Mijał kolejne drzwi i korytarze. Podejrzewał, że wiele wejść i sal też pominął, gdyż były widoczne tylko dla tych posiadających odpowiednie dary. Na szczęście nie musiał się ukrywać. Wszyscy wiedzieli, że Kalin to jego przyjaciel. Byłoby to wręcz bardzo podejrzane, gdyby nie pojawił się przy jego łóżku.

W końcu dotarł do odpowiedniego pokoju przeznaczonego dla właścicieli darów. Podobno był zabezpieczony odpowiednimi zaklęciami dla rasy, która miała być w nim leczona. Mimo tego Artur swobodnie dostrzegł wejście, co mogło oznaczać, że zaklęcia nie działają. Uchylił delikatnie zasłonę, która pełniła funkcję drzwi. Po prawej stronie przy oknie dostrzegł swojego przyjaciela. Jego ciało wyglądało prawie na zwęglone. Miał zapadnięte oczy i ciężko oddychał. Z ust ciekła mu ślina. Wyglądał na umierającego. „Mam nadzieję, że Areon wiedział, co robi” — pomyślał.

— Hej, wyglądasz fatalnie. Ja dzisiaj przy tobie wyglądam co najmniej jak Cupid — odezwał się rezolutnie Artur.

Areon powoli otworzył oczy. Popatrzył na niego mętnym spojrzeniem i wycharczał:

— Spadaj.

— Też się cieszę, że cię widzę, Kalinie — odpowiedział Artur z nutką satysfakcji w głosie. Był zadowolony nie tylko dlatego, że miał przynajmniej chwilową przewagę nad nim i że Areon wyglądał jak ostatnia ofiara losu, ale również dlatego, że w głębi duszy cieszył się, że Kalin być może przeżyje kolejny dzień. — Możesz rozmawiać? — zapytał już mniej radosnym tonem.

— Mogę, choć mam wrażenie, jakby moje ciało zamieniło się w kamień. Jest ktoś w pobliżu?

Areon mówił bardzo cicho. Jego głos był chrapliwy i ledwo słyszalny. Artur, żeby go usłyszeć, musiał się nachylić do jego twarzy.

— Czy jest tu ktoś poza tobą, Arturze?

— Nie wydaje mi się. Jesteśmy sami. — Na wszelki wypadek rozejrzał się dokoła, by mieć pewność, że nikogo nie ma w pobliżu. — Mów.

— Pozbyłem się większości magii. Musiałem tak zrobić, żeby nie wejść na złotą ścieżkę. Mogłaby mnie zdemaskować. Pojawiłem się w zamku, ale sądzę, że sala obrad by mnie wyczuła. Dlatego pozbyłem się magii, żeby Vik nie nabrał podejrzeń co do mojej nieobecności.

— Byłby to nawet dobry pomysł. Niestety, pojawiła się pewna nieprzewidziana przez ciebie przeszkoda. Powiedziałbym nawet — dość poważne zagrożenie. Jedna z największych

sław zielarstwa jest na zamku. Ma na imię Cleo. To matka Ametysty. Na pewno poproszą ją o zbadanie ciebie. Jest znana z tego, że ma dar leczenia egzotycznych chorób. Jak nikt inny potrafi je diagnozować oraz ulecząć. Musisz być bardzo ostrożny. Pomijam, że Kalin, który żyje w tobie, tworzy kolejne ryzyko zdemaskowania, a przynajmniej wzbudzenia podejrzeń. — Artur miał szczerą nadzieję, że Kalin rzeczywiście nadal żyje. Wiedział, że w obecnej sytuacji trzeba było ratować jego ciało. Jeśli ono umrze, jego przyjaciel nie będzie miał szans.

Na zewnątrz, w oddali, pojawił się odgłos kroków. Słysząc było przynajmniej dwie osoby, jeśli nie więcej. Odgłosy zbliżały się korytarzem w kierunku pokoju. Obaj z Areonem umilkli. Rozmowy prowadzone przez zbliżających się było słychać coraz wyraźniej. Dwóch mężczyzn i dwie kobiety byli prawie pod drzwiami.

— Słyszę Vika i Ametystę. Pozostałych nie rozpoznaję — szepnął Artur do Areona.

Do pomieszczenia wszedł Vik. Zaraz za nim brat Skylar, zielarka Cleo i Ametysta.

— Kalinie, jak się czujesz. Wyglądasz fatalnie. Chcemy z tobą porozmawiać — powiedział Vik opiekuńczym tonem, który w zestawieniu z jego wyglądem stanowił duży dysonans. — Masz ogromne szczęście. Dzisiaj na mój dwór przybyła zielarka Cleo, o której zapewne słyszałeś. Jest też Ametysta, którą znasz. Brat z zakonu Futura Skylar również postanowił wspomóc nas swoją wiedzą. Czy możesz powiedzieć o swoich objawach? To by nam bardzo pomogło.

Areon nic nie odpowiedział, starając się wyglądać jeszcze gorzej, niż się czuł, choć było to mało prawdopodobne. Miał wrażenie, że Kalin wypływa gdzieś na powierzchnię jego świadomości. Obawiał się, że w tym stanie nie opanuje zapędów Kalina do wyjawienia prawdy. Postanowił nie otwierać ust, pokiwał tylko głową.

— Szanowny królu, nie ma potrzeby męczyć pacjenta — odezwała się Cleo. — Pozwól, że go zbadam. Być może, gdy już dojdzie do siebie, będzie mu łatwiej z nami rozmawiać. Jeśli Wasza Królewska Mość pozwoli, zbadam go.

Vik skinął łbem. Ametysta i Skylar się nie odzywali. W szczególności zakonnik był zaintrygowany zielarką. Pomijając historię, którą dziś usłyszał z jej ust, chciał zobaczyć, w jaki sposób badają, a może nawet leczą zielarki. Był to zupełnie inny rodzaj medycyny od tej ludzkiej czy magicznej. Dodatkowo ich sztuka leczenia była bardzo skrzętnie ukrywana przed tymi, którzy nie byli adeptami zielarstwa.

— Panowie pozwolą? Chciałabym zbadać pacjenta. — Cleo dała do zrozumienia, że oczekuje, aby obaj mężczyźni opuścili salę na czas badania.

Bez protestu, choć nie bez oporu, opuścili pokój i zatrzymali się tuż za wyjściem. Gdy w grę wchodziło życie lub zdrowie pacjenta, zielarka zyskiwała władzę nad wszystkimi obecnymi. Dlatego też miała prawo wyprosić nawet samego króla. Po kilku minutach wyszła i skinieniem głowy poprosiła trzech mężczyzn, by podeszli do niej. Stanęli z boku, tak aby rozmowy nie zakłócały ciszy i by nie przeszkadzały choremu. Artur, co znowu zauważyła tylko Ametysta, miał nadal szarą aurę. Dodatkowo był jeszcze bardziej zdenerwowany niż na radzie. Aura Kalina była równie niepokojąca, jednak nie potrafiła jej określić.

— Panowie, powiem wprost: to bardzo dziwna choroba. Mam wrażenie, że jest jakimś splotem. Jego ciało jest wycieńczone. Wyzute z magii, jakby coś ją wyssało. Jednak żaden z organów nie zdradza poważnej dolegliwości. Na chwilę obecną nie wiem, co mu jest. Jednak wydaje się, że to nie choroba zakaźna. Na wszelki wypadek poprosiłam Ami o założenie zabezpieczeń, jeśli by się okazało, że moja diagnoza nie jest trafna. Zaklęcia powstrzymają ewentualne rozprzestrzenianie się choroby. Chciałabym też zostać tu kilka dni. Proszę go dobrze odżywiać i w małych dawkach podawać sztuczną energię w celu wytworzenia się nowych pokładów mocy. Bez tego nie przeżyje.

— Szanowna pani — odezwał się drżącym głosem Artur — czy to znaczy, że będzie żył?

— Tego panu nie mogę obiecać. Jednak zrobię wszystko, co w mojej mocy. — Spojrzała na Vika i zapytała:

— Czy mogę liczyć na nocleg? Potrzebuję tylko miejsca do spania, nie chciałabym się narzucać. W tych stronach niestety nie mam żadnych krewnych.

Vik chciał już odpowiedzieć, gdy wtrąciła się Ami.

— Mamo, możesz mieszkać u mnie, w moich komnatach. Mam tu na zamku swój pokój. Zresztą chciałabym jeszcze z tobą omówić kilka spraw. Tak dawno się nie widziałyśmy. Viku, czy mogłabym prosić o zgodę?

— Tak, oczywiście, z przyjemnością będę gościł twoją mamę. Jeśli natomiast będzie pani, pani Cleo, czegokolwiek potrzebowała, proszę dać znać Penacie, dostarczy wszystkiego, co niezbędne.

— Dziękuję, królu, jesteś dla mnie nader łaskawy. Mam jeszcze jedno pytanie, gdzie w pobliżu rosną zioła.

— Zielarko Cleo, przyznam szczerze, że nie mam pojęcia. Skylar, może ty wiesz?

— Tak, Viku. Zaprowadzę panią. Proszę tylko dać znać, kiedy chce się pani wybrać.

— Bardzo dziękuję, bracie Skylar. Najlepiej zbierać je przed wschodem słońca. Umówmy się, jeśli to nie problem, na jutro przed wschodem.

— W takim razie załatwione — stwierdził Vik. — Zobaczymy się więc wszyscy przy kolacji. Do zobaczenia.

Brenda opuściła zamek następnego dnia rano. Pogoda nie była zachwycająca. Słońca schowały się za zwykłymi mgłami. Magia jakby zasnęła, jej drgania były wręcz ledwo wyczuwalne. Zupełnie, jakby coś wysysało ją z roślin i zwierząt. Przy takich zaburzeniach latanie na wiatrach stawało się dość ryzykownym zajęciem. W przeszłości przy tak niestabilnej pogodzie podróżnicy lądowali w zupełnie innych miejscach, niż planowali. Bez pośpiechu postanowiła wykorzystać lustro. Jej kamień pozwalał na tego typu magię. Na zewnątrz zamku, w pięknym ogrodzie, który tak lubiła, znajdowało się ogromne lustro, często używane przez podróżnych.

„W sumie powinnam odwiedzić ojca. Do Arymana chwilowo wolę nie lecieć, ta anomalia magiczna nie wróży nic dobrego przy takich odległościach” — zastanawiała się Brenda. „Maxa też chciałabym zobaczyć, choć nie wiem, gdzie obecnie przebywa. Muszę podjąć decyzję, bo jeśli nie będę miała precyzyjnego celu, mogę znowu trafić pomiędzy światy. Wrr, nie lubię być taka niezdecydowana. Wkurza mnie to. Dobra, najpierw odpocznę”.

Dotknęła lustra i przeniosła się do gospody „Pod Smokiem”, która znajdowała się w pobliżu gildii przy granicy z Mekaliami. Było to ulubione miejsce odpoczynku Brendy poza oczywiście domem rodzinnym. Tu zazwyczaj spędzała swoje wakacje razem z Maxem. Dotknęła kamienia, myśląc o nim. Jeśli był gdzieś niedaleko, mógł odebrać jej wibracje. Nie przepadała za wiadomościami telepatycznymi. Telepatia głównie kojarzyła jej się z przejmowaniem władzy nad jedzeniem — ludźmi. Krew z dawcy piła na tyle rzadko, że nie zaburzało to możliwości chodzenia w świetle dnia. Młode wampiry miały z tym problem. Niejeden w przeszłości przesadził z ilością wypitej krwi. Pozbawiwszy swoją ofiarę życia, płonął, gdy tylko światło dotknęło ciała. To musiało być bardzo bolesne.

Brenda weszła do obszernej sieni, gdzie jak zwykle z uśmiechem powitała ją drobna hobgoblinica. Na głowie miała zawiązaną różową kokardkę w kropki.

— Brenda, pani, jak ja się cieszyć, że pani zęby nadal być zdrowe — powitała ją Tinki. Była osobowością samą w sobie. Pomijając wygląd goblina, jej podejście do estetyki i mody wyróżniało ją nawet z tłumu goblinów.

— Och, Tinki, jak miło cię widzieć. Gdzie twój oblubieniec? Czy już mu odcięłaś wszystko i leży gdzieś tam, dogorywając? — odpowiedziała w podobnej konwencji Brenda.

— Czy pan kły żółte oczy będzie pani towarzyszył? — zapytała z dwuznacznym uśmiechem.

— Mam taką nadzieję, kurduplu — odpowiedziała wampirzyca.

— Mam pokój dla pani i wilka. Cichy, romantyczny. Ten, co zawsze. Było kilku gości, którzy źli na Tinki, że nie dała pokoju. Ale Tinki chowa pokój dla pani Brendy i Maxa.

— Bardzo ci dziękuję.

Weszła na schody i korytarzem udała się w kierunku pokoju, w którym mogła chwilę odpocząć w nadziei, że Max odczyta wysłane wibracje.

Kilka godzin później się zjawił. Był pełen wibracji stęsknionego wilka. Rozpięta koszula odsłaniała jego muskularną klatę. Na szyi było widać pulsujące życiem żyły. Jego widok zawsze przyprawiał Brendę o dreszcz podniecenia.

— Cześć, moja wampirzyco. To co, bawimy się w konwenanse czy przechodzimy do rzeczy? — Jego głos był taki spokojny, że gdyby nie wampirzy słuch Brendy, nie wyczułaby feromonów płynących w jej kierunku strumieniami.

Nie czekał na odpowiedź. W okamgnieniu zjawił się przy niej, rozrywając jej gorset i spodnie, jednocześnie podgryzając szyję. Oczy zwężyły się, z głębi wyzierał wilk. Jego zapach lasu i dudniacej w żyłach krwi powodował u Brendy zawroty głowy. Te, bez których żadna

kobieta w życiu nie powinna się obejść.

Nic teraz nie miało znaczenia. Wgryzła się delikatnie w jego szyję, po której popłynęła strużka świeżej krwi. Mogła się nią subtelnie delektować, choć ręce i pasja Maxa, z jaką ją pieścił, nie miały nic wspólnego z subtelnością. Jego ciało przywarło ją do ściany. Podniósł jej nogi na swoje biodra i wszedł w nią bez pytania i zbędnych ceregieli. Była tak spragniona jego pożądania i dotyku, że aż jęknęła. On rytmicznie, z mocą dominującego wilka, samca alfa, posiadał każdy skrawek jej martwego ciała. Tylko dzięki niemu czuła się żywym, w pełni żywym organizmem. Minuty i sekundy zamieniały się w wulkany rozkoszy. Czuła ogień, który rozgrzewał ją od wewnątrz. Jej żar dosięgnął wampirzycy, która na co dzień była uszpona w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się jej dusza. Oczy zmieniły kolor na głęboki onyks. Balansowała na granicy świata umarłych i rzeczywistości. Myśli i świadomość przemieszczały się po wymiarach. Była wolna i pełna uczuć, które zalewały ją jak fale na morzu podczas sztormu. Nagle poczuła, że na te kilka chwil stała się w pełni kobietą. Była spełniona. Powoli wracała do niej świadomość. Obrazy stały się wyraźne. Leżeli obok siebie. Ich zmysły, tak zmęczone, a z drugiej strony wyostrome. Chłód powietrza przyśpieszył powrót do rzeczywistości.

— Ups, zapomniałem się przywitać, kochanie. Witaj, miło cię znów widzieć — powiedział dumny z siebie Max.

— No widzisz, jak zwykle nie pilnujesz swoich manier — wyszeptała nadal półprzutomna Brenda.

— No dobrze, skoro przystawkę mamy za sobą, to co, pora na jakieś główne danie?

— Nie, nie, nie, oj, nie, daj mi chwilę, nie mam siły.

— No co ty, nie jesteś głodna? Może jakieś mięsko albo przynajmniej sałatka?

Brenda zarumieniła się, co stanowiło rzadkość.

— A, o to ci chodzi. Tak, w sumie zjadłabym coś. Wiesz, myślałam...

— Brendo, jakieś strasznie kosmate masz myśli. Owszem, uwielbiam to z tobą robić, ale nie przesadzajmy. Daj mi z pół godzinki. — Był bardzo z siebie zadowolony.

Powoli się ubrali. Lekcy jak piórka zeszli na dół do głównej izby, gdzie czekał na nich obiad. Wszystko smakowało jak z najlepszej restauracji. Głód u dwóch drapieżników był nie do opanowania. Pochłonęli zaserwowane danie w okamgnieniu.

— Widzę, że już się przywitaliście — powiedziała Tinki, przekrzywiając głowę. — Wy być chyba dzisiaj bardzo głodni. Musieli się dzisiaj bardzo gorąco witać. — Zachichotała jak mała dziewczynka, która właśnie się zawstydzila.

Oboje spiorunowali ją spojrzeniem. Ależ ich wkurzała. I ta kokarda w kropki. Jednak mimo jej stylu bycia było to miejsce dla nich szczególne. Właśnie dzięki jej zachowaniu mogli się oderwać od konwenansów, etykiety dworskiej i wszystkich innych oczekiwań, które stawiał przed nimi świat. Mogli być sobą.

— Tinki? Nie przeginaj — rzucił Max.

Brenda pogroziła małej gnomicy palcem z szelmowskim uśmiechem. Tinki niespecjalnie się przejęła. Zabrała talerze i w kubkach z lodyg podała ich ulubioną kawę z krwią smoczą.

— Rozpieszczasz nas, Tinki. — Brenda się uśmiechnęła. Chwilowo czuła się jak mała dziewczynka, która beztrudno latała z ojcem nad polami. Popatrzyła na Maxa swoimi głębokimi oczami. — Max, może jakiś spacer przed pójściem spać?

— Z przyjemnością, moja mała wampirzyco.

Pogoda ustabilizowała się, a na niebie można było dostrzec dwie planety i księżyc. W tym rejonie był to częsty widok. Planety rozświetlały niebo subtelnym niebieskim i czerwonym przyćmionym blaskiem. Księżyc — koloru smoczego mleka — błyszczał swoim diamentowym



światłem. Było ciepło. Jednak magia nie miała zbyt dużej siły. Brenda wyczuwała subtelne zaburzenia słabej magii.

— Max, wiesz, mamy pewne tropy co do zaburzeń w naszym świecie.

— Mamy? A co ty masz z tym wspólnego? Myślałem, że to rada i gildia się tym zajmują.

— Tak i nie. Vik zaprosił mnie do udziału ze względu na powiązanie z Arymanem.

— Ametysta, jedna z członkiń rady, z jakimś inkubem znaleźli kilka tropów.

„Uuu, niedobrze” — pomyślał Max. „Poznały się. A myślałem, że to jest nieprawdopodobne. Mam nadzieję, że nie miały okazji się zaprzyjaźnić. Będę musiał zachować większą ostrożność. Naprawdę nie mam ochoty na ich spotkanie, a tym bardziej nie chciałbym wybierać. Choć wątpię, czy jeśliby się o sobie dowiedziały, miałbym z kogo wybierać”.

— Słyszałem o niej. Podobno ma ogromną moc.

— Ma turmalin. Jest w sumie miła, choć jakaś taka strasznie sztywna. Tak czy owak, w ostatnich dniach wyczuwam zmiany w magii. Znacznie osłabła. Obawiam się, że o kolejne minuty, może nawet godziny, skróci to nasz dzień. Na mapie na granicach pulsują kamienie. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie ma na granicy czegoś, co mogłoby wysysać magię podtrzymującą równo wagę.

— OK, to dość logiczne. Wiesz, jak szukać tego śladów?

— Ametysta mówiła o możliwościach wyszukiwania przez moc inkubów. Myślałam, że może ty mi pomożesz.

— Brendo, nie mam pojęcia, jak to się robi. To musi być jakaś bardzo stara wiedza naszych przodków. Takie maginie mają dostęp do wiedzy, która już zaniknęła w naszym świecie.

— Prawda, mówiła coś, że to prastara magia, że znalazła to gdzieś w starych zwojach.

— Ale skoro ty wyczuwasz te zmiany, może poszukajmy źródła. Skoro coś zasysa magię, prawdopodobnie istnieje jakaś jej droga, wiesz, kierunek, w którym podąża.

— Mogę spróbować. Najlepiej wyczuwa się ją przed wschodem słońca. Wtedy jest dla mnie najbardziej widoczna. Spróbować nie zaszkodzi. Żałuję, że nie możesz mi pomóc. Wracajmy, skoro mamy wstać przed świtem.

### XXXIII

Ametysta z matką siedziały przy perłowym ogniu. Kominiek dawał przyjemne ciepło. Obie były spięte, co dało się wyczuć w powietrzu. Nie miały jeszcze ochoty na sen, wiedziały też, że nadszedł czas na prawdę. Prawdę, która przekazana w nieumiejętny sposób mogłaby zaważyć na ich relacji.

— Mamo, dlaczego mi nic nie powiedziałaś? Dlaczego mi nigdy nie powiedziałaś, że Karl jest moim ojcem? — zapytała Ametysta z rozgoryczaniem w głosie.

— Przecież wiesz, że nie mogłam — odpowiedziała matka, patrząc na Ami wzrokiem, który wyrażał poczucie winy, ale i ogromną miłość do córki.

— Tak, rozumiem, że gdy byłam małym dzieckiem, mogło to być ryzykowne. Ale potem? Przecież wiedziałaś, że dochowam tajemnicy.

— Moje zaufanie i wiara nie mają tu nic do rzeczy, dziecko. Po prostu nie mogłam nas narażać. Miałam nadzieję, że taki dzień jak dzisiaj nigdy nie nadejdzie. Przecież byliśmy szczęśliwe.

— Tak, byliśmy szczęśliwe, co nie zmienia tego, że mnie okłamywałaś. Dlaczego mi nigdy nie powiedziałaś, że mam brata?

— Ami, jesteś mądrą kobietą. Proszę. Powód jest dokładnie taki sam. Po prostu nie mogłam. Zresztą, czy to miało znaczenie. Oddaliśmy go dziesięć lat przed twoim narodzeniem. Do dziś nie miałam pojęcia nawet, że żyje. Nie wiem, jak wygląda. Jestem świadoma tylko tego, że podejrzewają go o spowodowanie nadciągającego kataklizmu.

Ametystyście trudno było odłożyć na bok emocje. Ich ogrom i różnorodność były wręcz przytłaczające. Siedziała z kieliszkiem wina, wpatrując się w perłowe płomienie.

— Mamo, ale to oznacza, że być może będę musiała walczyć z twoim synem, a z moim bratem. — Jej głos się załamał. — A jeśli będę musiała go zabić?

— Kochanie, nie dramatyzujmy. To tylko podejrzenie. Nie wiemy nic na pewno.

— Brenda miała też trzy kropki, z których jedna rozmiarami pasowała do mojej. I jest teraz w Kotalinie. To powoduje, że prawdopodobieństwo takiego obrotu spraw jest duże. Nie uważasz?

— Owszem, to niewykluczone. Jednak na tę chwilę nie rozwiążemy tego problemu. Domyślam się, że potrzebujesz czasu, aby mi wybaczyć to, że nie znałaś całej prawdy. Poczekam. Mam nadzieję, że mimo wszystko uda nam się, właściwie nie nam, a tobie, zbudować ponownie zaufanie do mnie.

— Masz rację. Nie wiem, ile mi to zajmie, ale jesteś dla mnie najważniejsza. Zostawmy ten temat. Czytałam twój podręcznik — jest niesamowity.

— Nie wiem, czy wiesz, ale jest zabezpieczony przed wścibskimi.

— Mamo, przecież swobodnie go przeczytałam.

— Tak, kochanie, bo masz również dar zielarstwa.

— Ja? Zielarstwa? Ale to nie idzie w parze z magią.

— Nie, ale go masz. Jesteś wyjątkowa.

— Hmm... Mamo, słyszałam, że poznałaś Guido. On twierdzi, że jestem jego wnuczką.

— Owszem, odwiedził mnie. Mnie też nazwał wnuczką, co było dość zabawne, zważając na mój wiek. Nie wiem, czy to prawda, ale niewykluczone, że tak. Będę musiała pogrzebać w historii naszej rodziny. Widać nie tylko ja miewałam słabości. A ty jak, córko, ktoś może cię uwiódł i posiadał twe serce?

Ametysta się zarumieniła. Postanowiła sobie już w komnacie, że nie będzie oszukiwać matki, jeśli ich relacja ma powrócić na tory zaufania.

— Chyba tak. Niestety i ja miałam momenty zapomnienia, mamó. On też jest inkubem. Na dodatek również białym wilkiem.

— No, no, uczeń przerósł mistrza. — Cleo się zaśmiała.

— Śmiejesz się?

— Kochanie, serca nie idą za głosem rozsądku. Jednak odpowiednie zabezpieczenia, które zapewne poznałaś, uchronią cię przed niepożądanymi potomkami. Mam nadzieję, że nie popełnisz tego samego błędu co ja.

— Nie planuję, mamó, w najbliższych stu latach.

— Powiedz mi, kochanie, odkryłaś już całą swoją moc?

— Co wy wszyscy z tą moją mocą. Najpierw Guido, teraz ty. — Irytowało ją to.

— Kochanie, otóż jak by ci to powiedzieć. Gdy się narodziłaś, z twoim ojcem zbadaliśmy skład twojej krwi. Jak wiesz, zakon Futura bada krew wszystkich narodzonych chłopców z dawczyń. Ty byłaś dziewczynką, więc formalnie ciebie by nikt nie badał. Okazało się, że jako pierwsza od wielu pokoleń mogłabyś być na miejscu króla. Na szczęście nie masz takich zapędów. Twoja moc już w okresie, gdy byłaś dzieckiem, dotykała punktów na najwyższej skali.

— Mamó, czyli co? Mam nieograniczone zasoby magii? To bzdura, ostatnio wręcz mi jej zabrakło.

— Masz, kochanie, ale jeszcze nie dotarłaś do kolejnych poziomów swojej mocy. Biorąc pod uwagę, co może cię czekać jako najsilniejszego maga w Kotalinie, sugeruję, abyś zaczęła jej dotykać. Może ci się bardzo przydać. Choć mam nadzieję, że tak się nie stanie. Gdy wrócę do domu, sprawdzę naszą historię. Obiecuję, że wszystko ci opowiem. Bez tajemnic. Jeśli okaże się, że Guido jest rzeczywiście naszym krewnym, poproś go o pomoc. Sądzę, że będzie najlepszy w tym temacie. Nie wiem dlaczego, ale wołałabym, żebyś nie prosiła o to Futury, mimo że zapewne oni również posiadają taką wiedzę.

— Głowa mnie boli od tych wszystkich nowości, mamó. Muszę się z tym przespać.

— Idź spać, kochanie. Ja też zaraz się położę. Jutro muszę iść nazbierać ziół. Dobranoc, moja magini.

— Dobranoc, wielka zielarko.

Ucałowały się w policzki i poszły do swoich łóżek. Tam czekał je odpoczynek, pod warunkiem że uda im się zasnąć. Obie miały o czym rozmyślać.

## XXXIV

Noc dobiegała końca. Powoli nieba nad Kotaliną dotykały promienie słońca. Powietrze było rześkie. Max i Brenda, zmęczeni nocnymi igraszkami, spali jak zabici. Ciemność ustępowała światłu, którego blask w obecnych czasach ważył więcej niż złoto. Z ciszy wydobyły się dźwięki skrobania. Coraz mocniej i mocniej, aż przemieniły się w łomot do drzwi.

— Pani Brenda wstawać. Pani mnie prosić, żeby budzić panią. — Głos Tinki nieprzyjemnie zaczął brzęczeć w uszach Brendy.

— Tinki, nie umiesz jakoś inaczej? Mogłabym dostać zawału serca, gdybym je miała. Aż mi skóra cierpnie od tego drapania.

— Tinki lubi być skuteczna. Żeby się pani nie gniewała, Tinki ma dla pani i pana śniadanie.

— Postaw pod drzwiami, Tinki. Następnym razem zrób to jakoś bardziej normalnie.

Za drzwiami słychać było dźwięk stawianej tacy i chichot goblinicy. Potem jej kroki zaczęły się oddalać.

— Max — poruszyła go za ramię — wstawaj, musimy iść.

Otworzył oczy, które mimo że wydawały się przytomne, nie zdradzały cienia świadomości. Odwrócił głowę w kierunku głosu, który go budził. Był spięty. Niestety, często podczas snu zdarzało się, że wilk przejmował kontrolę nad inkubem. W takim momencie trzeba było bardzo uważać, aby nie obudzić wilka, który mógłby zrobić ogromną krzywdę nawet komuś bliskiemu. Zasadniczo najlepiej dla wszystkich byłoby, aby obudził się sam. Trudno, brakowało na to czasu.

Brenda pośpiesznie wrzuciła na siebie gorset i spodnie ze skóry smoka. Otworzyła drzwi i wzięła z podłogi tacę z jeszcze ciepłym śniadaniem. W tym czasie Max doszedł już do siebie i siedział na łóżku, zakładając hartowaną runami koszulę.

— Chcesz kanapkę czy jajecznicę, Max?

— A ile mamy czasu, kochanie? Bo głodny to ja jestem, ale niekoniecznie na śniadanie.

— Przestań, wiesz, że mamy go mało. Chcesz tę kanapkę czy nie?

— Daj, już się tak nie obruszaj. Ty też coś zjesz?

— Robię kanapki na drogę. Chodź, idziemy.

Wyszli z pokoju na korytarz i pospiesznie udali się w kierunku granicy. Świat był dla nich obojga, jako dla istot ciemności żyjących na powierzchni, bardzo wyraźny. Świt był tym momentem, w którym ich zmysły wyostrzały się najbardziej. Biegli. „Dlaczego nie pomyślałam, aby zostać tu na noc. To byłoby dużo rozsądniejsze niż pędzić teraz na złamanie kłów” — przebiegło jej przez głowę. Powoli ich oczom ukazały się wirujące nitki mocy. Na pierwszy rzut oka było widać, że coś jest nie tak. Po pierwsze, nie były to nitki, lecz prądy. Po drugie, oplatał je czarny bluszcz, jakby dusząca ich naturalna witalność. Wszystkie w dość powolnym tempie posuwały się ku drzewu, które było stare i zniszczone. Wyglądało, jakby zniszczyła je burza magii. Tam też zniknęły.

— Wiesz, co to jest? — zapytała Brenda.

— To port, ale nie wiem, jaki i dokąd prowadzi. Na mój gust to nic dobrego.

— Słuchaj, możesz podczepić się myślą do tej magii? No wiesz, żeby zobaczyć, gdzie ona płynie, a — co ważniejsze — gdzie wypływa?

— Nie wiem, chyba nie. Magia to nie myśli i emocje. To czysta energia. Ale z drugiej strony to już coś. Wiemy, gdzie magia znika. Teoretycznie orientujemy się, gdzie wędruje. Może zakonnicy albo ta, no, Ametysta będą w stanie ustalić, gdzie znajduje się ujście.

— Może, ale korci mnie, żeby sprawdzić. Jesteśmy oboje magiczni. Magia powinna nas

zanieść ze sobą tam, gdzie kończy swój bieg. Zobacz, nawet jeśli wylądujemy u Arymana, możemy sobie tam poradzić. To też jest nasz świat. Niektóre demony mogą być mało gościnne, ale dalibyśmy radę.

— Brenda, słoneczko. A jak wylądujemy w innym wymiarze? W jaki sposób tu wrócimy? A jeśli utkniemy tam na dobre?

— Popatrz na to z innej strony, Max. Może uratujemy nasz świat i będziemy na zawsze razem.

— Brenda, ty się chyba naprawdę źle czujesz.

— OK, ja podjęłam decyzję, a ty?

— Oszalałaś?! Przestań. Poprosimy kogoś o pomoc. Nie wiem kogo, ale na pewno zainteresujemy tym niejednego maga.

— Nie ma czasu na szukanie chętnych. Żebyś nie musiał się specjalnie denerwować, idź do Tinki i weź dwa lustra. Poczekam tu na ciebie.

— A skąd wiesz, że dasz radę się przemieścić razem z lustrem. Że magia nie odrzuci niemagicznego obiektu?

— Nie wiem, ale pomyślałam, że to cię uspokoi. Wracaj zaraz, dobrze? Im będzie jaśniej, tym trudniej mi będzie odnaleźć wejście. Jeśli nie zjawisz się tu z powrotem w piętnaście minut, idę sama.

— Na wielkiego Re, jaka ty jesteś uparta. Zaczekaj, zaraz wrócę.

Po około dziesięciu minutach Max gnał z powrotem do Brendy. Tinki, wyczuwając intuicyjnie, choć nikt nie wiedział, skąd u goblinicy intuicja, zrobiła im jeszcze kanapki na drogę. Max nie miał ani siły, ani czasu z nią dyskutować, zawinął je tylko pod pachę i pobiegł do Brendy. Stała tuż obok drzewa.

— Masz wszystko? — spytała zniecierpliwiona.

— Mam, a nawet i więcej... Kanapki na drogę! — Wyszczrzył kły w uśmiechu.

— Co? — Przewróciła oczami ze zniecierpliwienia. — Dobra, nieważne. Chodź, czas się kończy.

Wzięła Maxa za rękę, jednocześnie dotykając swojego pierścienia.

— Max, musisz jeszcze naciąć skórę dłoni, ja zresztą też. Krew pozwoli nam przez chwilę być jednym organizmem. I daj lustro. Ty już go dotykałeś, a ja nie. Może się uda. Rozumiem, że masz drugie?

— Tak, mam.

Złączyli dłonie w uścisku i stanęli przed jamą chłonącą magię. Na początku nic się nie działo. Magia powoli zaczęła ich oplatać, a bluszcz przycisnął ich do siebie tak mocno, że Max prawie nie mógł złapać tchu. Chwilę później magia połknęła ich, porywając ze sobą. Lot należał do bardzo nieprzyjemnych. Bluszcz kłuł, powodując ból nie do opisania. Magia dodatkowo ich regenerowała, co powodowało, że ciało było co moment na nowo rwane kolcami.

Po pewnym czasie poczuli grunt pod nogami. Gdy udało im się uzyskać władzę nad ciałem i zmysłami, otworzyli oczy tylko po to, by je natychmiast zamknąć. Było tak jasno, że aż oślepli. Znajdowali się jakby w kuli wypełnionej po brzegi nitkami energii. Tu nie było bluszczu. Magia cały czas próbowała się uwolnić z tej ciasnoty. Z zamkniętymi oczami zaczęli wymacywać ściany balona.

— Max — szepnęła — chodź, tutaj coś czuję.

— Co?

— Nie wiem, jakąś rurę albo otwór. Wąski. Ale sądzę, że na tyle duży, żebyśmy się przeczołgali. Będzie parzyć, bo ma zmienioną strukturę od cząsteczek magii. Masz to lustro?

Max pomacał się pod koszulą przy pasie. Pod palcami wyczuł coś twardego i

kwadratowego. To było lustro, jeśli nadal nim było.

— Chyba tak. Słuchaj, musimy coś zrobić, bo mam wrażenie, że tracę kontrolę nad białym. On nie czuje się tu zbyt komfortowo.

— OK, nie gadajmy tyle — rzuciła Brenda, wpełzając do otworu.

Max podążał za nią. Ściany były śliskie, jakby całe w glonach i ślinie. Korytarz, po którym się czołgali, był wąski i, tak jak Brenda podejrzewała, bardzo gorący. Parzył każdy dotyk. Byli bez wyjścia, mogli tylko iść dalej. Na końcu poczuli powiew chłodu, wręcz zimna.

— Max, chyba da się wyjść.

Nie odezwał się, tylko pełzył dalej, skupiony na utrzymaniu swojego wilka w ryzach. Po kilku minutach, z sińcami na ciele, krwawiącymi ranami i bąblami od oparzeń, wyczołgali się z rury. Mieli szczęście, że ich ciała szybko się regenerowały, ale ból był dotkliwy.

Znajdowali się w wielkiej niebieskiej jaskini niewyobrażalnych rozmiarów. Wszędzie leżały kości. Spojrzeli w dół. Stali po kolana w sadzawce magii, która zmieniała swą konsystencję w płynną. Wyszli na brzeg, ciesząc się, że ich regeneracja dobiega końca. Dokoła rozciągały się ogromne korytarze. Coś lub ktoś, kto z nimi podróżował, musiał być przynajmniej dwudziestokrotnie większy od nich. Piasek chrząścił im pod stopami.

— Niedobrze, Max. Mam wrażenie, że coś nas obserwuje. Zazwyczaj mam dobrą intuicję.

— Sii, Brenda.

Z jednego z korytarzy wyleciał mały smok. Był mniej więcej ich wielkości, co oznaczało, że wyklął się stosunkowo niedawno. Oboje poznali tę rasę. To był ich smok. Wydawanie wszelkich dźwięków lub nagłych ruchów nie było wskazane. Szczególnie że zazwyczaj za dzieckiem podążała matka. Dorosłe osobniki świetnie pasowały do rozmiarów korytarzy.

Gdzieś z głębi usłyszeli zbliżającego się smoka. Dużego smoka. Dźwięk stawianych łap dudnił tępo w uszach. W każdym skrawku ciała czuli wibracje powodowane przez ten odgłos. Ich oczom ukazała się smoczyca. Była piękna, ale i trochę zabiedzona. Nie zareagowała na ich widok. Musiała być szkolona przez opiekunów. Ich widok nie zrobił na niej wrażenia. Przy takiej smoczycy mogli się czuć w miarę swobodnie, jeśli nie miała złego humoru.

— Brenda, chyba znaleźliśmy smoki.

Brenda tylko pokiwała głową.

— A skoro je znaleźliśmy, to co teraz z nimi zrobimy? No i co zrobimy z bańką pełną magii?

— Szczerze? Nie mam pojęcia. Przynajmniej jeszcze nie. Na razie daj te kanapki, bo zgłodniałam.

Max wyjął z pasa zgniecione kanapki. W zaistniałych okolicznościach wydawały się rewelacyjne, a ich smak wprost idealny.

To było leniwe popołudnie. Artur chodził bez celu po pałacu. Prawie wszyscy już opuścili zamek i udali się do swoich domów z nowymi zadaniami przydzielonymi przez króla. On jednak, jako przyjaciel Kalina, został na miejscu. Po pierwsze, naprawdę martwił się jego stanem, a po drugie, nie mógł dopuścić, aby jeszcze cokolwiek poszło nie po jego myśli. Ostatnio w planie pojawiały się nie tylko rysy, ale również głębokie pęknięcia zagrażające osiągnięciu celu. Rano nie mógł wejść do skrzydła chorych, ponieważ zielarka zakazała odwiedzin przed południem. Teraz jednak mógł spokojnie pójść i zobaczyć przyjaciela. „Ciekawe, czy rzeczywiście go zobaczę” — rozmyślał.

Szedł pustymi korytarzami, aż dotarł do skrzydła, w którym znajdowały się sale chorych. Powietrze w tej części zamku miało specyficzną woń ziół. Niewątpliwie jedną ze sprawczyń tego mdlącego zapachu była Cleo. Tym razem bez problemu trafił do pokoju, w którym leżało ciało...

— Jak się czujesz? — zapytał w sumie z dobrego wychowania.

Wygląd chorego mówił sam za siebie. Podkrążone oczy, prawie spalone ciało od magii, chrapliwy oddech. Jak na jego mało wprawne oko nie było poprawy.

— A jak sądzisz? — odpowiedział nadal obrócony w stronę ściany. — Czego chcesz?

— Coś ty taki drażliwy. Przyszedłem cię odwiedzić. Mogę jakoś pomóc?

— Nie, chyba że masz dla mnie nowego dawcę. Przeliczyłem się. Ten twój zasrany kumpel odciął mnie od dodatkowych zasobów magii. Nie mogę zregenerować ciała. Te ich sztuczne zamienniki magii działają tak powoli, że w tym tempie szybciej świat pograży się w ciemności, niż ja obejmę tron. A, i mojego jedzenia tu nie podają. Dziwnie by wyglądało, gdyby nagle zaczęły znikać ciała pielęgniarek, nie sądzisz? Poza tym są mało apetyczne. Musisz mi pomóc się stąd wydostać, słyszysz?

— A niby jak mam to zrobić? Mam przyjść po zachodzie i wynieść cię na plecach? Czy może wolałbyś, abym przyprowadził ci tłumek młodych uczennic i karafkę magii?

— No proszę, świetny pomysł. To drugie poproszę.

— Przestań gadać głupoty. Wiesz, że to równie idiotyczny pomysł jak twój ostatni z tą chorobą.

— To inaczej. Potrzebuję lustra.

— Przecież nie masz siły w tyłek się podrapać. Jedziesz na resztkach energii. Taki transport twojego ciała i kogoś, kto ci pomoże, patrz ja, zabije cię na miejscu.

— Teraz tak, ale za jakiś czas powinienem sobie z tym poradzić. Na razie zadowolę się szczurami i innymi zwierzętami. One są mało pożywne, ale też mają dusze. Jest szansa, że szybciej dojdę do siebie. Chyba nie masz z tym moralnego problemu? Co, świnko?

— Niech cię wszystkie demony pochłoną — albo nie, niech spali cię Re.

— Oj tam, oj tam. Przyniesiesz mi te zwierzęta? To nie powinno nas w żaden sposób ujawnić.

— Przyniosę. Wolę to niż ludzi.

— Grzeczny chłopiec. A teraz opowiadaj, co się działo na radzie.

Artur przysiadł na łóżku, nie bez wysiłku kładąc jedną nogę na pościeli, i zaczął opowiadać. Tak się zaangażował w odtwarzanie tego, co się działo, że nie zwrócił uwagi, jak jego słuchacz zasnął. Nie miało to w sumie większego znaczenia. Wyszedł po cichu z sali i skierował się do lasu, aby zapolować na jedzenie dla tego, kto był, a zarazem nie był jego przyjacielem. „Ale się wkopałem” — skarcił sam siebie w myślach.

## XXXVI

Brenda była pod wrażeniem. Smoczyca musiała być świetnie wykształcona, gdyż ich obecność zdawała się jej zupełnie obojętna. Przyglądali się zafascynowani matce, która próbowała zagonić do legowiska małego niesfornego smoka.

— Max, zdajesz sobie sprawę, że jeśli ona tu jest, reszta powinna być gdzieś w pobliżu?

— A ile tych smoków tak właściwie zaginęło?

— Ponad siedemset.

— No to nasza dwójka sama sobie z tym nie da rady. Zdajesz sobie chyba z tego sprawę? Pomijam, że nad nami jest gigantyczny kocioł magii, który może wybuchnąć lub, co gorsza, obumrzeć ze względu na brak przepływów w prądach. A to byłoby dużo gorsze niż wybuch, bo nie będziemy wtedy w stanie przywrócić naszego świata. I to, czego się tak boimy, może stać się nieuniknione.

— OK. Wracamy, wyjmij lustro. Musimy dostać się do Ametysty i Vika. Ona ma moc, która może to odwrócić. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Max wyciągnął zza paska lustro, oblepione jego potem, ale niezbite. Wziął delikatnie Brendę za rękę, wciągając głęboko powietrze.

— Nie lubię takich podróży. Znacznie bardziej odpowiadają mi moje cztery łapy.

— Na czterech to się stąd nie wydostaniesz, więc przestań marudzić. Gotowy?

— Tak.

Oboje trzymali lustro. Ich odbicia były zamazane. Nie było czasu na oczyszczenie go z zabrudzeń.

— Zaczekaj, Max.

— Co? Coś nie tak?

— Jak wypowiem zaklęcie i będziemy stali, ono upadnie i się rozbije. A wtedy nie wrócimy tu tą drogą.

— OK, siadaj na ziemi. Ale osobiście nie chcę tu wracać. Zresztą bym ci się tu nie przydał. Ewentualnie mogę powarzyć na smoki, ale nie sądzę, żeby się tym jakoś szczególnie przejęły.

— Dobra, nie traćmy czasu. Jeszcze musimy dotrzeć do zamku. Mam nadzieję, że Ametysta nadal tam jest.

Siedząc na ziemi, popatrzyli na siebie wzrokiem, jaki mogli zrozumieć tylko bliscy sobie ludzie. Brenda dotknęła swojego pierścienia, który nosiła na palcu lewej dłoni. Gdy patrzyła na Maxa, jej usta zaczęły się poruszać w rytm zaklęcia. Świat zawirował, z daleka rozległ się dźwięk upadającego lustra. Ich dotyk był, ale jego nie było. Ich ciała nie miały formy. Świat pociemniał. Leżeli, trzymając lustro obok drzewa, w które wnikała niewidzialna stróżka magii.

— Max, wstawaj, idziemy. Nie mamy czasu.

— Kochanie, będę cię tylko spowalniał. Poczekam na was w gospodzie. Złap wiatry. Ja nie mogę tak podróżować, ale ty — tak.

Max dotknął delikatnie jej policzka, a ona pocałowała go w usta. Miała nadzieję, że znajdzie tych, którzy będą mieli wiedzę i władzę, aby to powstrzymać. To był przełom. Znalazła smoki. Znalazła miejsce, w którym zasysano magię. Aż dziwne, że nikt wcześniej tego nie sprawdził. Nieważne, musiała dostać się jak najszybciej do Vika. Gdzie jest najbliższy portal? Do Arymana za daleko do wejścia. Wtem olśniło ją: gildia. Tam jest portal. Nie знаła tamtych wiatrów, ale ich temperatura i siła ułatwiały wybór drogi. Tata uczył ją rozpoznawania dróg przez zmysły. Zaczęła biec. W ciągu kilku sekund nie było jej widać na horyzoncie.

Dotarła pod bramę gildii. Na szczęście nie była zamknięta. Wyczuwała miejsce, które



pachniało wiatrem. Pobiegła tam w najbardziej ludzki sposób, jaki potrafiła. Portal był ogólnodostępny. Zupełnie inaczej niż w innych miejscach w ich świecie. Otoczony altaną z wonnymi kwiatami. W ziemi obsadzonej bluszczem widać było prowadzące w dół schody. Były zimne i mokre. Zeszła ostrożnie. Lądowisko nie było głęboko pod ziemią. Komnata portalu należała do jednych z ładniejszych, jakie widziała. Cała w iluzjach kwiatów. Barwy były tak nasycone, że aż bolały ją oczy. Jednak widać było rękę geniusza sztuki magii.

Weszła na środek i poczuła wiatry. Niektóre delikatne i ciepłe, inne z nich miały idealną temperaturę i wskazywały, że zaprowadzą ją do Vika, ale nadawały się dla magów niższego szczebla, dodatkowo dla tych, którzy się nie spieszą. Na tych subtelnych wiatrach zabraloby jej ze dwa dni, aby dotrzeć na miejsce. Nie miała tyle czasu. Zimny i gęsty wiatr był obok. Próbowwała wyczuć, którym ma się udać. Do tego portu dochodziło co najmniej dwadzieścia różnych. Obeszła dokoła platformę. Na samym jej skraju przepływał przyjemny, prawie gorący wiatr. To ten. Jego prędkość gwarantowała, że za kilka godzin dotrze do zamku. Złapała go mocno i pozwoliła się porwać. Znowu była w drodze i ponownie miała uśmiech na twarzy, dziękując sobie w duchu, że nie nosi sukienek.

Wylądowała w szafie. Znowu tutaj. „Czy ja zawsze muszę lądować w szafach?” — pomyślała lekko rozbawiona. „Przynajmniej nie w trumnie. Tata mówił, że moi przodkowie sypiali w trumnach. Musiało im być bardzo niewygodne”. Już miała otworzyć drzwi, gdy usłyszała dźwięki. Napięła mięśnie. Ktoś jęczał. Brzmiało to przerażająco. „Muszę pomóc. Ten głos. To kobieta. Jest w niebezpieczeństwie” — analizowała szybko.

Wyszła powoli z szafy, skupiona i gotowa do ataku. To, co zobaczyła, przeszło jej najśmielsze wyobrażenia. Głos kobiety był głośny, wyraźny i przerażający. Zastygła, widząc, jak Vik doprowadza swoją ofiarę do granic rozkoszy. Powinna się odwrócić, ale doznała takiego szoku przez swój błędny osąd, że tylko przyglądała się rytmicznym ruchom króla. Kiedy stała jak wryta, jej oczy nagle spotkały się z dzikim spojrzeniem zwierzęcia, jakim był w środku. Świat zastygł. Ewidentnie musiał wrócić do rzeczywistości, aby zarejestrować, że jest obserwowany. Kobieta również zauważyła, że podróż do świata ekstazy została nagle przerwana.

— Wyjdź — rzucił Vik do kobiety.

Niewiasta lub nałożnica króla, jakkolwiek by jej nie nazwać, zerwała tylko z łoża prześcieradło i w popłochu owijała się nim, wybiegając z komnaty.

— Brendo, jak miło cię widzieć. Widzę, że atawistyczna potrzeba pomieszczeń z drewna cię nie opuszcza. Skoro miałas już okazję zobaczyć mnie w akcji, może masz ochotę dokończyć to, czego nie skończyła moja nałożnica? — Jego tembr głosu wskazywał, że nie jest zachwycony całą sytuacją.

Brenda spuściła wzrok. Zarumieniła się, mimo że było to właściwie niemożliwe.

— Wasza Wysokość, proszę o wybaczenie, jednak z perspektywy szafy brzmiało to zupełnie inaczej. Miałam wrażenie, że komuś dzieje się krzywda. Naprawdę nie wiem, jak mam teraz postąpić. Musimy porozmawiać, ale chyba najpierw byłoby wskazane narzucenie szat. Mogłabym mieć problem z przekazaniem wieści i skupieniem się na konkretach. A proszę mi wierzyć, są naprawdę przełomowe.

Vik narzucił szatę bez zbędnych ceregieli. Wstał z łóżka. Nie zaprosił jej do pokoju spotkań, tylko stanął obok łóżka z założonymi rękami, bardzo znacząco postukując ogonem.

— Mów.

— Znalazłam smoki i magię. To tak w największym skrócie. To, co ją uwięziło, jest potężne. Ja sobie z tym nie poradzę. Potrzebuję pomocy. Magia jest zasysana na granicy do wielkiego czegoś. To coś jak beczka z kranem. Chyba przenika do innego wymiaru. Piasek jest tam niebieski, a smoki przebywają w grotach. Nawet się rozmnażają.

— No to są wiadomości warte przerwania grzechu. Nie ma czasu na zebranie rady. Gdzie to jest?

— Obok gospody. Prowadzi ją gnomica Tinki.

— Wydam polecenia i spotkamy się w gospodzie u tej, jak ją nazwałaś?

— Tinki.

— Zobaczmy się jutro. Wracaj tam. Na wypadek, jakby się coś działo, wyślę z tobą Guido. Czy u Tinki jest jakiś obraz z ramą na ścianie?

— Nie mam pojęcia, chyba tak.

— Jeśli nie ma, to powieś tam jakiś. Jakby się coś zmieniło, powiesz Guido, a on powiadomi mnie w ciągu kilku minut. Wracaj.

Brenda weszła z powrotem do szafy. Złapała wiatr i wróciła do gildii. Pośpiesznie wybiegła z lądowiska i pobiegła po schodach. Po kilkunastu minutach była już w gospodzie. Rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu obrazu. Nad wejściem wisiał jeden z martwą naturą. Vik nic nie mówił, że ma być to obraz człowieka. Miał ramę, więc Brenda żywiła nadzieję, że taki wystarczy. Przyglądała się paskudnym bohomazom. Powoli na obrazie pojawiła się głowa Guido.

— Ciasno tu. Nie mogłaś znaleźć jakiegoś większego? Tu się mieści tylko moja głowa.

Brenda spojrzała na gadającą głowę i poszła na górę, gdzie czekał Max.

## XXXVII

Artur siedział przy Areonie, który wyraźnie wracał do siebie. Pod łóżkiem leżała brudna torba, w której Artur przesznuł małe zwierzęta. Gdy widział, jak Areon wysysał z nich życie, było mu niedobrze. Ledwie sekundy zajmowało mu pozbawianie kolejnych kotów, królików i innych zwierzątek duszy i tchu. To było jednak dużo lepsze niż życie ludzi czy innych gatunków egzystujących w Kotalinie. Po Kalinie nie było ani śladu. Nie pojawiał się na powierzchni. Mimo to Artur miał nadzieję, że nadal gdzieś tam jest. Prawdę mówiąc, nie wiedział za bardzo, dlaczego tak kurczowo trzymał się tej nadziei. Ciało Kalina było praktycznie kompletnie zniszczone. Plamy, które kiedyś znajdowały się na jego ciele, połączyły się w jeden czarny pigment. Tkanki wyglądały na spalone. Nawet jeśli odebrałby kontrolę Areonowi, nie żyłby długo.

Areon mlasnął z zadowoleniem.

— No nie jest źle. Na długo mi to nie starczy, ale mamy inne sprawy. Wiadomo coś nowego?

— Nie, nic szczególnego. Używają jakiejś magii. Podobno prastarej. Wyszukali tych, którzy chcą przejąć władzę. Nie do końca rozumiałem, jak to uczynili. Nieważne. Nie mają nic znaczącego.

— Niech szukają. Nie sądzę, żeby znaleźli coś konkretnego. — Uśmiechnął się sam do siebie z satysfakcją. — Musimy się stąd ulotnić. Masz lustro?

— Nie przeginaj, ledwo co zacząłeś dochodzić do siebie. Nie masz siły na takie podróże. Magii też ci pewnie zabraknie.

— Nie dyskutuj, świnko. Ładnie się mną opiekowałeś i dlatego postanowiłem zabrać cię ze sobą. Musimy wrócić do źródła. Za chwilę zakończy się cały proces. Muszę tam być, inaczej nawet ja nie będę zadowolony z rezultatu. Pomyśl, będziesz świadkiem powstania nowego świata.

— Ale...

— Żadne ale. Dawaj lustro.

Arturowi ten pomysł zupełnie nie przypadł mu do gustu. Byli jednak prawie na finiszu. Jeszcze chwila, a zdobędzie władzę. Nikt go już publicznie nie poniży, będą mu się kłaniali. No, może poza tym potworem.

Położył lustro na pościeli, która miała już kilka dni. Była przesiąknięta fluidami regeneracyjnymi. Areon nie bez wysiłku wyciągnął dłoń i dotknął lustra. Jego skóra miała trochę jaśniejszy odcień niż kilka dni temu. Paznokcie pożółkły od braku substancji odżywczych, które wypalił sobie w trakcie pozbywania się magii. Z porów ulatniał się zapach leczniczych ziół. Artur podwinął rękaw i dotknął lustra. Na wpół spalony Aryman wypowiedział słowa zaklęcia. Świat zamigotał.

Obaj leżeli na niebieskim piasku. Powietrze było suche. Ze skał dało się słyszeć szuranie. Znajdowali się wewnątrz grotu. Ściany pokryte zasuszoną glonami nie robiły dobrego wrażenia. Gdzieś tam pozostałości smoczych odchodów zdradzały, do kogo należały odgłosy dochodzące zza ścian.

Artur pomógł wstać Areonowi. Ten skierował się w kierunku korytarza, który znajdował się po ich lewej stronie. Gdy do niego weszli, widać było jego koniec i poświatę sugerującą, że druga grotka ma dostęp do światła. Kiedy przedostali się przez ciasne przejście, oczom Artura ukazała się sadzawka. Była jak kameleon. Bezustannie zmieniała kolory. Mimo swych niewielkich rozmiarów emanowała ciepłym światłem. Światłem życia.

— Co to jest? — zapytał Artur, domyślając się odpowiedzi.

— To wasza albo, jak wolisz, nasza magia. Mój wynalazek. Pracowałem nad tym dziełem długo, musiałem odwiedzić inne wymiary, ale znalazłem metodę, aby stała się mi uległa. Jest zasysana na powierzchni, potem wpływa do pieczary, która doprowadza ją tutaj niewielkim przesmykiem. Dzięki temu moi podopieczni mają się czym żywić. Niestety, smoki bez magii nie mają szansy na przeżycie.

— Mówiłeś, że to już prawie koniec. Co teraz będzie?

— Kochanieńki, teraz będzie chaos. Magia już prawie zniknęła z waszego wymiaru. Magowie tracą moc. Ja odzyskam jej tyle, ile potrzebuję, a nawet więcej. Powstaną upiory, demony, topielice i nieumarli, którymi mam przyjemność dowodzić. Co do ciebie, chwilowo nie mam pomysłu. Na pewno cię jakoś wykorzystam. Pewnie chciałbyś mieć władzę. Dam ci jakiś pomniejszy rejon, gdzie skupię swoje pożywienie. Może nawet odnajdę swoich bliskich. Wiesz, mój ojciec zapewne nie zatrzymał się tylko na mnie. — Na twarzy Areona malowało się rozbawienie zmieszane z nadzieją. — Czas się zregenerować.

Podszedł do sadzawki magii. Ukucnął nie bez trudu i delikatnie dotknął barw życia. Jego ciało zaczęło zasysać magię. Przemiana była wręcz natychmiastowa. Podkrążone oczy zniknęły, a zastąpiły je oczy pełne wigoru i życia. Jego ciało, pomarszczone i szerniałe, zaczynało odzyskiwać blask młodzieńca. Pozostało już tylko kilka plam. Odsunął się od źródła życia i przeciągnął się już wyprostowany.

— Skoro już czuję się i zapewne wyglądam jak nowo narodzony Re, muszę jeszcze pożywić swoją duszę. Masz ochotę coś zjeść?

Artur skrzywił się tylko.

— Nie, ale pójdę z tobą. Domyślam się, że jesteśmy w niebieskim wymiarze.

— Jaki ty domyślny. Naprawdę, cały czas mnie zaskakujesz. Idziemy, kochanieńki. Musimy się przygotować. Niesamowite, że to prawie koniec i za chwilę będę panem świata. Magowie będą błagali o magię. Wszystkie istoty zapłacą mi swoimi duszami za życie. A ja będę miał ich na zawołanie.

### XXXVIII

„Guido?” — zawołała w myślach Ametysta. „Potrzebuję cię”. Sama nie wierzyła w to, że się zjawi, jednak wieści, które przedstawił jej król, nie należały do pomyślnych, choć z drugiej strony sprawa była przynajmniej rozwikłana. „Max?” — wysłała mentalne wołanie. „Gdzie jesteś, potrzebuję cię?”

Po kilku minutach na obrazie pojawił się Guido.

— Jestem. Domyślam się, że to coś ważnego. Mów, proszę, bo właśnie porzuciłem posterunek, na którym jestem z polecenia króla.

— O, przepraszam, mam do ciebie ważne pytanie. Odnoszę wrażenie, że to, co wiesz, może zaważyć na losach świata. Mówiłeś, że mam moc, której jeszcze sama nie czuję. Co to za moc? I jak mam z niej skorzystać, skoro nie wiem, jak ją w sobie odnaleźć?

— Przypuszczałem, że padnie to pytanie. Ponieważ czas nagli, nie będę ci dziś opowiadał historii i wszystkiego, co powinnaś wiedzieć, zanim skorzystasz ze swojego daru. Nie mamy na to czasu. W szufladzie obok swojego łóżka znajdziesz szkatułkę. Otworzysz ją własnym dotykiem. Ona też wyczuje, że już czas. Jak się domyślasz, jest magiczna. Gdy ją otworzysz, znajdziesz klucz do swojego pytania. Jednak tylko ty możesz znaleźć miejsce, do którego pasuje, i otworzyć głęboko ukryte pokłady mocy. Domyślam się twojego następnego pytania. Nie. Nie wiem, jak je otworzyć, ale wiem, co trzeba zrobić, aby znaleźć w sobie to miejsce.

— Mógłbyś wyrażać się jaśniej, Guido?

— Musisz porzucić swój żal, ból i swoje frustracje. Pozbyć się nienawiści i uprzedzeń. I zrobić miejsce dla samej siebie. Musisz poczuć, co jest ważne, co kochasz. Zrozumieć siebie. A na koniec dokonać wyboru, czy chcesz, aby wszystko zmieniło się na zawsze. Konsekwencje mogą być poważne lub żadne, musisz jednak przejść ten proces. Gdybyśmy mieli czas, zakon Futura zabrałby cię do samotni w ogrodach. Tak to się zazwyczaj odbywało. Jednak go nie mamy. Musisz zrobić to sama. Mam nadzieję, że podasz w odpowiednim czasie, bo niektórzy poszukiwali siebie latami. A my mamy kilka godzin. Jeśli nie zdążysz, świat, który znamy, przestanie istnieć. Nastąpią przepowiedziane lata ciemności, strachu i nienawiści. Zanim narodzi się ktoś, kto będzie miał potencjał, aby odwrócić losy obumierającego świata, miną wieki, jeśli nie tysiąclecie. Oczywiście, jeśli jakikolwiek gatunek przetrwa tyle czasu, by ten ktoś się narodził.

Ametysta milczała. Słuchała uważnie. Miała wrażenie, że to wszystko jest nierealne. Jak miała zrobić coś w kilka godzin, co innym zajmowało miesiące, a nawet lata. Poza tym przecież nie pielęgnowała w sobie nienawiści. Znała siebie. Tak przynajmniej do tej pory uważała. Wizja, jaką roztaczał Guido, była przerażająca.

— Wnuczko, idź już. Liczy się każda chwila. Głęboko wierzę, że ci się uda. Pamiętaj, nie miej uprzedzeń. Otwarty umysł i twoje serce cię poprowadzą. Ja muszę jeszcze udać się do Arymana. On jest równie potężny. Wszyscy musicie się zjednoczyć w równowadze. Dobro i zło. Mędrcy i władcy.

Ametysta kiwnęła głową na znak, że rozumie. Guido zniknął z obrazu tak samo szybko, jak się pojawił. Maxa nie było, a może był za daleko. Ale przecież miał na nią czekać tu, w gildii. Nie ma to teraz większego znaczenia. Pobieгла do sypialni. Obok jej łóżka stała toaletka wykonana z białego dębu. Jej runiczne zdobienia emanowały delikatną magiczną poświatą. Otworzyła szufladkę. Na jej dnie zobaczyła malutkie błękitne pudełko. Miała wrażenie, że jest zrobione z najbardziej kruchego materiału. Dotknęła delikatnie wieczka. Pudełko drgnęło i powoli się otworzyło. Na dnie leżało niewielkie ziarnko. Było złociste i tak małe, że wyglądało

jak ziarenko piasku. Gdy ujęła je w palce, pudełko rozsypało się, zamieniając się w złoty pył.

— Ziarenko? — Zdumiała się.

Oczekiwała kluczy albo czegoś wyraźnego, jakiegoś znaku czy instrukcji. Nie od dziś jednak wiedziała, że czasami niepozorne rzeczy potrafią zmienić czyjeś życie. Ale co ona miała niby z nim zrobić? Zasadzić? Rozkruszyć? Zmieszać z pyłem i wypić? Nie miała zielonego pojęcia. Guido mówił, że będzie wiedziała, a w głowie czuła pustkę. Próbowła przypomnieć sobie wszystko, co wiedziała. Co powiedział Guido? Nie mówił nic o wiedzy, mówił o szukaniu w sobie. O opróżnianiu się z emocji. Jak ona nie lubiła emocji. Poczucie spokoju zawsze dawała jej wiedza. Emocje były chaotyczne, silne lub nijakie i zupełnie nie dało się ich kontrolować.

Trzymała nasionko w palcach. Nic... Usiadła na miękkim dywanie, który był tak puszysty, że miała wrażenie, iż w nim utonie. Pozwoliła ciału się zrelaksować. Opróżnianie umysłu ze spraw bieżących nie szło jej najlepiej. Przed oczami przewijały się obrazy z życia. Ludzie, których kochała i nienawidziła. Złość, którą czuła do matki, przybierała formy demonów. Błądziła. Szczęście, radość i zaufanie były schowane gdzieś z boku umysłu. Dotykając myślami kolejnych wspomnień, zaczęła docierać do najgłębszych zakamarków umysłu. Była zmęczona. Emocje ją wykańczały. Miała wrażenie, że niesie cały świat na swych barkach. Ból zaczął być coraz bardziej dotkliwy, mimo że fizycznie nic się z nią nie działo.

Gdzieś daleko, w głębi siebie, znalazła maleńkie chropowate drzwi. Wyraźne były na nich zadrapania, jakby ktoś na siłę próbował dostać się do środka. Podeszła bliżej. Gdy ich dotknęła, przeszły ją chłód i ból, których nie była w stanie znieść. Odskoczyła w cieplejsze wspomnienia. „Chyba muszę tam wrócić. Ale jak mam się pozbyć tych zakorzenionych uczuć i wspomnień. Tego bólu”. Intuicja podpowiadała jej, że właśnie z tym musi się uporać, że to właśnie Guido miał na myśli. Zassała radość i miłość wraz z dobrymi emocjami, które wygrzebała spod płątaniny wspomnień. Były jej tarczą. Zaczęła kurczowo się ich trzymać, wiedziała, że jeśli nie uda się jej pozbyć czarnych plam ze swojej przeszłości, utonie w nich. Zaszła za daleko, żeby się wycofać. Teraz była już w pełni świadoma i nie mogła tego zignorować. Zdobyła się na odwagę, by stawić czoła swoim własnym demonom.

Weszła do środka. Uderzyła ją fala niewyobrażalnego cierpienia i złości. Łzy zaczęły płynąć po policzkach. Dzieci wyśmiewały się z niej. Miatel leżący pobity na posadzce. Matka ignorująca jej pytania. Wyobrażenie ojca i tęsknota. Śmierć jej ukochanego tygrysa. Strach przed wielkim Billim. Czarna komórka w lochach gildii. Wspomnienia jak noże próbowały wbić się w jej serce i umysł. Próbowaly się zakotwiczyć. Ona jednak trzymała oręż w postaci ciepłych, kojących uczuć. Czuła, jak gaśnie w niej woła walki. Sięgnęła więc pamięcią do Maxa. On był jej mieczem. Jego miłość i jej uczucia w stosunku do niego były tak silne, że zaczęły łagodzić ból. Patrzyła na czarny kalejdoskop życia. Powoli zaczynał blednąć. Pozbywała się obrazu po obrazie, zmieniając je w obojętne i akceptowane wydarzenia z życia, dzięki którym między innymi była tym, kim była. Nie miała wpływu na przeszłość, ale miała wpływ na swoje życie i w jakimś stopniu na teraźniejszość. Jeśli odniesie sukces i wydobędzie moc, będzie mogła wpłynąć na przyszłe losy świata.

Balsam akceptacji zmył ostatki cierpienia. Zobaczyła, jak ogromny obszar jej wspomnień zajmowały niszczące chwasty. Teraz był pusty. Świat nie cierpi pustki. Musiała to czymś wypełnić. Wzięła ziarenko i przyłożyła je do serca. Pustkę wypełniły fale czegoś, czego nie umiała nazwać. Zemdlała.

Ocknęła się w łóżku w obcym pokoju. Z drugiego pomieszczenia było słycać znajome głosy.

— Chyba się obudziła. — To był głos Guido.

Do pokoju weszli Vik, Max, Brenda i Aryman.

— Witaj, pani — odezwał się dostojnym głosem Vik. — Doprawdy nie spodziewałem się, że ci się to uda. Poza tobą w historii był tylko jeden wybrany, który osiągnął ten stan w takim krótkim czasie. A było ich wielu, uwierz mi. Ale nie czas na opowieści z przeszłości. Mamy plan, Wielki Magu. A ty jesteś kluczem. Zakon Futura odmówił wzięcia udziału w tym, co chcemy zrobić. Stwierdzili, że twoje życie jest zbyt cenne. Jednak to ja decyduję. I jest to jedyny sensowny plan, który może uratować nasz świat. Zakładam, że znasz wszystkich tu obecnych?

Ami spojrzała na Arymana. Nie była pewna, ale domyślała się, kim jest ta istota.

— Ach tak, być może nie miałaś okazji mnie poznać. Aryman, księżę albo król ciemności, jak kto woli. Ojciec sprawcy zamieszania. Wykorzystaliśmy już Maxa do odnalezienia punktów na mapie. Największy, który na niej widniał, znajduje się teraz w niebieskim wymiarze. Brenda odnalazła miejsce, w którym jest zasysana magia. Zjedz coś teraz, potem opowiemy ci dokładnie, jak wygląda akcja.

Nie za bardzo jeszcze rozumiała, co się wydarzyło, i nie była pewna, co oznacza ten pełen szacunku ton króla. Nie miała też pojęcia o tych innych, o których wspomniał król. Właśnie Vik nazwał ją wybraną. Wybraną do czego? Sięgnęła po kanapkę i zaczęła jeść. Nie miała chwilowo siły ani analizować, ani myśleć. Nie miało to teraz znaczenia. Na to wpływu nie miała.

Artur siedział gdzieś z boku pieczary, przyglądając się Areonowi, który miotał się jak w ukropie. Z miejsca na miejsce przenosił jakieś przedmioty. Zapalał i gasił magiczne ognie. On nie miał ochoty się w to angażować. Tym bardziej że w sumie tylko by przeszkadzał. Nie był magiczny, czego żałował całe życie, dlatego pogłębiał swą wiedzę. Chciał być użyteczny. Krzątanina ustała. Przyszły władca, jego król, stał na środku z rękami uniesionymi ku górze. Wokół niego tańczyły języki magicznego ognia. Pojawiły się też sztylety, które raz po raz w rytm inkantacji zadawały mu płytkie rany. Jego krew skapywała na niebieską ziemię, zmieniając swój kolor z czarnego na niebieski. Niektóre rany były głębsze i strużki spływały mu z łydek i kolan, tworząc powoli, lecz skutecznie, kałużę mazi.

Artur, przyglądając się temu popisowi czarnej magii, miał już pewność, że Kalin zginął na zawsze. Nie mógł jednak okazać się ponownie słaby. Siedział oparty o ścianę. Po jakimś czasie piasek zaczął się poruszać. Z wewnątrz słychać było głosy... Nie, nie głosy, lecz stłumiony ryk. Jak morze, które gotuje się do ataku. Były coraz bliżej powierzchni. Ich wycie zaczynało odbijać się od ścian pieczary, co potęgowało siłę dźwięku. Z ruchomego piasku najpierw wydobyła się jedna, potem druga macka, a następnie ukazały się ich setki. Pełzały, próbując wydobyć swoich właścicieli na powierzchnię. W tym samym czasie zaczęły materializować się topielcy i nieumarli. Powietrze drżało od magii. Zapach zgnilizny i fetor strachu wypełniały całą grootę.

— Powstańcie, moi bracia. Przyszedł czas uczyty. Będziemy rządzić światem. Już niebawem magia przejdzie w nasze ręce, a smoki posłużą nam jak nigdy wcześniej. Nie lękajcie się, powstańcie. Będę waszym przewodnikiem i przyjacielem. A wy będziecie mi służyć.

Artur nie wierzył własnym oczom. Ogromna pieczara wypełniła się po brzegi. Niektóre demony były lekko niesubordynowane i próbowały od razu zjeść swoich braci. Jednak Areon jednym gestem powstrzymał ich zapędy. Tysiące potworów i demonów zamarło bez ruchu.

— Pokłońcie się swojemu królowi.

Całe zastępy jak na komendę oddały pokłon. Były zahipnotyzowane, wręcz odarte z resztek myśli, które mogły skazić ich umysł.

— Obejrzyjcie się za siebie, moje dzieci. Zobaczcie tego tchórzliwego człowieka. Stoi i trzęsie portkami i tłuszcem z przerażenia. Zapewne niejednemu z was cieknie ślinka, ale nie możecie go tknąć. Na razie jest nam potrzebny. Dla was jest nietykalny.

Artur czuł się jak na widelcu. Wszystkie oczy, nieoczy i oczodoły patrzyły wprost na niego. Rzeczywiście trząśł się ze strachu. Mimo zdrowego rozsądku chwilowo najmniej bał się tej obrzydliwej armii. W uszach dźwięczało mu „na razie”. Jeśli rzeczywiście, jak sądził, miało one kluczowe znaczenie w tej przemowie, raczej nie nacieszy się długo władzą, jeżeli w ogóle.

Gdy żołnierze ciemności zwrócili się znów ku przywódcy, ocierając się plecami o brzeg skały, wymknął się z groty i podążył w stronę smoków. Miał miękkie nogi, ale jego instynkt przetrwania mówił mu, że jest dużo bezpieczniejszy tam niż wśród tych potworów. Wszedł do obszernej groty. Zaparło mu dech w piersiach. Miał wrażenie, że znalazł się na łąkach w Kotalinie. Zieleń, woda. Wszystko wyglądało tak realnie. Pośród traw i drzew ujrzał setki smoków. Wszystkie tu były. Wyglądały na trochę wygłodniałe, ale poza tym nic im nie było. Musiał sam przyznać, że dzieło przyszłego króla wywarło na nim wrażenie. On właściwie odtworzył w tym niebieskim wymiarze ich środowisko naturalne. Udało mu się nawet stworzyć światło, bez którego Kotalina niebawem miała się stać jedynie pastwiskiem dla demonów.

— Dzień dobry, Arturze. Co za niemiła niespodzianka — odezwał się głos.

Artur miał prawie stuprocentową pewność, że sprawy właśnie się skomplikowały. Zza



smoków wyłonił się Vik. Zaraz za nim Ametysta, Aryman i Brenda.

— Wasza Wysokość, ja, ja zostałem porwany. To nie ja.

— Zamilcz! — ryknął król.

— Masz dużo swobody w poruszaniu się jak na porwanego. Chyba twój przyjaciel woli to miejsce od troskliwej opieki mojej matki — odezwała się Ami.

— Gdzie mój syn? Mam wrażenie, że muszę z nim porozmawiać, ma chyba trudny okres dojrzewania. — Aryman zadał to pytanie z taką troską, że niewtajemniczony mógłby mieć wrażenie, iż chodzi o niesfornego nastolatka.

— O panie ciemności, on jest tam. — Artur wskazał palcem korytarz, który prowadził do Areona i jego armii. Skłonił się przy tym tak głęboko, że prawie mógł dotknąć kolan swoimi serdelkowatymi palcami.

— Czy masz nam coś do powiedzenia, zanim odbiorę ci życie za zdradę? — zapytał beznamiętnie Vik.

— Och, panie, mogę ci pomóc. On chce przejąć władzę w królestwie, ma magię i armię demonów i nieumarłych.

— No cóż, nie powiedziałeś nic nowego. To wszystko już wiemy. Choć może jeden detal jest nowy w tej układance. Jak liczna jest armia?

— Królu, nie liczyłem, ale tak na moje stare oko to kilkanaście tysięcy. Błagam, nie zabijaj mnie. Powiem ci wszystko, co wiem.

— Nie sądzę, aby te informacje były dla nas niezbędne. Ametysto?

W jej oczach zapłonął gniew i zimna kalkulacja. Wyciągnęła dłoń przed siebie, szepcząc zaklęcie.

— Tuag lawm thiab qhov tsaus ntuj hloov mus rau plua plav.

Powietrze wokół Artura zgęstniało. Zaczął się dusić. Jego twarz zrobiła się sinoczerwona. Próbował łapać oddech, ale powietrze zaczynało go zgniatać jak muchę. Ametysta podeszła i dotknęła jego czoła. Z jej palców posypały się iskry, a ciało Artura rozsypało się w proch. Pozostał po nim tylko swąd spalenizny.

— Arymanie? — zwrócił się do niego Vik. — Czy dysponujesz armią? Mam na myśli taką, jaka będzie w stanie stawić czoła temu, co stworzył twój syn.

„Następnym razem sto razy się zastanowię, zanim spłodzę kolejnego bękarta. Teraz na wszelki wypadek będę musiał zabić wszystkich swoich męskich potomków. Co za pech”.

— Tak, dysponuję armią, ale czy wystarczająco dużą bądź silną — tego nie jestem w stanie ocenić.

— Ile czasu potrzebujesz, aby ich przywołać?

— Kilka minut.

— W takim razie zmiana planów — zdecydował król. — Ametysto, ty zajmiesz się zwróceniem magii naszemu światu. To powinno osłabić również jego dzieciaka. — Zerknął porozumiewawczo na króla ciemności. — Natomiast ty, Arymanie, wezwiesz swoją armię i zgładzisz ich wszystkich. Ametysto, gdy skończysz, proszę, wróc do nas. Tylko czyniący sprawiedliwość wybawiciel, a w tym przypadku jesteś to ty, może dokonać zagłady zła. Pamiętaj, że gdy użyjesz całej swojej mocy, wszyscy, którzy knuli wraz ze zdrajcą, poniosą śmierć. Brendo, ty będziesz łącznikiem. Będziesz informowała mnie o postępach tych dwojga. Ja zajmę się dowodzeniem i smokami. Są mi posłuszne. Być może będzie nam potrzebna ich pomoc. Muszę znaleźć pięćdziesiąt, które potrafią ziać magicznym ogniem, choć nie wiem, na ile będą mogły wykorzystać swój dar. Szkoda, że nie ma z nami nikogo z zakonu. Oni znają zaklęcie przywoływania ognistych osobników.

— Wasza Wysokość — odezwała się Ami. — Znam to zaklęcie.

— Jakim cudem? To tajemnica zakonu Futura.

— Viku... mój ojciec mnie nauczył. — Ami się zarumieniła. Nie wyglądała jak wielka magini, która właśnie ma unicestwić zło. Niewprawne oko zobaczyłoby tylko, że jest młodą, niewinną kobietą, którą właśnie przyłapano na pierwszym pocałunku z chłopakiem.

— Potem o tym porozmawiamy. Skoro je znasz, będę wdzięczny, gdybyś mogła mi je przekazać.

— Zaj yug los ntawm qhov hluav taws kub hu tuaj rau Koj.

— Pora na was, powodzenia — powiedział Vik.

Wszyscy pokłonili się sobie z szacunkiem. Mieli jeden cel: uratować swój świat. Każdy miał świadomość, że mogą się nigdy więcej nie spotkać. Nikt jednak nie odezwał się już ani słowem. Rozeszli się do swoich zadań bez zbędnych pożegnań.

Ametysta przedostała się do komnaty, w której do małej sadzawki sączyła się magia. Pomieszczenie było nasycone wibracjami. Poczowała, jak jej ciało zaczyna wysyłać sondy w głąb ziemi i przez skały, by odnaleźć zbiornik. Działo się to samoistnie. Miała wrażenie, że jej ciało dematerializuje się w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie odczuwała. Stała się mgłą. Jej kształt pozostał widoczny, ale ciało przestało być materialne. Powoli, unosząc się, przeniosła się przez skały. Były zimne i wilgotne, zmysły zaś wyostrome, a niewidzialna siła kierowała ją w głąb.

Znalazła się w wielkiej pieczarze, która nie miała widocznego wyjścia. Ametysta była świadoma, że gdzieś jednak musi być przesmyk, miejsce, w którym przedostaje się magia. Zapewne posiadał zabezpieczenie, aby nie mogła odpłynąć w drugą stronę. Połączyła się z żywiołem. Stali się jednością. Czowała moc i energię. Była magią, ale jej świadomość nadal pozostawała nietknięta. Czowała historię i powiew wiatrów. Czowała magiczne deszcze i rośliny, na przemian żywiące się magią i wydalające ją. Czowała wszystkie istnienia ludzkie, przez które kiedykolwiek magia przepływała. Ich emocje, troski, smutki, radość i śmierć, którą potrafiła zadać magia. Skupiła się na swym nowym istnieniu, zmieniając rytm wibracji. Dotknęła zmysłami trzymającej ją tu bariery. Zmusiła się, aby naprzec całym swoim niewidzialnym istnieniem na magiczny mur. Nic się nie wydarzyło. Była uwięziona. Spróbowała ponownie, tym razem jej siła była znacząco większa. Uderzyła z impetem, jednocześnie wypowiadając zaklęcie rozbicia.

— Yuav ua li cas yuav ua invisible cia neeg pluag. Yuav ua li cas blocks cia tig mus rau hauv nothingness.

Na barierze powstały rysy. Poczowała przyływ energii. Powtórzyła zaklęcie, uderzając z jeszcze większą siłą. Raz za razem. Czowała, jak skały drżą. Jak zaczynają się topić pod wpływem siły jej umysłu. Nie wiedziała, czy nie powoduje lawin i innych, większych kataklizmów. Nie miało to znaczenia, to był inny, obcy wymiar. Musiała ratować swój świat. Widziała, że tam, gdzie uderzała, pojawiły się szczeliny. Magia zaczęła się spierać. Ta, która była zasysana, opierała się tej, która chciała się uwolnić. Skrzywienie, napór były tak ogromne, że Ametysta wycofała się z pobliża pęknięcia.

„To jeszcze nie to” — pomyślała. „Muszę odwrócić zaklęcie, które ją tu zasysa. Tylko wtedy magia zacznie wracać na swoje miejsce”. Wysłała w tunel swoją intuicję. Próbowwała rozpoznać zaklęcie. Było w nim tyle nienawiści, agresji i zdrady. Nie знаła takiego, jakie obróciłoby to w proch. Jednak mogła znaleźć tu zastosowanie zasada przeciwieństw. Zebrała w umyśle wszystkie swoje dobre wspomnienia. Miłość, którą darzyła Maxa, matkę, Miatela i innych. Zebrała radość i chęć życia. Uformowała z nich węza, który wślizgnął się do przesmyku. Widziała, jak powoli przesuwają się w górę magicznych korytarzy. Czowała, jak słabnie. Jednak on był już niedaleko. Był prawie w ich świetle. Przed nim znajdował się lej — odwrócony, mógł zmienić bieg energii.

Wydostał się. Poczowała gwałtowny wybuch. Zaczęła wirować i z prędkością światła została wyrwana na powierzchnię Kotaliny. Blask, jaki ją otaczał, był nie do zniesienia. Jej ciało przybrało znowu materialną postać. Jak okiem sięgnąć wszędzie rozlegała się pustynia. Pobliskie lasy i domostwa zostały zmiecione z powierzchni ziemi. W oddali zaczęły się zbierać magiczne chmury, które zapowiadały powrót do cyklu, gwarantującego im życie.

Jednak zanim to nastąpi, pojawi się wiele naturalnie magicznych kataklizmów. Niejedną wioskę zaleje i niejedno istnienie przepadnie. Z czasem pojawi się równowaga. Natura zawsze wracała do równowagi. Ciężar śmierci, którego była świadoma, ją przytłoczył. Wiedziała jednak, że to jeszcze nie koniec. Wróciła do niebieskiego wymiaru.

— AAAAAAAAAA! — wrzasnął Areon. — Moja magia odpływa. Nadszedł czas walki. Szukajcie sprawcy i zabijcie go! — wykrzyczał do swojej armii.

Wszyscy ruszyli do wyjścia, po drodze tratując się nawzajem. Słychać było trzask łamanych kości.

— Nie wszyscy, wy idioci! Tylko demony.

Posłusznie przegrupowali się, przepuszczając świderki i inne demony. Falą wylali się z pieczary. Na polu pozostało jeszcze wielu. Odór spalenizny i zgnilizny w jaskini dla normalnego mieszkańca Kotaliny byłby nie do zniesienia. Aryman stanął na skalnej półce, przyglądając się nieudolnemu dowodzeniu syna.

— Areonie, witaj. Widzę, że mój potomek odziedziczył sporo po mojej skromnej osobie.

— Ooo, tatuś. Jak miło, że wpadłeś. Niestety, trochę za późno. Czas Vika i twój się kończy. Ale miło mi cię poznać.

— Obawiam się, że tym razem ci się nie uda. — Na znak Areona ze skał i z ziemi wydostały się wielkie demony. Były rozmiarów smoków. Z paszczy pełnych ostrych kłów kapą im ślina. Wielkie, mięsiste ogony były ponadziewane setkami ostrzy. Ich łapy, ogromne i ciężkie, były rozmiarów co najmniej białych dębów, które rosły od pokoleń. Z oczu zionęła pustka.

— O, jak miło, przyprowadziłeś przyjaciół. Tylko tyle? Cóż! Armia świadczy o przywódcy. Chyba widzisz, że wynik jest przesądzony.

Brenda zza załka przyglądała się całej tej iluzorycznie kurtuazyjnej wymianie zdań. Musiała być czujna, by w razie niebezpieczeństwa dotrzeć do Vika i Ametysty, która zniknęła jej z oczu, gdy tylko podeszła do sadzawki magii.

Wszystkie potwory stanęły naprzeciw siebie. Obie armie zaczęły rytmicznie wybijać wojenny rytm. Wszystko dudniło. Z sufitu zaczęły sypać się głazy. Zaden z nich nie był zagrożeniem dla stworów. Odganiały się od nich jak od natrętnych owadów. Nagle obaj dowódcy dali znak do ataku. Ich wojska ruszyły z impetem. Armia Arymana miała przewagę siły jednego wojownika. Potwory co chwilę miażdżyły stwory niższego rzędu. Zgniatały na miazgę armię nieumarłych.

Aryman szybko wypowiadał zaklęcia unicestwienia, aby te się nie regenerowały. Jednak armia Areona była szybsza i liczniejsza. Wojownicy podbiegali z różnych stron do olbrzymów, podcinając im ostrzami ścięgna. Te padały na ziemię, próbując się zregenerować, a wtedy setki nieumarłych i demonów rzucały się na nie, by wydłubać im oczy i dobrać się do tętnic i miękkich tkanek. Ryk był przeraźliwy. Dowódcy przyglądali się swoim bojownikom. Obaj mamrotali zaklęcia to regeneracji, to śmierci. Armia Areona wydawała się odradzać w zastraszającym tempie. Aryman zaczynał tracić przewagę. Brenda podjęła decyzję, że czas ruszać po pomoc do Vika. Biegła ile sił w nogach.

Vik stał ze swoją armią smoków. Było widać, że wyczekuje wieści.

— Królu, przegrywamy. Ametysta zniknęła, ale chyba się jej udało, bo magiczna sadzawka też zniknęła. Aryman potrzebuje pomocy. Teraz! — wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Vik bez słowa wysłał mentalny rozkaz do swoich smoków. Było ich mniej niż jeszcze godzinę temu. Podczas wstrząsów wiele głazów na nie spadło. Pięć z nich nie przeżyło. Gatunek, który mieszkał w Kotalinie, należał do szczególnie wrażliwych na uderzenia. Ich skóra była bardzo cienka, a kości nie miały tej gęstości co zwykle. Przyczyną był brak słońca i odpowiedniego żywienia. Król miał nadzieję, że Ametysta niebawem wróci i że choć jej misja zakończyła się sukcesem.

Ruszył w stronę korytarzy. Niestety, i te ucierpiały z powodu wstrząsów i były częściowo zasypane. Bez usunięcia głazów przedostanie się przez kanały mogło okazać się dla smoków niemożliwe. Poza tym konstrukcja została naruszona i mogła się zawalić w trakcie

przechodzenia przez kanały. On sam jednak nie miał takiej mocy. Spojrzał na Brendę, która, jak na wampirzycę, miała bardzo wysoki kamień. W lot zrozumiała, czego oczekuje od niej król. Oboje zaczęli szeptać zaklęcia. Brenda podtrzymywała strop, a on uprzętał kamienie, przenosząc je w odległe miejsca. Sam nie wiedział, gdzie trafiały, ale nie miało to większego znaczenia. Smoki zaczęły przechodzić. Na przedzie kroczył Vik.

Gdy dotarli do pola walki, ich oczom ukazał się koszmarny widok mazi i walczących istnień ciemności. Niestety, Aryman przegrywał. Przeciwnik śmiał się, obserwując, jak jego ojciec próbuje ratować swoją armię, a sam stopniowo traci moc. Jego zaklęcia były coraz mniej skuteczne. Areon zaś sprawnie odradzał swoje wojsko, które teraz miało już znaczącą przewagę.

— O, no proszę, widzę, że upiekę kilka pieczeni przy jednym ogniu. Witaj, Viku. Jak ja się cieszę, że ciebie też będę miał okazję zabić. Powiedz mi, co zrobiłeś z magią? Jak pokonałeś moje zaklęcia?

— Nie chwał dnia przez zachodem słońc, zdrajco — odezwał się król donośnym głosem, który poszybował nad rykiem i wrzaskami walczących.

Zza jego pleców wyszły skrzydlate smoki. Były gotowe do walki. Ich oczy lśniły czerwienią. Na znak Vika z ich paszcz wydobył się biały ogień. Magiczny ogień. Jednym zionięciem spaliły wszystko, co znajdowało się w zasięgu płomieni. Niestety, niedożywienie smoków spowodowało, że zasięg ten nie był imponujący.

Areon dał znak i z ziemi ciemnych zaułków wylazły świderki. Były świetną bronią na smoki, których miękka skóra stanowiła łatwy cel dla tych obrzydliwych demonów. Nikt nie dawał za wygraną. Smoki ziały białymi płomieniami, zabijając bez możliwości reinkarnacji kolejne szeregi armii. Wydawało się, że przewaga stała teraz po stronie walczących o Kotalinę. Niestety, świderki coraz sprawniej radziły sobie ze smokami.

— Gdzie jest Ametysta? — zapytał zdenerwowany król, widząc, że uzyskana przewaga nie będzie trwała wiecznie.

Aryman był wyczerpany i ostatkiem sił odradzał swoje potwory. Na środku pieczary pojawiła się jasna kula magii. Była taka oślepiająca, że wszyscy, nawet demony, zakryli na chwilę oczy. Z kuli wydostały się promienie, które powędrowały tylko do walczących w imię ocalenia świata. W ciągu kilku chwil zregenerowali swoją magię i siły.

— Co to za sztuczki?! — wrzasnął Areon. — To nieuczciwe, tak się nie będziemy bawić. To nie fair!

Jego twarz, co było zauważalne gołym okiem nawet z dużej odległości, pociemniała. Ku zdumieniu wszystkich zaczął się przekształcać w demona pierwszego rzędu. Były to postacie z najokrutniejszych horrorów. Prawie niemożliwe do unicestwienia. Były, podobnie jak magia, mgłą, która potrafiła niszczyć jednym ruchem wszystkie istnienia w obrębie kilkunastu mil, zamieniając ziemię w nieużytki na setki lat. Kto wszedł na taki skażony grunt, umierał w krótkim czasie w męczarniach.

Ametysta wiedziała, że jest to dla niej ostatnia szansa na zgładzenie zdrajcy. Skupiła całą swą moc i pomknęła w kierunku czarnej mgły. Wszyscy, nawet obie armie, zastygli, przyglądając się niezwyklej walce połączenia istnień niebytów. Ametysta nie bez wysiłku zaczęła przenikać przez jego bariery ochronne.

Jej cel stanowiło połączenie się z nim w jedną całość. Nie należało to do łatwych zadań. Każda cząsteczka była chroniona mocnymi barierami. Przejmowała je kawałek po kawałku. Z każdą chwilą wzbierała w niej nienawiść, ból i agresja, którymi karmiła się ta istota. Poczula też dusze wszystkich ofiar pożartych przez tego potwora. Była teraz jego częścią. Czula jego istnienie i czyste zło, którym był. Dzięki intuicji przywołała swój dar. Nigdy się tego nie uczyła, po prostu to wiedziała. Skupiła ich moc w jednym momencie, a następnie, wysyłając nić nadziei

do świata, rozerwała jego i swoje cząstki na strzępy. Armia Areona zniknęła. Poza osłupiałymi obserwatorami i kilkoma demonami Arymana w grocie nie pozostało nic. Obecne były jeszcze tylko maź i fetor po ciałach demonów.

— Ametysto! — zawołał Vik.

Odpowiedziało mu tylko echo.

— Ametysto!

W uszach brzęczała im cisza. Na ziemię spadł przedmiot, wydając metaliczny dźwięk. Nagle wokół pojawiła się trawa. Zło zniknęło w jego obrębie.

Brenda podeszła do miejsca dziwnego pojedynku. Na ziemi leżał pierścień. Pierścień Ametysty. Oczko kamienia zmieniło jednak swoją zawartość, wewnątrz tlił się biały ogień z odcieniem turmalinu. Był jeszcze gorący. Delikatnie wsunęła go do prawej kieszeni spodni. Wokół zaczęła pojawiać się zieleń. Kawałek po kawałku magia przejmowała kontrolę nad niebieskimi skałami i piaskiem. Tu i ówdzie pojawiały się kwiaty. U szczytu sklepienia powstał wyłom, z którego zaczęło dochodzić światło, sycząc rozprzestrzeniającą się zieleń. Rozpoczęła się przemiana. Nie było sensu nadal tu stać. Nikt nie wiedział, kiedy to nastąpi, ale właśnie zyskali nowe terytorium, które stało się częścią ich świata.

Król pojął, że Ametysta oddała swoje życie za Kotalinę. Wszyscy to zrozumieli. Powoli, oszołomieni i zmęczeni, udali się w kierunku sadzawki, gdzie pozostawili lustro. Wrócili do domu w milczeniu, każdy pogrążony w swoich myślach. Gdy znaleźli się we własnym wymiarze, zobaczyli, jak magia toruje sobie drogę do równowagi. Gdzie okiem sięgnąć, rozciągała się przed nimi pustynia. Krajobraz zdominowały zgliszcza i zwęglone ciała zwierząt. Setki istnień, unicestwieni bezimienni bohaterowie, zginęły w wybuchu, który dał szansę na przetrwanie ich świata. Wiedzieli też, że straty będą nieporównywalnie mniejsze od tych, z jakimi wiązałoby się panowanie Areona. Ich kraj przetrwa. Brenda poczuła lęk i przerażenie.

Uświadomiła sobie, że nie ma gospody Tinki. Została prawdopodobnie zmieciona wybuchem. Przecież tam właśnie czekał na nią Max. Poleciała jak na skrzydłach w tamtą stronę. Było pusto, po ziemi wały się tylko pojedyncze deski. Zaczęła płakać. Gdy rozpaczła po swoim ukochanym, świat realny przestał na chwilę istnieć. Padało. Ona zaś klęczała na zgliszczach, zanosząc się łzami. Nie zauważyła, że obok niej położył się biały wilk, który delikatnie lizał ją mokrym językiem po twarzy. To był on. Serce prawie wyskoczyło jej z piersi. Max żył. Teraz widziała, że świat ma dla niej inne plany niż cierpienie przez wieki za utraconą miłością. Rzuciła mu się na szyję i ponownie się rozplakała.

Król przeniósł się razem z Arymanem do pałacu, gdzie obaj postanowili wypocząć, zanim po raz pierwszy od wieków zwołają wspólną Najwyższą Radę. Znowu będzie brakowało jej członków. „Być może tak miało być” — pomyślał Vik. „Ale przetrwamy”.

Tom drugi 7 wymiaru — *Brenda* — już w przygotowaniu.

### **Moc Kamieni od najsilniejszego do najsłabszego:**

Turmalin

Amestyst/granat

Szafir

Rodnit

Perydot

Krwawnik

Bursztyn

Diament (wysysa magiczną moc)

### **Główne postacie:**

Ametysta — magini z ogromną mocą kamienia (turmalin) z darem zielarstwa

Cleo — sławna zielarka

Aryman — król ciemności (kiedyś demon i inkub), chodzi w świetle dnia

Vik — król Kotaliny, preparowany ze wszystkich ras urodzony przez jedną z surogatek

Areon — mag demon obdarzony wieloma mocami

Damon — długowieczny wampir

Miatel — animag i mag władający magią średniego poziomu

Max — biały wilk i inkub

Brenda — wampirzyca z kamieniem prawie równym mocy kamienia Ametysty

Guaidre (Guido) — król rodu elfów (obecnie nieistniejącego)

Futura — zakon preparujący Vików, posiadający wiele pilnie strzeżonych tajemnic

Karl — członek zakonu Futura

Ze słonecznej Kotaliny znikają wszystkie smoki,  
a noce stają się niepokojąco długie. Zachwianie  
równowagi między dniem a nocą grozi katastrofą.  
Nad demonami ciemności nie zapanuje nawet  
ich władca, Aryman...

Mieszkańcy Kotaliny muszą zmierzyć się z prze-  
szłością, zawrzeć niespodziewane sojusze...  
Wszystko po to, by uratować swój świat. Świat  
pełen dobrych wampirów, potężnych magów,  
kojących zielarek i zmysłowych inkubów...

Viktoria Armstrong – to pseudonim polsko-amerykańskiej  
pisarki. Z wykształcenia i zamiłowania socjolog, swoją  
wiedzę wykorzystuje w biznesie. Inspirowana życiem  
i ludźmi, których spotyka na swojej drodze. Uważa,  
że marzenia to nic innego, jak plany, które trzeba zreali-  
zować. Prywatnie matka dwóch nastolatków. Zdeklaro-  
wana kociara.





